

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

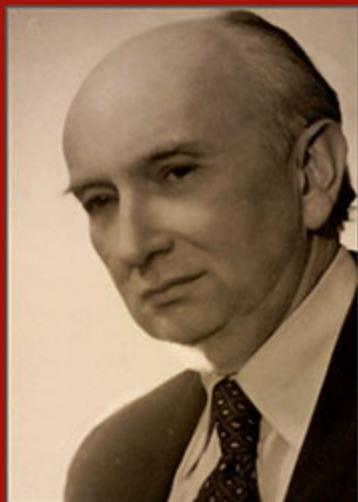
ISSN 2392-2753

Rok IV • Nr 4 (19)

2019

J. Andrzejczak
J. Andrzejewski
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-Jagodzińska
J.P. Grabowski
J. Hašková
K.A. Jeżewski
W. Kaliszewski
E. Kasjanowicz
A. Książek
W. Mandryka-Bukowiński
J. Marciniak
P. Müldner-Nieckowski
Ż. Nalewajk
A. Nasiłowska
A. Patey-Grabowska
M. Pękala

M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
K. Rodowska
B. Rosiek
K. Rudziński
K.S. Schreyer
J. Seipp
M. Strękowska-Zaremba
K. Sutarski
S. Szwarc
A. Szymańska
J. Śleszyński
A. Titkow
O. Tokarczuk
G. Walczak
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Krzysztof Boruń



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 4 (19) 2019

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Wokół jubileuszy i nagród 3

Anna Nasiłowska

List do Olgi Tokarczuk z okazji

Jej Nagrody Nobla 5

Benefis Eugeniusza Kasjanowicza ... 7

Wojciech Kaliszewski

List na jubileusz poety

Eugeniusza Kasjanowicza 8

Piotr Wojciechowski z Reymontem ... 12

Żaneta Nalewajk

Pisarz, diagnosta i krytyk 13

Jubileusz Konrada Sutarskiego 16

Anna Nasiłowska

Chylimy czoło 17

Adriana Szymańska

Poetyckie larum albo

w poszukiwaniu źródeł zła 18

Mazowieckie Centrum Poligrafii

w Markach liderem rankingów.

Nasza drukarnia 23

DRAMAT

Grzegorz Walczak

Nie dzwońcie do mnie... umarłem,

czyli Dokąd uciekasz 24

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Alicja Patey-Grabowska

Pogodynka 35

Piotr Müldner-Nieckowski

O Kocie Odwrocie 36

Małgorzata Karolina Piekarska

Czy dobry pisarz jest automatycznie

bogatym człowiekiem? 37

KRYTYKA

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Drugi obieg wydawniczy

w książce dla dzieci 47

Andrzej Titkow

Światło i mrok 49

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Pośród drogi, I tylko,

Jeszcze będziemy 55

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Sen III, Sen XXXVII, Sen XLIII,
 Les Alyscamps, Muzyka,
 Vivaldi: *Estro armonico*,
 Liszt: *Sonata h-moll* 57

Andrzej Książek

Manifest poezji krytycznej. Wiersze:
 Opowieść, Niezaspokojenie, Nasz
 powszedni dzień..., Pozory i pozy,
 Kolejny raz, Nieurodzaje,
 Nienasylenie 63

Wiesław Mandryka-Bukowiński

„Pustka. Gdy liście z drzew
 opadną...” 69

Jerzy Marciniak

otwarte zeszyty 71

Alicja Patey-Grabowska

Ballada o stokrotce 74

Maria Jolanta Piasecka

Haiku 75

Krzysztof Saturnin Schreyer

Burza, Magnes, Nasza pani,
 Rachunek prawdopodobieństwa,
 Stoisko bukinisty 76

Jerzy Seipp

Młoda dziewczyna śpi 81

Jerzy Śleszyński

Niewiedza, Nobody 84

PROZA**Janusz Andrzejczak**

Pamięci mchu 86

Tamara Bołdak-Janowska

Czy człowiek staje się lepszy,
 czy gorszy. O istocie 90

Jan P. Grabowski

Werdykt 101

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Wierni 117

Piotr Müldner-Nieckowski

Girare a destra 118

Marek Pękala

Ursus strajkuje 123

Barbara Rosiek

Wspomnienie o Sybiraku 128

Krzysztof Rudziński

Stacyjka 131

Jerzy Seipp

Krótkie opowiadanie
 z uśmiechniętym słoneczkiem... 134

Zbigniew Zbikowski

Espresso dla czworga 137

PRZEKŁADY**Katarzyna Boruń-Jagodzińska**

Jarmila Hašková 142

Krystyna Rodowska

Susana Szwarc 145



Rys. Tamara
 Bołdak-Janowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Wokół jubileuszy i nagród

Sporo ostatnio jubileuszy i urodzin. Obchodzili je m.in. Konrad Sutarski i Eugeniusz Kasjanowicz, o których twórczości napisali nasi wybitni krytycy – Adriana Szymańska i Wojciech Kaliszewski. Jubileusz to okazja do szerszego spojrzenia na twórczość jubilata. Przeważnie wniosek jest jeden, i to bez względu na to, czyja to rocznica. Sprowadza się on do prostego stwierdzenia, że twórczość jubilata jest różnorodna. Im więcej lat kończy jubilat lub im dłużej pisze, tym bardziej różnorodna jest ta jego spuścizna. Dzieje się tak dlatego, że rozwój każdego artysty trwa przez całe jego twórcze życie, każdy twórca przez całe życie dojrzewa. A z dojrzewaniem jest tak, że nigdy nie kończy się ono za życia, gdyż kres następuje wraz z kresem życia. Literaturoznawcy, badacze twórczości konkretnych autorów, bezbłędnie rozpoznają, z jakiego okresu twórczości pochodzi dany utwór i nie muszą patrzeć na datę jego powstania. Mówi im to styl, który zmienia się wraz z pisarskim dojrzewaniem. Zawsze mnie to fascynowało i nadal fascynuje.

Paradoksalnie, podobnie jest z naszym kwartalnikiem, który z numeru na numer coraz bardziej pisarsko dojrzewa i to widać bez patrzenia na rok wydania. Bieżący nosi numer 19 i jest równocześnie ostatnim numerem kwartalnika wydanym w roku, który w końcówce ma dziewiętnastkę.

Dla polskiej literatury był to dobry rok. Między innymi dlatego, że literacką Nagrodę Nobla dostała polska pisarka, nasza koleżanka z Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. To wspaniale, że aż trzech polscy nobliści ostatnich 40 lat są członkami naszej pisarskiej społeczności.

Również w tym roku Związek Rzemiosła Polskiego zdecydował się wznowić Nagrodę im. Władysława St. Reymonta, którą za całokształt otrzymał nasz kolega i były prezes Piotr Wojciechowski. W dziale „Z życia OW SPP” można przeczytać teksty o naszych jubilatach i laureatach.

Ich treść mówi wiele o różnorodności literatury tych, którzy są członkami naszego Stowarzyszenia. A nie ma nic piękniejszego w literaturze niż różnorodność. To dzięki temu każdy, kto lubi czytać, znajduje coś dla siebie. Nasz kwartalnik też, jak zawsze, jest różnorodny, a ja już teraz zapraszam do jego czytania całe rodziny, bo publikujemy tu zarówno literaturę dla dorosłych, jak i dla dzieci.

Czytajmy więc razem i cieszymy się, czytając.

Małgorzata Karolina Piekarska

Olga Tokarczuk

Laureatką Nagrody Nobla w dziedzinie literatury 2018



Warszawa, 10.10.2019

Szanowna i Droga Pani!

Po raz drugi w czasie mojej kadencji prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przychodzi mi pisać do pani list z gratulacjami.

Nagroda Man Booker International była ważna, ale tym razem to aż Nobel, wyróżnienie niezwykle cenione w naszej części Europy. W imieniu członkiń i członków Stowarzyszenia Pisarzy Polskich chciałabym wyrazić naszą radość. Jest ona tym większa, że trafia w ręce autorki, która zaczęła publikować w 1989 roku, trzydzieści lat temu. W tym samym roku powstało oficjalnie Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, a literatura polska zaczęła szukać dla siebie nowego miejsca, nowych pomysłów i nowych dróg w nowej rzeczywistości po transformacji ustrojowej. Pani twórczość wniosła w literaturę niespokojnego czasu bogatą wyobraźnię, w której odzywają się mity agrarne i mitologie różnych narodów, podkreśliła wrażliwość ekologiczną i feministyczną, wskazała, że poszukiwanie tradycji w przeszłości

jest wciąż trwającym procesem i nie sprowadza się do powtarzania stereotypów. Pani książki od lat były przekładane na wiele języków, co pokazuje, że literatura polska nie musi być i nie jest zamknięta, odgradzona barierą trudnego języka, niezrozumiała dla innych, pogrążona w partykularnych dyskusjach.

Dwadzieścia trzy lata temu witaliśmy Nagrodę Nobla dla Wisławy Szymborskiej. Przez pewien czas w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich mieliśmy dwoje noblistów, Czesława Miłosza i Wisławę Szymborską. Teraz znowu możemy być dumni – z Olgi Tokarczuk. Zdajemy sobie sprawę, że Pani nazwisko od pewnego czasu zaczęło krążyć w masowych mediach w oderwaniu od twórczości, jako symbol lub jako przedmiot ataku. Mamy nadzieję, że pewien etap tego rodzaju emocjonalnej i powierzchownej dyskusji zamknie się ostatecznie, gdy w księgarniach pojawi się pełne wydanie dzieł Olgi Tokarczuk.

Cieszymy się, że literacka Nagroda Nobla za rok 2018 trafia w godne ręce.

Z wyrazami uznania

Anna Nasiłowska

prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Benefis Eugeniusza Kasjanowicza

Poeta Eugeniusz Kasjanowicz znalazł aż trzy powody, aby w pierwszym dniu października urządzić w Domu Literatury swój benefis: 65. urodziny, ćwierćwiecze przynależności do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz wydanie kolejnego tomu poezji – *Itaka i okolice*. Na ten wspaniały wieczór przyjęli zaproszenia dwaj nestorzy polskich poetów: Ernest Bryll i Grzegorz Łatuszyński, wiersze Jubilata czytał Andrzej Ferenc, laudację wygłosił Wojciech Kaliszewski, a oprawę muzyczną zapewnili dwaj śpiewający gitarzyści i skrzypek: Marcin Styczeń, Tomasz Hapunowicz i Grzegorz Kramarz. (zz)



Spotkanie prowadziła prezes Oddziału Warszawskiego SPP
Małgorzata Karolina Piekarska

Wojciech Kaliszewski

List na jubileusz poety Eugeniusza Kasjanowicza

Eugeniuszu,

Itaka – poza swym mitologiczno-geograficzno-historycznym znaczeniem – jest wielką formułą pożegnania i powitania. Formułą dopasowaną do wszystkich odmian czasu i drogi. Tak, jakby w tych dwóch bliźniaczych nieomal sylabach spełniało się każde przybliżenie i oddalenie, zamknięcie i otwarcie oczu, jakby w tych dwóch twardo brzmiących sylabach tęsknota dojrzewała do pogodzenia się z nieuchronnością losu. Itaka jest także dorastaniem do dorosłości Odysowego syna, Telemacha, który żegnając młodzieńczą bezzadność, staje się mężczyzną. Także Twój tom, Twoja okolica wierszy, Twoja Itaka, Eugeniuszu, jest Twoją drogą, pożegnaniem i powitaniem, zarazem jednym i drugim, bo w tym objawia się znaczenie jubileuszu, czasu, istnienia, pisania i wędrowania. Pozwól więc, że widząc tę Twoją drogę, spoglądając na ten Twój trakt, będąc obserwatorem Twojej wędrówki, napiszę ostatecznie tekst wędrowny, list, wędrujące posłanie.

Tak więc po pierwsze myślę, że Twoje wiersze, Eugeniuszu, są niezwykle mocno zakorzenione w miejscach. I to nie jakichś miejscach w ogóle, ale zakorzeniają się w bardzo konkretnych, topograficznie określonych przestrzeniach. W miejscach żywych, tętniących rytmem ludzkich kroków, słów, gestów. Są zakorzenione także w źródłach poezji i tego, co nas wciąż zachwyca: w jej rytmice, w obrazach, porównaniach i przesłaniach. Sięgasz tym samym śmiało do tradycji, jesteś w niej po prostu obecny. Kiedy powiadasz *Sofokles i Wergili / stanęli z otwartymi ustami*, to jest tak, jakbyś stał obok nich, na rynku w Stradford, jakbyście – Ty i oni – ponad czasem i przestrzenią uczestniczyli w trwającym nieprzerwanie widowisku z poezją w roli głównej, podziwiając gwiazdę tego miejsca: Szekspira. Z tego prostego przylegania do wielkości wypływa zadowolenie i radość zwyczajności, bo sztuka jest tym, co zwyczajność unieśmiertelnia, co nadaje jej kształt niezwykły.



Mówi Wojciech Kaliszewski, słucha Eugeniusz Kasjanowicz

Długi jest spis tych miejsc zwykłych i niezwykłych zarazem. Podążasz śladami poetów, artystów, świętych, śladami ludzi wielkich i znanych, ale i również tych, którzy odeszli stąd bezimiennie, być może nie zapisawszy żadnego słowa, żadnej nuty, żadnej wielkiej myśli, ale bez nich sztuka i filozofia nie miałyby również żadnej wartości. To oni na ulicach, w domach i na polach bitewnych, w codzienności i niecodzienności sprawdzali sens wielkich słów, wykładni i prorocstw. I w tym objawia się żywa historia. I właśnie to – ta wrażliwość na każdego, na drobne nawet zdarzenia – ta historyczna wrażliwość jest takim drugim, widocznym w Twoich wierszach tropem. Zdarzenia widzisz w różnych perspektywach – jedne są przybliżone, inne ujęte w ramy szerokie, obejmujące bardzo długie trwanie. Łączysz to, co bliskie, z tym, co dalekie. W tym bliskim spojrzeniu szczegóły bywają nośnikami spraw wielkich i dramatycznych. Tak jest na przykład w wierszu *Mury*, którym hołd składasz żołnierzom powojennej konspiracji antykomunistycznej, czy w wierszu przypominającym Grudzień 1970 roku. Wydrapane w tynku słowo, niedostrzegalny prawie gołym okiem włos, płyta chodnikowa – oto świadkowie męstwa, świadkowie tortur i śmierci, świadkowie życia niezłomnego. Drobne ślady cierpliwie przechowują swoją

opowieść. Czekają na swój czas. Mają więc Twoje wiersze obok lirycznych, także liczne wątki epickie, narracyjne, jest w nich obraz czasu budowany na przekonaniu, że „promień nie ginie”, że nie zgasi go żadna ciemność. To ważny wątek w Twoich wierszach. Kiedy przypominasz wydarzenia z historii Polski – te dawne i te całkiem jeszcze świeże – starasz się wydobyć z nich ukryty i nie zawsze wprost rozpoznawalny ładunek najprostszych ludzkich uczuć. Sięgasz tutaj do poetyki Herberta i do takiej poezji, która łączy refleksję moralną z trudnymi do wypowiedzenia doświadczeniami. Bywa, że z tego rodzi się patos, że frazy usztywniają swoją naturalną płynność, ale ton wysoki w tych wierszach przełamuje najczęściej prostota słów i jasność porównań, otwierająca pole dla przesłania. Żywe słowo zwycięża. A ono jest – dodam – u Ciebie nierzadko apostrofą, zwrotem i wezwaniem, stawiającym mocny akcent nad tym, co warto przyjąć i zapamiętać.

Jest jeszcze trzeci ślad w Twoich wierszach – ślad dobrych i jasnych relacji z ludźmi bliskimi. I nie jest to tylko krąg rodzinny – ten oczywiście też – ale jego promień jest znacznie dłuższy i zagarnia tych, których cenisz, których rozumiesz i szanujesz. Przywołam w tym miejscu fragment wiersza, który adresujesz do Adriana Szymańskiego:

*codziennie rozwijamy skrzydła
unosimy się
rozbijamy
otwiera się we mnie przecucie
ocalą nas jedynie
skrzydła miłości*

Powtarzasz wielokrotnie, że tylko miłość jest zdolna uratować nas, ludzi, od klęski, od całkowitego zagubienia i upadku. W tym cytowanym fragmencie czuje się lekkość wersów. One się wzbijają i szybują rzeczywiście jak rozpostarte skrzydła. Pragnienie lotu jest pragnieniem światła, przestrzeni, powietrza i wolności. Miłość jest siłą wyzwalającą człowieka z ograniczeń. Ale jest też wyzwaniem, któremu trzeba sprostać i któremu należy nadać właściwy sens. Pod tym warunkiem tylko miłość ratuje przed samotnością i – jak powiadasz w zakończeniu tego wiersza – od *przenikliwego jesiennego chłodu*.

Kiedy wywołujesz znanych i nieznanych, kiedy poświęcasz swoje wiersze poetom, malarzom, przyjaciołom, rodzinie, miastu w którym

mieszkaś, to – tak mi się wydaje – wierzysz niezłomnie w ocalającą siłę sztuki poetyckiej. Tymi wierszami wznosisz pomniki, budujesz pamięć, ratujesz epizody, okruchy i fragmenty życia. Układasz z nich całość różnorodną, zaskakującą, ale bogatą w uniesienia i zwątpienia, w kolory i odcienie szarości, w radość narodzin i ból zgonów. Tak więc wystawiasz pomniki nie tylko im, zapisanym z imienia i nazwiska, ale nam wszystkim, bo w tym, o czym piszesz, i my jesteśmy żywi, obecni i przytomni.

Jesteś, Eugeniuszu, poetą zwróconym do ludzi, rozumiesz ich kłopoty i radości. Twoją muzą jest codzienność. I niech tak zostanie. Niech rytm codzienności towarzyszy Ci dalej w pisaniu. I wsłuchuj się w strofę, która ten – jubileuszowy – Twój tom kończy. Niech to będzie przesłanie, które sam sobie napisałeś:

*Choć dni przychodzą i odchodzą
i struna drga tak dziwnie we mnie
i śpiewa ptak
i wisi chmura*

Wszystkiego dobrego, Drogi Geniu!

Wojciech Kaliszewski

Piotr Wojciechowski z Reymontem

Nasz kolega i były prezes SPP Piotr Wojciechowski otrzymał tegoroczną, przyznaną przez Związek Rzemiosła Polskiego we współpracy z SPP i ZLP, **Nagrode Literacką im. Władysława Reymonta za całokształt twórczości**.

„Pisarstwem Wojciechowskiego – prozaika, dramatopisarza, poety, felietonisty, krytyka filmowego oraz reżysera – rządzi duch opowieści. W jego opowieści to, co realne współlistnieje na równych prawach z tym, co wyimaginowane. Pisarz tworzy historie i geografie alternatywne” – napisała prof. Żaneta Nalewajk w laudacji, którą odczytała prezes SPP prof. Anna Nasiłowska.

W kategorii „Dzieło literackie” do nagrody nominowane zostały m.in. książki członków SPP, a to: *Pogrom 1905* Wacława Holewińskiego, *Latawiec z betonu* Moniki Milewskiej, *Cegielki i inne opowiadania* Jana Krzysztofa Piaseckiego, *Lekcje u Różewicza. Teksty krytycznoliterackie i osobiste* Janusza Drzewuckiego, *Olanda* Rafała Wojasińskiego, *Spotkanie w słowie. O twórczości Karola Wojtyły* Zofii Zarębianki i *Basso continuo* Jarosława Mikołajewskiego.



W imieniu kapituły Nagrody im. W. Reymonta Piotrowi Wojciechowskiemu (z lewej) wręczył prezes Związku Rzemiosła Polskiego Jan Gogolewski.

Żaneta Nalewajk

Pisarz, diagnosta i krytyk¹

Jury XVIII edycji Nagrody Literackiej im. Władysława St. Reymonta za całokształt twórczości, wybierając laureata, miało bardzo trudne zadanie, a jednocześnie świadomość tego, że każdy z nominowanych twórców – z racji niemożliwych do zlekceważenia osiągnięć artystycznych – mógłby ją otrzymać. Decyzja o wyborze nagrodzonego musiała zatem iść w parze z namysłem o funkcji tegorocznej nagrody. Mogła ona służyć na przykład potwierdzeniu niewątpliwego uznania autorów, którzy już i tak zasłużenie się nim cieszą, albo promowaniu dorobku ważnego twórcy nienależącego jeszcze do grona pisarzy najstarszej generacji. Przyznając nagrodę Piotrowi Wojciechowskiemu, jury postanowiło jednak dowartościować autora, który na takie dowartościowanie ze względów literackich z pewnością zasługuje.

Pisarstwem Piotra Wojciechowskiego, prozaika, dramatopisarza, poety, felietonisty, krytyka filmowego oraz reżysera, bardzo docenionego na początku jego kariery literackiej, bo uhonorowanego między innymi nagrodą Wilhelma Macha w 1967 roku za powieść *Kamienne pszczoły* oraz Nagrodą Literacką Fundacji im. Kościelskich (1978), rządzi duch opowieści. Jednocześnie w twórczości autora to, co realne współlistnieje tu na równych prawach z tym, co wyimaginowane. Pisarz, puszczać wodze wyobraźni, tworzy historie i geografie alternatywne, kreując je, składa – jak sam kiedyś powiedział – hołd temu, co nie jest. Właściwie już od momentu debiutu Piotr Wojciechowski jako prozaik dopuszcza do głosu wizję rzeczywistości, w której to, co sentymentalne, współlistnieje z tym, co mityczne, przy czym mit, rozumiany jako istotny komponent uniwersum symbolicznego, jeden z kluczowych elementów stabilizujących kultury, nie jest sam w sobie zły – jak stwierdził autor przed laty przy okazji jubileuszu siedemdziesięciolecia swoich urodzin. To narzędzie, które jak nóż może być użyte zależnie od

1 Laudacja wygłoszona w czasie wręczania Nagrody przyznawanej od 1994 r. przez Związek Rzemiosła Polskiego. Uroczystość odbyła się w pałacu Chodkiewiczów w Warszawie przy ul. Miodowej 14 dn. 1 października 2019 r.

intencji do skrajnie różnych celów – zabijania lub krojenia chleba. Zadaniem intelektualistów i ludzi kultury – mówił pisarz, starając się w swojej twórczości sprostać temu wyzwaniu – jest rekonstruowanie tych mitów, oczyszczanie ich, wreszcie aktualizowanie.

Warto przypomnieć, że w pisarstwie Piotra Wojciechowskiego uwagę krytyków od początku zwracała wynalazczość leksykalna autora, przejawiająca się w zastosowaniu strategii polegającej na niezwykłym przemieszaniu realnych nazw z nazewnictwem fikcyjnym, łączeniu różnych odmian socjolektu z pseudosocjolektem, dzięki czemu autor w sposób twórczy oddalał się od konwencji realizmu. Co istotne, w prozie laureata nierzadko pojawiają się mechanizmy charakterystyczne dla prozy lingwistycznej, w której wybrane frazy stają się zaczynem zdarzeń fabularnych. Sprzymierzając się z żywiołami parodii i groteski, sięgając po stylizację pastiszową, manifestując dystans poznawczy i wymierzając ostrze ironii w schematy mówienia, pisanía oraz konwencje obyczajowe i mechanizmy polityczne, Piotr Wojciechowski czerpie z tradycji literackiej (między innymi romantycznej), aluzyjnie nawiązuje do spuścizny powieściowej poprzedników (na przykład Witkacego), sięga też po wzorce gatunkowe literatury popularnej (takie jak thriller polityczny w powieści *Doczekaj nowiu*, 2007), by przekształcić je w sposób wysokoartystyczny.

Trzeba podkreślić, że spod pióra twórcy wyszły teksty interesujące i zróżnicowane formalnie. W dorobku laureata nagrody znajdziemy między innymi powieść epistolarną *Kamienne pszczoły* (1967) – trzeba od razu zauważyć, że żywioł literackiej gry z konwencją epistolograficzną powrócił między innymi w jednym z opowiadań z tomu *Serce do gry*, 2010) – którego bohater pisze listy do wszystkich, od których kiedykolwiek otrzymał wizytówki. W powieści *Czaszka w czaszce* (1970) fingowana konwencja powieści historycznej współlistnieje ze stylizowaną narracją pamiętnikarską. Z kolei w *Próbie listopada* (2007) na płaszczyźnie fabularnej tekstu aktualizowane są po wielokroć wzorce konstrukcyjne charakterystyczne dla scenariopisarstwa, w *Tratwie manekina* (2013) dominuje żywioł anegdoty. Wojciechowski posługuje się sprawnie techniką literackiego cytatu, w sposób świadomy łączy wielorakie inspiracje prozatorskie (w tym powieścią psychologiczno-obyczajową czy sensacyjno-szpiegowską), kreuje prozę o charakterze impresyjnym, której nie sposób odmówić własnego obrazu świata i fascynacji wielokulturowością.

Zarówno w felietonach, jak i na kartach dzieł prozatorskich, Piotrowi Wojciechowskiemu nierzadko zdarzało się formułować ważne rozpoznania społeczne, ponieważ twórca jest od wielu lat nie tylko baczny obserwator i diagnosta współczesności, lecz także jej krytykiem, ukazującym – jak w powieści *Szkoła wdzięku i przetrwania* (1995), której tytuł mógłby brzmieć również *Szkoła pozorów* – w sposób satyryczny ciemną stronę transformacji rynkowej i ustrojowej, idącej w parze z nadużywaniem ważnych, kojarzonych ze wspólnotą symboli. O znaczeniu tych diagnoz decydują – jak się wydaje – nie tyle nieomyślność ich autora, ile, po pierwsze, jego żywa reakcja intelektualna na otaczającą nas rzeczywistość, która wynika z jednoczesnego poczucia jej absurdu i sensu, po drugie zaś, związane z tą reakcją dążenie do ponawiania pytań o tożsamość i wartości w świecie podlegającym nieustannym zmianom.

Żaneta Nalewajk

Jubileusz Konrada Sutarskiego

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz Stowarzyszenie Pisarzy Polskich wspólnie zaprosili 3 października do warszawskiego Domu Polonii na jubileuszowy wieczór autorski Konrada Sutarskiego. Okazją do zaprezentowania twórczości tego poety, eseisty i działacza polonijnego, żyjącego od 1965 r. na Węgrzech, stały się jego 85. urodziny, 60-lecie pracy twórczej, wreszcie prezentacja najnowszych książek autora: *Stacje ludzkiego sprzeciwu* oraz *Polska i Węgry w obronie Europy*.

Spotkanie poprowadziła prezes Oddziału Warszawskiego SPP Małgorzata Karolina Piekarska. Laudację zaś wygłosiła Adriana Szymańska. Został także odczytany okolicznościowy list prezes SPP Anny Nasiłowskiej.



Prezes Oddziału Warszawskiego SPP Małgorzata Karolina Piekarska
wita Konrada Sutarskiego

Anna Nasiłowska

Chylimy czoło¹

Drogi Jubilatcie, Szanowni Państwo!

Bardzo żałuję, że nie ma mnie dziś z Państwem. Tak się złożyło, że muszę być w Brukseli na wręczeniu Nagrody Literackiej Unii Europejskiej dla młodych, obiecujących pisarzy jako przewodnicząca polskiego Jury. Termin ustalony został wiele miesięcy naprzód.

Szanowni zebrani, drogi Jubilatcie, pozwólcie, że skieruję do Was kilka słów. Tak czasami układa się życie, że niektórzy poza krajem rodzinnym mają także drugą ojczyznę, z wyboru i poza językiem ojczystym – drugi bliski język. Dla Konrada Sutarskiego takim krajem wybranym i kochanym są Węgry. Wyjechał jako młody poeta i nigdy nie porzucił twórczości. Przez lata pełnił Konrad Sutarski także rolę pośrednika kultury – polskiej na Węgrzech i węgierskiej w Polsce. Wkładał w nieformalne ambasadorstwo swoje serce, pasję oraz talent poety i opowiadacza historii. Jego energii organizatorskiej i stanowczości Stowarzyszenie Pisarzy Polskich zawdzięcza bliskie relacje ze Związkiem Pisarzy Węgierskich. Był tłumaczem, organizatorem, prawdziwym dobrym duchem bliskich związków kultury polskiej i węgierskiej.

Podczas wizyt pisarzy polskich na Węgrzech doświadczyliśmy Jego gościnności. Pan Konrad Sutarski dzielił się z nami swoją ogromną wiedzą na temat kultury, ale wiedzieliśmy, że chce nam nie tylko wiele pokazać, chciał, byśmy podzielali pasję i miłość. I to się udało. Zaszczepił nam poczucie, że wiele jeszcze jest do odkrycia, wiele pracy należy jeszcze włożyć w przekłady, ale Polaków i Węgrów rzeczywiście łączą relacje na poły rodzinne.

Bardzo dziękujemy za wszystko, co udało się do tej pory zrobić w dziedzinie relacji literackich. Z uznaniem chylimy czoło przed dorobkiem życia i życzymy wielu jeszcze lat w dobrym zdrowiu.

Z poważaniem

Anna Nasiłowska

prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

1 List na Jubileusz 85-lecia Konrada Sutarskiego, urodzonego 21 września 1934 roku w Poznaniu.

Adriana Szymańska

Poetyckie *larum* albo w poszukiwaniu źródeł zła

O twórczości Konrada Sutarskiego
w osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin

W przedmowie do zbioru esejów, artykułów, wywiadów i przekładów wierszy poetów węgierskich *Zanim zmierzch zapadnie* (1995), zatytułowanej *Przykazania*, Konrad Sutarski opisuje swoją przygodę z dzieciństwem, kiedy to miał sześć lat i mieszkał na wsi. Wybrał się do lasu zbierać jeżyny i zabawił tam do zmierzchu, a wracając biegiem do domu, gnany był strachem. Tak to opowiada: „Strach, który mnie wtedy za wsią opętał – w okolicy bliskiej mi skądinąd i miłej, niedaleko Częstochowy i jasnogórskiego klasztoru pochodzących z Węgier ojców paulinów – łączy się w mym umyśle do dziś ze strachem, jaki ogarnia (czy raczej: powinien ogarniać; jak źle, że nie ogarnia) ludzi przekraczających granice zakreślone przez doświadczenia i cierpienia tysięcy (...) Spośród przewinień najbardziej chyba wyuczuleni jesteśmy na przypadek zabójstwa”. I uzupełnia, że są różne rodzaje zabójstw, od popełnianych na jednostkach, do wojen wszczynanych przeciw całemu narodowi.

Konsekwencją tych rozważań jest podejrzenie poety, że to Mojżesz zawinił, gubiąc część kamiennych tablic z przykazaniami otrzymanymi od Boga. „Kamienie były na pewno niesamowicie ciężkie” – czytamy w zakończeniu tego tekstu. – „Musiał upuścić i zgubić przynajmniej jedną z nich – jakkolwiek nie przyznał się do tego – tablicę z napisem: „żyj bez nienawiści”. Gdybyśmy ją mieli, zapewne nie trzeba byłoby tak często spoglądać na tablicę: „nie zabijaj”. Wszak przykazaniowe ostrzeżenia wiążą się w cały spójny ze sobą system. Z tym jednym wyjątkiem. A przecież bez nienawiści i opluwania się życie na co dzień byłoby prostsze. I do lasu można byłoby chodzić częściej bez obawy, że zmierzch znów za chwilę zapadnie”.

W przypomnianej tu opowieści, w owej polemice z Mojżeszem, a może – pośrednio – z samym Panem Bogiem, zawiera się główna idea i geneza twórczych dokonań Konrada Sutarskiego. A jest to właśnie poszukiwanie źródeł obecnego w świecie zła wraz z próbami zwrócenia uwagi na to, co stanowi przeciwieństwo zła, a więc dobro, miłość, braterstwo i empatia,



Adriana Szymańska wygłasza laudację na cześć poety

w wydaniu poety naprawdę kosmiczna. Sutarski wskazuje bowiem w swojej poezji na liczne zagrożenia, czyhające na nas pojedynczych, na całe grupy i pokolenia ludzi w ciągu wieków naszego istnienia, nazywając te zagrożenia po imieniu i już przez to starając się poskromić zło słowem artysty. Takie jest właściwie zasadnicze przesłanie wszelkiej sztuki. Jednak głęboki pesymizm poznawczy poety utrudnia mu to zadanie.

Urodzony w roku 1934 roku w Poznaniu, część dzieciństwa i młodości spędził poza miejscem urodzenia, wracając tu w ważnych dla niego i kraju momentach. W roku 1956 powstała w Poznaniu poetycka grupa „Wierzbak”, którą obok Sutarskiego stworzyli m.in. Józef Ratajczak i Marian Grześczak. Był to u nas początek walki o wolność polityczną i demokrację, więc wspomniani poeci przekazywali w wierszach oprócz przeżyć osobistych swoje pasje obywatelskie. Publikowali razem w almanachach i osobno. Konrad Sutarski pierwszy indywidualny zbiór wierszy *Skraj ruchu* wydał w Wydawnictwie Poznańskim w roku 1960. W swoich wczesnych wierszach poeta wie dialog z istnieniem, z własnym pojedynczym losem nieodwracalnie związanym z życiem społecznym, z dramataми historii, pułapkami cywilizacji, ze światową kulturą, religią, przyrodą, z uczuciem

miłości i solidarności międzyludzkiej, rozdarty wewnętrznie, między własne rozpoznania i niepokoje.

Dodać należy, że zdecydowanie rzeczowa, może raczej urzeczowiona poezja Sutarskiego ma z pewnością związek z jego technicznym wykształceniem. Jest on inżynierem mechanikiem, doktorem nauk technicznych, twórcą nowatorskich rozwiązań w dziedzinie urządzeń rolniczych. Konstruktywizm językowy poety, od początku spokrewniony z lingwistyczną tradycją (Peiper) i wyprzedzający przewrót nowofalowy, w połączeniu z wizyjnością, przenikliwością i buntowniczością wyobraźni oraz ironiczną przekorą składają się na kreację artystyczną o silnym ładunku emocjonalnym i etycznym. Wiara Sutarskiego w prawa moralnie trzon osoby ludzkiej, wywiedziona z dekalogu i pamięci przeszłości, a także jego przeczucia eschatologiczne, łączą się w spójny wizerunek człowieka myślącego, czującego i odpowiedzialnego nie tylko za własne istnienie.

Rozstawszy się na chwilę z pisaniem wierszy, w roku 1964 przybywa do Warszawy, gdzie zostaje asystentem w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Jednak już w roku 1965 wyjeżdża do Budapesztu ze swoją węgierską ukochaną, którą poślubił w roku 1962. Od tej pory dzieli swoje życie między dwie ojczyzny – Polskę i Węgry – niezwykle aktywnie uczestnicząc w życiu literackim obydwu krajów jako poeta, tłumacz, eseista, krytyk literacki, także dyplomata i dziennikarz telewizyjny. Wśród dzieł Sutarskiego znajdują się jego własne książki poetyckie, przekłady na polski poezji węgierskiej wielu pokoleń, od Petőfi, przez Miklósa Radnóti i Sándora Csoóriego po najmłodszych, ale też przekłady polskich poetów na węgierski. Wśród nich są m.in. Leśmian, poeci Awangardy Krakowskiej i współcześni z Różewiczem, Herbertem i Szymborską. Szokiem dla Węgrów była poezja Białoszewskiego, ale tłumacz znalazł powinowactwo z nim węgierskiego poety Sándora Weöresa.

Konrad Sutarski wydał niewiele osobnych zbiorów wierszy, wszystkie wszakże są ważne w jego twórczości. Po *Skraju ruchu*, ukazała się w roku 1975 *Wyprawa na pole nieudeptane*, potem zbiór *Zgęstniałe powietrze* (1984). Wiele własnych utworów poetyckich zamieszczał w antologiach i zbiorach polsko-węgierskich, ostatni z nich to *Jakkolwiek już późno. Polsko-węgierski dyptyk* wydany w roku 2015 w „Bibliotece Toposu”. Jest też autorem szkiców o literaturze polskiej i węgierskiej oraz o wzajemnej recepcji obu tych literatur. O wierszach Sutarskiego przetłumaczonych na węgierski wypowiadało się wielu krytyków, w tym Béla Pomogáts. Jego esej *Nowoczesna godzina historii* znajduje się w przełożonym na polski

zbiorze wierszy i szkiców *Na podwójnej ziemi*, opublikowanym w Budapeszcie w roku 2005: „Węgierska literatura wiele zawdzięcza Konradowi Sutarskiemu. Jego książki o tematyce węgierskiej, książkowe wydania jego poezji w tłumaczeniu węgierskim, wybory wierszy poetów węgierskich w polskim przekładzie, zbiory opracowań o charakterze naukowym i publicystycznym (z których większość wydał już jako czołowa osobistość węgierskiej Polonii) tworzą całą biblioteczkę, wszak znaczna część poezji węgierskiej brzmi dziś w jego tłumaczeniu, bądź powstała z jego inicjatywy.”

O tym samym zbiorze szkiców polski krytyk Paweł Gembal napisał: „Sutarskiego interesuje przede wszystkim miejsce przecięcia tego, co indywidualne, z tym, co zbiorowe (...) Jego twórczość proponuję więc czytać jako osobisty dialog z najważniejszymi problemami naszych czasów. Przecież nie tylko towarzyszyła ona przeobrażeniom ostatniego pięćdziesięciolecia, ale i w nich uczestniczyła, będąc często wnikliwą analizą rozgrywającej się na naszych oczach historii.” (*Akcent* 1/2008).

Przytoczę jeszcze jedną podwójną węgierską wypowiedź, przypomnianą w roku 2014 przez Janusza Drzewuckiego: „Poeta Sándor Csoóri napisał swego czasu: «Od lat uważaliśmy Konrada Sutarskiego za ambasadora literatury. Węgry do Polski zawozi, ale i własną ojczyznę na plecach tu do nas dźwiga. Jest to szczególnie, wyjątkowo piękny los»”; natomiast krytyk Lajos Szakolczy, zastanawiając się w szkicu *Rozkołysana klatka serca* nad węgierskim charakterem polskiego poety, zwraca uwagę, jak dobrze brzmią jego wiersze w przekładach na węgierski: „tego pragmatycznego umysłu wychodzącego z konstrukcyjnego porządku maszyn i kreślarskich desek na pełne słońca polany natury. Nic więc dziwnego, że uhonorowano go prestiżową Nagrodą im. Gábora Bethlena, po Zbigniewie Herbercie, a przed Bohdanem Zadurą” (*„Twórczość”* 9/2014).

Konrad Sutarski otrzymał też wiele innych węgierskich i polskich nagród i odznaczeń. Na zakończenie przywołam kilku strof z jego ostatniej książki *Jakkolwiek już późno*. Chcę przede wszystkim podkreślić poczucie przynależności poety do wielkiej wspólnoty nie tylko językowej, ale i ogólnoludzkiej, przekraczającej wszelkie granice naszego świata. Już w pierwszym wierszu zbioru pt. *Twórczość* czytamy:

*To dosypywanie drobnych ziaren pyłu do piasków pustyni
to dolewanie kropel wody do wód oceanu
to także wchodzenie ze swoimi drobnymi ziarnami w piaski pustyni
i zanurzanie się wraz z kroplami wody w wody oceanu (...)*

*To wreszcie niejasne tajemne przekonanie zespala się
z tym co nas tak niepomierne przerasta
wszak urzekające swoim ogromem piaski pustyni i wody
oceanu właśnie z takich oto dodawanych przez
tysiąclecia drobnych ziaren powstawały*

Mając poczucie współobcowania z wielkim obszarem twórczej ekspansji, kształtującej oblicze naszej kulturalnej, moralnej i metafizycznej tożsamości, poeta nie odkłada broni w walce o jeszcze rozleglejszy teren oddziaływania ocalającej, budzącej nadzieję sztuki. Określony przez Sergiusza Sternę-Wachowiaka mianem „Kandyd 56”, z podniesioną przyłbicą rycerza-moralisty, nie wątpiąc w sens swojej misji, wciąż pisze z troską o poziom mądrości i godności dzisiejszego mieszkańca Ziemi oraz o zachowanie przynależnych nam uniwersalnych wartości – prawdy, dobra i piękna – dla przyszłych pokoleń. Oto urywki z poematu *Drzewa mądrości* (u Szymborskiej to chmury nie liczą się z granicami państw, tutaj są to gałęzie drzew):

*O – drzewa wszelkiej mądrości
jakże ułomne jesteście w swej wyłączności
i my kalecy jesteśmy wraz z wami
– przecież ptaki miejsc zacisznych nie znajdują –
Czemuż nie pozwalacie
by wiatry wasze gałęzie przygięły do ziemi
i kołysząc nimi
granice osobnych królestw zamazały (...)
O drzewa wszelkiej niepewności
chciałbym natknąć się na was już w tym zjednoczeniu
więc wychodząc za rogatki miasta w którym więcej jest złej gry
i złorzeczeń niż nadziei
już nawet teraz
w każdym napotkanym lesie was poszukuję*

Przynajmy, że maksymalizm poetyckiej aksjologii Konrada Sutar-
skiego, nestora Pokolenia '56, zasługuje na rozwałę i uznanie. Życzymy mu
więc, by nadal pisał.

Adriana Szymańska

Nasza drukarnia

Mazowieckie Centrum Poligrafii w Markach

liderem rankingów



Nie mieliśmy czasu się pochwalić, (ale lepiej później niż wcale), że... drukarnia, w której produkujemy nasz kwartalnik, zajęła pierwsze miejsce w rankingu drukarni Magazynu Literackiego „Książki”.

W Magazynie tym czytamy: „W tegorocznej edycji rankingu pozycję lidera zajęło Mazowieckie Centrum Poligrafii z Marek – nowoczesna drukarnia cyfrowa, zajmująca się drukiem książek i akcydensów. Nie ma w tym dużego zaskoczenia, kilkakrotnie dzięki wysokim notom od wydawców firma zbliżała się do podium, dwa lata temu zajęła nawet trzecie miejsce, wcześniej, w roku 2015 i 2014, znalazła się na czwartym miejscu. «Polecam każdemu. Szybko, solidnie i w dobrej cenie» – ten komentarz jednego z respondentów najlepiej chyba tłumaczy pozycję MCP w naszym rankingu. «Zawsze dobrze, zawsze miło i zawsze na czas» – to kolejna opinia zadowolonego klienta. Albo taka: «Wysoka jakość i niska cena. Wszystko na czas, a nawet wcześniej». Jeden z wydawców napisał w ankiecie: «Cena usługi najlepsza na rynku», co najdobitniej wyjaśnia, dlaczego drukarnia z Marek pokonała konkurencję...”.

My zaś napisaliśmy: „Od dawna z przyjemnością korzystamy z tej współpracy. Chcemy mieć spokój, to znaczy bardzo dobry druk i pewność, że nie grożą nam żadne poligraficzne kataklizmy”. (*mkp, pmn*)

Grzegorz Walczak

Nie dzwońcie do mnie... umarłem czyli Dokąd uciekasz¹

(fragmenty)

Osoby:

Magister, Dziewczyna, Diakon, Mela, Opiekunka, Psychiatra, Ksiądz proboszcz, Inspektor

Role epizodyczne, które mogą też być grane przez aktorów z obsady głównej:

Student 1, 2, 3, Pasażer 1, 2, Kobieta, Robotnik 1, 2, 3, Taksówkarz, Tirówki, Alfons – ochroniarz, Chłopak, Młody, Dryblas

1 Poniżej treść noty przewodniczącego jury nt. sztuki Grzegorza Walczaka, wyróżnionej wśród 232 dramatopisarzy w konkursie na dramat współczesny, zorganizowanym przez Stowarzyszenie ZAiKS i WFDiF dla projektu *Teatroteka – 17 XII 2018*:

Grzegorz Walczak „Dokąd uciekasz?” (Godło: Wers)

Gombrowiczowskie, filozoficzne i lekkie. Magister próbuje przelamywać bezrefleksyjne schematy i testuje granice tożsamości oraz rzeczywistości. Zaczyna od tego, że rozbiiera się przed grupą studentów, tłumacząc, że nic nie ma znaczenia, a potem jest coraz fajniej. Właściwie nie sposób odpowiedzieć, czy mu odbiło, czy doznał olśnienia. Towarzyszy mu dziewczyna, która jest inteligentnym lustrem jego szaleństwa/oświecenia. Wyobrażenie o tym wspaniałym wariacie zmienia się, gdy rozumiemy, że miał, ale zapomniał, odebrać od opiekunki swoją siostrę z zespołem Downa. Nagle ten wulkan relatywistycznego wyzwolenia zmienia odcień. W końcu po prowokacji religijnej dostaje łomot od wiernych i ląduje w szpitalu. Potem następuje wyjątkowo niewkurzająca rozmowa z psychiatrą, gdzie dwóch inteligentnych ludzi spiera się o rzeczy ważne. Następnie kolejna polemika z księdzem i świetna puenta sztuki wypowiedziana przez głównego bohatera, zamkniętego w izolatce psychiatryka: „Mieć nieograniczone możliwości i z nich nie skorzystać – oto prawdziwa wolność”. Moim zdaniem tekst z naprawdę wielkim potencjałem intelektualnym/znaczeniowym, energetycznym i polemicznym. Tak oceniłem, nie znając nazwiska autora.

Maciej Wojtyśzko

Akt 1
Scena 1

Sala uniwersytecka. Zajęcia z filozofii. Grupa studentów i magister milcząco krążący między stołem katedralnym, ławkami słuchaczy a oknem. Przystaje i nagle zwraca się do nich.

Magister: Drogie szczeniaki! Obudziłem się dziś rano i zrozumiałem, że... Nie, dziś nie będzie o Heglu, ani o szalonym Berkeleyu. Czytaliście „Przemianę” Kafki. Jego bohater przebudził się jako... owad. Ja miałem więcej szczęścia, obudziłem się Bogiem. *(szmer w sali)*

Student 1: Panie magistrze, proszę powiedzieć, jak się to robi?

Student 2: Nie przeszkadzaj, niech nawija.

Magister: Cóż to jest Bóg? Nieświadoma siebie przyczyna sprawcza wszystkiego, przypadek najwyższej patologii? ... Czy może pozamaterialna super świadomość o nieograniczonej potencji? Wolna aż do absurdu. Właśnie dzisiaj rano taką wolność posiadałem.

Studentka: My też tak chcemy.

Magister: Wam się to nie uda, bo zbyt jesteście przywiązani do ziemi i jej marnego porządku.

Student 1: Słusznie. Porządek jest do bani. Trzeba wszystko wyciąć.

Studenci z tyłu: Zamknij się, faszysto!

Studentka: Niech pan rozwinie, panie magistrze... tylko niech pan nie wpadnie w jaki solipsyzm, bo pójdziemy do domu.

Magister: Będę się pilnować. Figa! Nie będę się wcale pilnować, mam pełną swobodę i wszystko jest możliwe. Zapamiętajcie: ważne jest i naprawdę interesujące to, co możliwe, a nie to, co prawdziwe.

Student 1: Tak, tak – czytaliśmy Umberto Eco, *Słownik Hazarów* Pavicia, przerobiliśmy klasyczne figury Gombrowicza, który wielkim pisarzem był.

Studentka *(jakby znała tę lekcję):* Możliwość jest warunkiem płodności.

Magister: To, co już jest, już się stało, dokonało się, umarło. Rzeczywistość jest tylko macią przyszłości, a i sama przyszłość też jest uboga, gdyż jest jednowymiarowa, realizuje się w niej tylko jedna możliwość, tylko jedna ścieżka wielorakiego prawdopodobieństwa.

Student 2: Coś ściemnia.

Student 1: Gada bzdury.

Studentka: Może nie bzdury, może coś z tego wyniknie.

Magister: Zrozumiałem to dopiero dzisiaj i postanowiłem się oderwać od pracy dla przyszłości – swojej, moich bliskich, czy też tego pieprzonego narodu, śmiesznego, zdolnego, zwłaszcza do małpiarstwa.

Student 1: Jest pan mocnym patriotą.

Magister (*nie zwracając na to uwagi*): Wyobraźcie sobie esencję przedbytu, jako zaczyn niczym nieograniczonych możliwości, totalną wolność, zanim pojawi się ruch, zanim rozpocznie się cykl.

Studentka: Możliwość – to konieczny warunek wolności – dobrze pana czytam?

Magister: Zwracam wam jednak uwagę, że istota tkwi w nie-re-a-li-zo-waniu. Realizacja jest nieodwracalna i prowadzi do postępującej redukcji wolności, do zniewolenia, w końcu do martwicy.

Student 1: To abnegacja, intelektualna abnegacja.

Magister: To próba uwolnienia się od życiowych wyborów, próba unieważnienia ich sensu.

Student 2: To po co umył pan zęby?

Student 3: Po diabła się pan ubrał i to do tego w czystą koszulę i wyprasowane spodnie?

Magister: To wszystko nie ma znaczenia. Mogę wyklądać na golasa.

Studentka 1: Prosimy o dowód.

Magister: Proszę. Bardzo proszę.

Magister zaczyna się rozbierać. Wśród studentów, zwłaszcza studentek ożywienie. Piski dziewcząt. Faceci podśmiewają się i dopingują Magistra.

Studentka 2: On rzeczywiście!

Student 2: Wystarczy. Uznajemy.

Student 3: Naga wolność! Brawo!

Student 1: To prawdziwa wolność, nie?

Studentka 3: Pan nas obraża.

Magister: Przepraszę się. Pójdę na kompromis.

Jakaś studentka podaje mu chustkę.

Magister obwiązuje się nią poniżej pasa.

Studentka 1: Nie, niech pan tego nie robi. Ma pan ładnego ptaka.

Sztuczne śmiechy, drwiny, hałas.

Student 1: Ekshibicja, jako próba wyzwolenia, to stare jak świat, daremna demonstracja. Myślałem, że stać pana na coś więcej.

Student 3: Dobry jest, dobry. Spróbuj się, mądralo, rozebrać na wykładzie.

Student 1: A co za problem?

Studenci: My też możemy. *(Niektórzy zaczynają się rozbierać)*

Inni studenci *(z przewagą dziewcząt)*: Nie wygłupiajcie się.

Student 2: To nie filozofia, to plaża nudystów!

Magister: Niepotrzebnie się rozebraliście, bo to przecież nieważne. Można w majtkach, można i bez majtek, nieistotne. Czy pójdziesz w czapce na głowie, czy bez czapki, z orzełkiem, czy bez orzełka, z koroną, czy bez korony, *(studenci dzielą się na przeciwstawne grupy gołych i ubranych, wyskoczyli z ławek i powtarzają z przytupem słowa Magistra)* w lewo, czy w prawo, czy pójdziesz, czy nie pójdziesz, tupniesz, czy nie tupniesz, zabijesz, czy nie zabijesz, nawet czy się powieszysz, czy nie. Nic z tego nie wyniknie na dłuższą metę, ani dla ciebie, bo i tak umrzesz, ani dla wszechświata. Czas człowieka jest strzępkem czasu materii niegodnym uwagi. To tylko my, którzy w tym strzępku czasu zamigotaliśmy, wiążemy z tym jakiś subiektywny sens. A to jest gówno! Uniwersalne, powszechne gówno!

Student 2 *(z pogardą)*: Nihilizm, zwykły staromodny nihilizm.

Grupa golasów: Gówno! Gówno! Gówno!

Student 1: A czas ducha?

Magister: Życie pozagrobowe? – nie wiem, czym jest ta najbardziej nieprawdopodobna z możliwości. Nie wiem też, co znaczy nasz pobyt na Ziemi – ochłap rzucony przez Boga, czy przypadek samorodnej materii?

1 Grupa studentów: Bóg to patologia, totalna patologia.

2 Grupa studentów: Bluźniercy, lewackie szuje!

Magister: Bolesna jest ta nasza niewiedza. Na dzisiaj koniec. Idźcie do diabła!

Student 3: Ech, ilu proroków się marnuje, zamiast pracować w reklamie.

Półnadzy wychodzą, ubierając się po drodze. Na korytarzu spotykają innych studentów i zaskoczona ich wyglądem profesurę.

Pani profesor: Co z wami?

Studenci: Mieliśmy filozofię.

Za Magistrem szybko podąża Dziewczyna – Studentka 1.

Dziewczyna (*w marszu*): Bardzo ładnie pan to rozegrał, ekstra wykład.

Magister: Tak pani myśli?

Dziewczyna: Zakładamy własną radiostację. Gdyby się pan zgodził na opowiadki filozoficzne, takie trochę literackie... Byłby pan świetny. To nasz telefon (*usiłuje wcisnąć mu wizytówkę*).

Magister: Siostró, nie rozumiałaś mnie (*zmiąwszy wizytówkę, wyrzuca za siebie. W drzwiach swego gabinetu zderza się z Piotrem*).

Diakon Piotr (*szydlerczo*): Jam jest Piotr. Będę twoją opoką. (*Patrząc na niekompletny strój Magistra*) Chyba ci jest potrzebna.

Magister: O, mój kochany diakon. To i ty chodzisz na moje wykłady? Może wysłała cię Kuria?

Diakon: Studentki cię rozebrały? I coś im wyłożył?

Magister: Omnipotencję.

Scena 2

W przedziale podmiejskiego pociągu osobowego brzydka kobieta w średnim wieku, Magister i dwóch innych facetów: 1 – gburowaty, w kraciastej koszuli i 2 – wyglądający na urzędnika, w wymiętym garniturku.

Pasażer 1: To jest kiwi, proszę pani. Pani je kiwi.

Kobieta: No, tak.

Pasażer 1: Pani je kiwi bez zrozumienia. Jak kartofel.

Pasażer 2: ... jak ziemniak, po polsku lepiej – ziemniak.

Pasażer 1: Możliwe, ale niech pan powie, czy nie je bez zrozumienia?

Pasażer 2: To fakt, je jakby jadła kartofel.

Kiwi wylatuje kobiecie z ręki i toczy się po podłodze.

Kobieta: Czego wy ode mnie chcecie?

Magister: Czy nie czujecie, jacy jesteście ograniczeni?

Pasażer 2: ... że co?

Chwila konsternacji.

Magister: Ograniczeni!

Pasażer 1: To prawda.

Pasażer 2 (*do Pasażera 1*): Pan się z nim zgadza!?

Pasażer 1: Bo to prawda. A prawda jest dla mnie najważniejsza.

Magister: Prawda to replika rzeczywistości w naszym umyśle, nasze intelektualne jej odtworzenie. To nudne.

Pasażer 1: No, panie, widział pan, jak ona jadła to kiwi?

Magister: A wy jak żyjecie? Inaczej?

Pasażer 2 (*z kpiną do 1 pasażera*): A widzi pan, z kim pan trzyma.

Kobieta: Wszyscy jesteście nienormalni.

Pasażer 1: A niech pani zwróci uwagę na ten zielony mięsz, na te czarne drobne pesteczki. To jest egzotyczne, proszę pani, i delikatne. A pani to mlask, mlask, zupełnie bez zrozumienia. (*do Magistra*) Ma pan rację, profesorze, jesteście ograniczeni.

Magister (*do Pasażera 1*): Już jest pan ze mną. Tak się rodzą frakcje i frondy. Inteligencja brnie w to chętnie, a potem to już krok do rewolucji albo schizmy. W każdym razie terror zapewniony.

Wchodzi Konduktor i sprawdza bilety.

Konduktor: A pan? (*zwraca się do Magistra, który przez chwilę udaje, że nie może znaleźć biletu*).

Magister: Obudziłem się dziś rano i zrozumiałem, że...

Dziewczyna (*która pojawiła się za konduktorem – filuternie*): ... że bogowie jeżdżą na gapę.

Magister: O, pani Małgorzata...

Konduktor: Ma pan bilet czy nie?

Magister: Czy nie widzisz, dobry człowieku, że to wszystko jest iluzoryczne, pozorne? Zajmujesz się macaniem jakiś papierków, na których ktoś postawił stempel, wydrukował datę, określił domniemaną wartość. A to jest bezwartościowe. Ale cóż wy biedni konduktorzy dnia powszedniego wiecie o wartości?

Konduktor: Panie! Panie!

Pasażer 2 (*pokazując na głowę Magistra*): Wiedziałem, że nadprzeciętny.

Magister: Człowiek niestety, w swym zdeterminowaniu musi się przemieszczać, czyli pokonywać zbyteczne stad-dotąd. W istocie i tak to wszystko koncentruje się w jednym punkcie. Ten punkt to METHA, – pisana po grecku – do której ma nas doprowadzić rodzaj kosmicznego

eksperymentu, jakiegoś absurdalnego egzaminu, przed kimś, kogo nie widzimy, nie rozumiemy i zapewne nigdy nie poznamy.

Pasażer 2: Pan chyba za dużo czyta, albo ...

Konduktor (wyjmując bloczek): No jak – mam wypisywać?

Pasażer 2 (podpowiada): Z karą!

Magister: Największą karą jest bezrefleksyjny udział w tej tragifarsie, na którą się codziennie zgadzacie.

Pasażer 1: A cóż my możemy zrobić?

Magister: Pójdźcie za mną.

Dziewczyna (z entuzjazmem): Ja pójdę.

Konduktor (do Magistra): Pan pozwoli dowód osobisty.

Magister: I to według pana rozstrzygnie jakże skomplikowany problem tożsamości?

Konduktor: Mam wezwać policję?

Dziewczyna (do Konduktora): Niech pan nie zawraca głowy. Ile płacę?

Magister: Nie, to byłoby za łatwe. Takie rozwiązanie kończy sprawę. Wina, kara, bilet i po zbrodni.

Szybkim ruchem wyjmując z kieszeni kajdanki i przypina się nimi do rączki hamulca bezpieczeństwa.

Konduktor: Co pan robi? Czyś pan zwariował?!

Pasażer 2: Do hamulca!?

Konduktor: Ależ! ...

Magister: Poszerzam obszar fikcji (wyrzuca kluczyk za okno).

Pasażer 1: Zrozumiałem.

Pasażer 2: Co pan zrozumiał?

Stopniowe hamowanie pociągu. Konduktor wzywa policję.

Magister: Jak zwykle przemoc.

Ludzie przesuwiają się do wyjścia.

Dziewczyna: Niech się pan odepnie. Zabieram pana.

Magister: Spodobałem się pani.

Dziewczyna: Mhy.

Magister: Wtedy jak się rozebrałem?

Dziewczyna: Wtedy też, ale nie tylko.

Magister: Więc czego pani chce – mieć ze mną dziecko?

Dziewczyna: Trochę z tym poczekajmy.

Magister: Nie mam czasu.

Dziewczyna: To po co pan tu sterczy? Niech się pan odepnie. Na pewno ma pan drugi kluczyk w kieszeni.

Magister: Wie pani wszystko.

Dziewczyna: Może panienska rzuciła? Stąd to tupanie nogą na świat?

Magister: Może.

Dziewczyna: I teraz trochę boli chłopczyka?

Magister: A pani sobie trochę ze mną porozmawia, wszystko mi wytłumaczy, pocałuje i zaraz mi przejdzie?! Prawda?

Dziewczyna (*tym razem poważnie*): No, więc o co chodzi?

Magister: Mówilem na wykładzie.

Dziewczyna: Dzieciuch z pana.

(...)

Scena 9

Dziewczyna idzie korytarzem smutnego domu, mija zanurzonych w swoim świecie pensjonariuszy. Niektórzy ze sobą dialogują, niektórzy bez słowa przyglądają się czemuś bardzo odległemu. Wchodzi do pokoju, w którym znajduje się Magister.

Dziewczyna: Hej!

Magister: Po co tu przyszedłaś?!

Dziewczyna: Nigdy nie byłam w wariatkowie.

Magister: To błąd. Dawno powinn cię tu zamknąć.

Dziewczyna (*już poważnie*): Mów, co z Tobą.

Magister: Chcesz sprawdzić, czy oni mają rację? Co tak patrzysz?

Dziewczyna: Ty byś muchy nie skrzywdził. Dlaczego się przyznałeś do tego księdza? To przecież nie ty.

Magister: To nie ma żadnego znaczenia – ja, czy nie ja. Mógł kto inny, ale mogłem i ja.

Dziewczyna: Och, ty mój kochany wariacie. Będę na ciebie czekać choćby i wieczność. Tu też bym mogła zamieszkać... z tobą (*uśmiecha się trochę przez łzy, rozgląda się dookoła*) Mogłabym? Jak myślisz?

Magister: Herostrates... ten chociaż podpalił (*prawie płacze, Dziewczyna chce go przytulić, ale on odpycha ją gwałtownie*). Nawet nie chce mi się dupczyć. Kiedyś ten zabieg wydawał mi się tak ważny, tak cholernie ważny. Gdybym chociaż jednocześnie mógł być tobą i sobą. Wypuście mnie z tej dziupli, wypuście bo zwariuję!

Pielęgniarz: Ej, filozof, wystarczy! Niech już pani idzie. Wizyta skończona.

Magister: Zaczekaj. (*szeptem*) Zrobię ci dziecko, zrobię ci dużo dzieci. Będziemy kupować meble, chodzić do kina, będziemy spacerować, pod rękę, za rękę, będziemy ... ale musisz – nie wiem – coś niezwykłego, żeby zasłużyć. Podpal Bibliotekę Narodową, a choćby uniwersytecką – żebyś była wewnętrznie wolna. Pamiętasz, czego żądałem, czego nauczałem?!

Dziewczyna: Pamiętam, wszystko pamiętam. (*wychodzi*)

* * *

Pielęgniarka: Doktorze pędzej!

Dzwonki. Biegania. Reanimacja. Dziewczyna biegnie za łóżkiem, na którym go wiozą. Pielęgniarki zatrzymują ją przed OIOM-em.

Dziewczyna: Coś ty zrobił!

Scena na OIOM-ie nadrealna, pokazana z perspektywy lewitującego Magistra, którego próbują uratować. Lewitując pod sufitem, widzi siebie na łóżku w trakcie gorączkowych na nim zabiegów. Jednocześnie rozmawia z Dziewczyną, oddzielony od niej jakąś częściowo przezroczystą, ruchomą ścianą.

Magister (*półszeptem, z dużym wysiłkiem*): Wszystko już było. Wszystko literatura spisała... tyle książek, tyle bibliotek.

Dziewczyna: Szalony dzieciaku, a my?

Magister (*z trudem oddycha*): Próbowałem... I już wydawało mi się, że potrafię... (*Krztusi się*)

Dziewczyna: Nic nie mów.

Magister: ...choćby Uniwersytecką...

Dziewczyna: Spalę ci ją, kochany, spalę... wszystkie biblioteki ci spalę, tylko nie odchodź.

Scena 10

Przy wejściu awanturuje się Opiekunka, która chce dostać się na oddział szpitalny. Kilka kroków za nią stoi Mela i gapi się na reklamowy afisz jakiegoś leku psychotropowego. Koło Opiekunki usiłującej przekonać recepcjonistkę, że musi się zobaczyć z pacjentem, przechodzi Dziewczyna, która właśnie wyszła z sali Magistra. Słyszając jego imię z ust Opiekunki, zatrzymuje się.

Opiekunka: Muszę się z nim widzieć, muszę!

Recepcjonistka: Nie jest pani żoną, nie jest pani matką – nie możemy pani wpuścić. To oddział zamknięty.

Opiekunka: Możecie go sobie zamykać, ale weźcie też małą, ja mam swoje życie.

Dziewczyna: Hej, coś ty za jedna?! Jesteś dupa pana magistra?

Opiekunka: Kochana, znasz go?

Dziewczyna (zazdrosna, agresywna): „Kochana” – to może jesteś dla niego. Co, zrobił ci dzieciaka?!

Opiekunka: A właśnie, gdzie ta diablica?! Mela, gdzieś ty polazła?! (Od-dalają się od recepcji) Prowadź mnie do niego! (Dziewczyna nadal niepewna) Prowadź mnie. Nic nie rozumiesz. Mela ma siódmy zmysł. (Rozgląda się po korytarzu. Tymczasem Mela, korzystając z zamieszania, znalazła się na oddziale. Napotyka tu na podobne do siebie różne dziwne postaci. Idzie spokojnie i coś sobie gwarzy).

Mela: Mam ziarnko dnia i ziarnko nocy. Które wybierasz? Raz dwa trzy – ile to jest? Kiedy się położysz, do ciebie przyjdzie sen, a do mnie mój narzeczony. (Idzie dalej. Zwraca się do siedzącego na ziemi wąsatego gościa, który wsparł łokcie na kolanach, a dłońmi zasłania uszy). Mam siedemnaście chromosomów i dlatego jestem taka niezwykła...

Opiekunka podąża za Dziewczyną. Korzystając z nieuwagi recepcjonistki, przemykają wzdłuż szpitalnych ścian. Szukają Meli.

Opiekunka (do Dziewczyny): Nie jestem jego dupą. Ale ty na pewno. (*Nie dopuszcza Dziewczyny do głosu*) Nic nie mów, chodź, to może coś zrozumiesz.

W jednej z sal słyszą głos Meli pochylonej nad łóżkiem Magistra. Dłuższa cisza. Kobiety zatrzymują się w wejściu. Mela siada na łóżku Magistra. Ze specjalnego ruchomego wieszaka zwisa zbiornik z kropłówką.

Mela: Braciszku mój, dlaczego uciekłeś? (*Kładzie rękę na krawędzi łóżka. Do jej ręki, pełzną po pościeli, powoli, powoli, zbliża się ręka brata, przykrywa ją sobą i lekko drży. Na jego twarzy pojawia się z lekka kpiarski, szelmowski uśmiech.*)

Magister: A wiesz, siostrzyczko, wszystko to skończyłoby się kiepskim melodramatem, gdybym nie zmartwychwstał. No bo jest jeszcze przecież taka możliwość. Człowiek może zmartwychwstać, chociażby dla ciebie. Wybacz mi. (*Delikatnie głaszcze Melę po rękę. Po chwili kieruje wzrok na Publiczność lub w oko kamery*). Słuchacze moi, drodzy frajerzy, obudziłem się dzisiaj rano i zrozumiałem, że chociaż mógłbym wyjść na miasto i patrzeć, jak pięknie płonie Biblioteka Narodowa, rozkochać w sobie niejedną studentkę, zrobić rewolucję, naszprycować się, zostać Bogiem, ale mi się nie chce, zwyczajnie – nie chce. Chyba jeszcze poleżę sobie, porozmyślam, ile przede mną możliwości. Móc z nich nie korzystać – to jest wolność.

Koniec

Grzegorz Walczak

Alicja Patey-Grabowska

Pogodynka

Gdy jest pogoda
słońce
jak misa pełna miodu
leży na błękitnym obrusie
na niebie.

Gdy niepogoda,
z obrusa ścieka woda
dużymi kroplami
na ziemię.

Piotr Müldner-Nieckowski

O Kocie Odwrocie

Gdy tylko przyjdzie na to ochota,
całkiem odwracam mojego kota.
Gdzie jeszcze wczoraj miał kot ogonek,
teraz ma oczy zielone –
zwrócone w przeciwną stronę.
Gdzie do niedawna miał uszy,
teraz ma łapki i brzuszek,
zaś tylne pazurki z przodu,
a wąsy wystają spod brody.

Po prostu jest przerobiony
na odwrót i bez powodu,
przodem do tyłu francuską modą
oraz po rusku – tyłem do przodu.

Lecz spośród żadnych znanych mi osób
nikt jeszcze nie wpadł na taki sposób,
by kot, gdy go tulę, puszystą kulę,
co wszystkie dane ma pomieszane,
śpiewał piosenki dla mnie, bidulek,
dawniej przez niego tylko mruczone.
Z przodu ogonek, a z tyłu głowa,
nikt kota lepiej niż ja nie chowa.

2008

*Wiersz ten bluesową muzyką rozwinął Sławek Wiercholski
i dał do repertuaru zespołu „Korniki”.*

Małgorzata Karolina Piekarska

Czy dobry pisarz jest automatycznie bogatym człowiekiem?¹

Kiedy kilka lat temu światowy rynek książki zawojowała J.K. Rowling z cyklem powieści o Harrym Potterze, szybko do mediów przedostała się informacja o początkach jej pisarskiej kariery. Według doniesień medialnych autorka była biedną matką, która szkic powieści stworzyła na serwetce, a wymyślenie postaci nastoletniego czarodzieja przyniosło jej w szybkim czasie fortunę. Pozwoliło bowiem nie tylko na godne utrzymanie, lecz i zakup własnego zamku. Ta informacja sprawiła, że wielu czytelników postrzega dziś pisarzy jako ludzi bogatych, którym pisarski talent przynosi fortunę. Jednocześnie niektórzy uważają, że jeśli pisarz nie jest milionerem, to znaczy że jest nieudacznikiem, a tym samym złym autorem, tworzącym kiepskie dzieła. Czy to prawda? Warto się nad tym zastanowić.

Autorów, którzy utrzymują się z pisanie, jest wielu, ale tacy, o których można powiedzieć, że są bogatymi ludźmi, stanowią zaledwie garstkę. Na pewno na miano osób majątnych zasługują nobliści. Wynika to z prostego faktu, że Nagrodzie Nobla oprócz medalu towarzyszy gratyfikacja finansowa. Dzięki temu np. Władysław Stanisław Reymont kupił dwór w Chlewiskach, a majątek Wisławy Szymborskiej zasilił fundację jej imienia, wspierającą literatów. Olga Tokarczuk już zapowiedziała przeznaczenie części nagrody noblowskiej, która w jej wypadku wyniesie ponad 3,5 miliona złotych, na podobny cel. Nobel zresztą jest jedną z tych nagród, które zastępują promocję i tworzą modę na literaturę.

Od wielu lat związana jestem ze środowiskiem pisarskim nie tylko jako twórca, ale też członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Trzecią kadencję zasiadam w Zarządzie Oddziału Warszawskiego, a drugą kadencję jestem jego prezeską. Dlatego sporo wiem o statusie materialnym twórców. To ja występuję dla nich o nagrody, ale też i o wiele częściej o zapomogi. Pisarze bowiem przeważnie żyją skromnie, by nie powiedzieć – w nędzy. Cyprjan Kamil Norwid, za sprawą którego znalazłam się dziś w tym miejscu,

1 Odczyt dla licealistów, wygłoszony podczas Łochowskiej Jesieni Poezji na Festiwalu Literackim „Przystanek Norwida”, Łochów 2019.

jest bardzo często przywoływany jako symbol geniusza, który umarł w nędzy i nie jest to mit czy legenda tylko udokumentowany fakt. Na dodatek Norwid, który przeważającą część swojego życia spędził za granicą, głównie w Paryżu, nie żył z pisania. Utrzymywał się z malarstwa i prac dorywczych. Jego twórczość, uważana za trudną do zrozumienia dla współczesnych, po śmierci została zapomniana. Został odkryty dopiero w okresie Młodej Polski, co zawdzięczamy Zenonowi Przesmyckiemu ps. „Miriam”. Umierał jednak Norwid w kompletnym zapomnieniu. W 1882 r. w jednym z pism warszawskich ukazała się wzmianka o podparyskim Domu św. Kazimierza, będącym przytułkiem dla bezdomnych. W gazecie napisano: „tu mieszkał i umarł Olizarowski, tu dogorywa Cyprian Norwid...”. Tak bowiem było. Od jesieni 1882 roku Norwid w przytułku już tylko leżał w łóżku, na dodatek często płakał i nikomu się nie zwierzał. Zmarł nad ranem 23 maja 1883 i pochowany został na cmentarzu Montmorency. Część notatek poety została spalona po jego śmierci, gdyż uznano, że są to bezwartościowe papiery.

W 1839 roku niemiecki malarz okresu romantyzmu Carl Spitzweg namalował jeden ze swoich bardziej znanych obrazów zatytułowany „Biedny poeta”. Przedstawia ubogiego twórcę na poddaszu w małym pokoju. Artysta leży na materacu otoczony książkami. Nad nim jest rozpostarty postrzępiony, stary parasol, który być może zasłania nawet dziurę w dachu. Koło pieca, w którym płonie gazeta, leżą kolejne sterty gazet, służących do opalania mieszkania. Poeta ubrany w szlafrok jest w okularach, a na głowie ma szlafmycę, co podkreśla, jak zimno musi mu być w ciasnym pokoiku. Jednak mimo to w zębach trzyma gęsie pióro, a w lewej dłoni kartki. Pisz. Waży słowa. Patrząc na obraz, zawsze myślę o Cyprianie Kamiliu Norwidzie, który dziś uważany jest za czwartego wieszczą, po Adamie Mickiewiczu, Juliuszu Słowackim i Zygmuncie Krasińskim. Ale jest wielce prawdopodobne, że gdyby żył między nami, nie byłby hołubiony, bo ubogi.

Ostatnie lata pokazują, że zatracamy się w kulcie pieniądza. Jednocześnie... nie potrafimy podać skali mierzenia pisarskiej wielkości innej niż finansowa. Tymczasem ocenianie wartości literatury przez pryzmat zarobków jej twórców to ślepa uliczka.

W czasach celebrytów, czyli ludzi „znanych z tego, że są znani”, trudno jest prowadzić rozmowy o tym, co to znaczy „wielki człowiek”. A jeszcze trudniej odpowiedzieć na pytanie, jak rozpoznać, kto to jest „znany pisarz” albo „wielki pisarz”. Po pierwsze: pisarze są w przytłaczającej większości nieznani z twarzy. Po drugie: rzadko są obecni w mediach, a nieliczne

wyjątki zdają się potwierdzać tę regułę. Być może dlatego dziś z pisarzem ludzie niezbyt się liczą. W końcu to zawód, którego wykonywanie jest mało spektakularne. Gdyby nakręcić film o tym, jak wygląda praca pisarza, to zobaczylibyśmy na nim człowieka, który albo siedzi i pisze, albo siedzi i czyta. Nie da się przecież tych czynności robić ani w biegu, ani na wrotkach, ani na rowerze etc. Pisanie zaś wygląda nudno. Zwłaszcza gdy robi się to na komputerze i spod palców wychodzą litery pisane popularną czcionką Helvetica, Times New Roman czy Arial. Jakby tego było mało, w czasach wszechogarniającego nas kultu pieniądza ten zawód jest dość mało płatny. Pewnie dlatego nie spotyka się z szacunkiem, na który zasługuje, bo skoro pisarzom przeważnie ledwo starcza na życie, to jakim są wzorem do naśladowania?

Dlaczego jego zawód jest mało płatny? Otóż wydawanych jest coraz więcej tytułów, ale większość z nich ukazuje się w niewielkim nakładzie. Na dodatek dzisiaj każdy człowiek, który cokolwiek pisze, a którego stać na opłacenie druku, może to sobie sam wydać zgodnie z powiedzeniem: „kto bogatemu zabroni?”. Gdy kilka lat temu na jednym ze spotkań autorских chłopiec spytał mnie, ile zarabiam na książkach, a ja odpowiedziałam mu, że mam średnio mniej więcej dwa złote od sprzedanej książki, ów chłopiec wstał i powiedział, że nie warto ze mną rozmawiać, bo piłkarz Robert Lewandowski zarabia więcej. Wychowawczyni chłopca przepraszała mnie za zachowanie ucznia, ale ja się nie pogniewałam. Nie mam zwyczaju gniewać się na dzieci za to, że są niedojrzałe. Poza tym chłopiec wyniósł to z domu. Na marginesie tylko dodam, że chciałabym choć raz dostać za książkę, która ma same pochlebne recenzje, takie honorarium, jakie dostaje piłkarz za przegrany mecz. I w tym pragnieniu nie jestem odosobniona.

Niektórzy twierdzą, że dobry pisarz to taki, który publikuje za granicą. Bo to daje gwarancję sukcesu finansowego. Ale czy rzeczywiście? Przecież wszystko zależy od nakładu. Ile więc książek za granicą ma opublikować? W jakich krajach? Tam też są problemy. Czy np. tłumaczenie książki na język duński, którym posługuje się 6 milionów ludzi, czyli mniej niż polskim (na marginesie: województwo mazowieckie, w którym mieszkamy, liczy właśnie około 6 milionów ludzi), to sukces czy nie? Joanna Chmielewska – autorka popularnych w Polsce kryminałów, najwięcej czytelników miała w Rosji. Jest to gigantyczny rynek, bo ludzi posługujących się językiem rosyjskim jest 250 milionów. A jednak, gdy mówi się o sprzedaży praw autorskich na rynek rosyjski, przeciętny Polak uważa, że nie jest to sukces.

Że sukcesem jest podbój Ameryki i tylko Ameryki. Z drugiej strony, gdy Amerykę podbija Aleksandra Ziółkowska-Boehm – ostatnia sekretarka Melchiora Wańkowicza, ze swoimi książkami historycznymi i dokumentalnymi, ten jej sukces bywa przez niektórych deprecjonowany, bo twierdzą, że liczy się tylko powieść. A przecież dokument i reportaż to także literatura.

Polska literatura miała w swojej historii pisarzy drukowanych powszechnie za granicą w gigantycznych nakładach i tłumaczonych na kilkadziesiąt języków. Należy do nich m.in. nam współczesny, bo zmarły w 2006 roku, Stanisław Lem, a wcześniej między innymi Ferdynand Ossendowski czy Henryk Sienkiewicz.

W XVII wieku najsłynniejszym polskim pisarzem był Maciej Kazimierz Sarbiewski, który był nadwornym kaznodzieją Władysława IV.

Sława Sarbiewskiego była przeogromna. Uchodził za jednego z największych poetów europejskich epoki baroku i niemal każdy władca europejski chciał go mieć na swoim dworze jako piewcę swoich rządów i swojej osoby. Sarbiewski nazywany był „Horatius Sarmaticus”, czyli „Horacym Sarmackim”, albo „Horatius Christianus”, czyli „Horacym Chrześcijańskim”. Był też laureatem najwyższej nagrody literackiej swojej epoki, porównywanej z dzisiejszym Noblem, bo za taką uchodzi przyznanie tytułu *Poeta-laureat* przez papieża Urbana VIII w 1622 roku. Tytuł oznaczał, że papież uznał go za poetę królewskiego, po łacinie *Versificator Regis*. Taki tytuł otrzymało wcześniej tylko dwóch Polaków. Pierwszym był Klemens Janicki, autor m.in. satyr politycznych, uwieńczony przez Pawła III w 1540 roku, a następnie Adam Schröter, uwieńczony przez Piusa IV w 1564. Wszyscy trzej pisali po łacinie. Jednak tylko Sarbiewski został przetłumaczony na wiele języków i do dziś jest sprzedawany. Na portalu firmy Amazon można kupić jego wiersze m.in. po niemiecku i angielsku, i to wydane 2-3 lata temu. Mniej szczęścia ma Klemens Janicki, a z kolei wspomniany Adam Schröter nie ma nawet hasła w Wikipedii polskojęzycznej.

Kiedyś opowiadałam o Sarbiewskim jednemu ze znajomych wyznających kult pieniądza. Tłumaczyłam, że napisane przez niego *Lyricorum libri* doczekało się za jego życia kilkudziesięciu wydań w całej Europie, a w 1632 *Lyricorum libri* ukazało się w Antwerpii, jako luksusowa edycja z miedziorytami samego Petera Paula Rubensa. Znajomy spytał, w jakim nakładzie, a usłyszawszy, że wynosił on 5 tysięcy egzemplarzy, ryknął pełnym pogardy śmiechem. Nie było dla niego ważne to, że wówczas nie wszyscy potrafili czytać i że nakład 5 tysięcy w XVII wieku odpowiada dzisiejszym

Maciej Kazimierz
Sarbiewski
Liryków księgi IV.
Zbiór epigramatów.
Wyd. Oficyna Baltazara
Moretiego, Antwerpia 1684

24° S. 236. s.nlb. 4; A-P8.

MATHIAE
CASIMIRI
SARBIEVII.
LYRICORVM
LIBRI IV.
EPODON LIB. VNVS
ALTERQ.
EPIGRAMMATVM

ANTVERPIAE EX
OFFICINA PLANTINIANA
BALTHASARIS MORETI
MDCXXXIV
CUM
PRIVILEGIIS CAESAREO
ET REGIO.



wielomilionowym edycjom. Nie było też ważne, że do dziś tłumaczony jest na niemal wszystkie języki świata. Nakład 5 tysięcy za życia przesądził o ocenie. Sarbiewski to, mówiąc kolokwialnie, „cienias”. Nikt! A ilustracje Rubensa? A kto to ten Rubens!

Kilka lat temu namawiano mnie na udział w debacie w radiu TOK FM w sprawie zarobków pisarzy. Najpierw pomyślałam, że pójdę, ale potem... przemyślałam sprawę i w rezultacie odmówiłam, bo uznałam, że to nie ma sensu. Debata wykuła się bowiem po swoistym medialnym piekielku, które się stworzyło w środowisku po wyznaniu Kai Małanowskiej,

że na swojej książce pt. *Patrz na mnie, Klaro!*, nominowanej do literackiej nagrody Nike, zarobiła niecałe dziewięć tysięcy. Od razu skrytykowano ją za to wyznanie i zarzucono, że skoro zarobiła tylko tyle, to znaczy że jej książka jest słaba, a ona jest słabą pisarką. Gdyby była lepszą, sprzedałaby swoją powieść w większym nakładzie. Niestety. Już dawno udowodniono, że im lepsza książka, im bardziej wartościowa, tym trudniejsza w odbiorze, a tym samym... ma mniejszą liczbę odbiorców. Człowiek bowiem, wbrew temu, co próbował wmówić Fryderyk Engels, nie uczłowiecza się przez pracę, ale degeneruje przez lenistwo, szukając rzeczy coraz łatwiejszych w odbiorze. Przed wojną najlepiej sprzedającą się pisarką była Lucyna Ćwierczakiewiczowa, autorka książek kucharskich, m.in. *365 obiadów*. Jej publikacje sprzedawały się w nakładach większych niż dzieła Adama Mickiewicza czy noblisty Henryka Sienkiewicza. Dlatego nie wierzymy, że wielkie nakłady oznaczają, że za nimi zawsze kryje się dobra literatura, a autor książki publikowanej w wielkim nakładzie jest dobrym pisarzem. Często jest tylko bogatym. Niestety dla całej rzeszy dobrych a biednych pisarzy, którzy muszą tłumaczyć się z tego, że nie zarabiają kokosów na sprzedaży swoich książek. Zupełnie jakby to była wina ich, a nie czytelnika, który szuka łatwej rozrywki a nie ambitnej literatury.

Podobno święta Teresa z Ávili powiedziała kiedyś: „Dużo czytaj, a będziesz kierował innymi. Nic nie czytaj, a będą kierowali tobą”. Kiedy ponad pięćset lat temu wypowiadała te słowa, znajomość sztuki czytania i pisania nie były powszechne. Nie było tego zalewu książek, jaki mamy obecnie. Nie było więc takich jak dziś dylematów, co czytać. Wtedy, kiedy coś oglądało świat drukiem, było tego warte. Dziś, gdy umiejętność pisania jest powszechna, a czytania przynajmniej teoretycznie również, (bo jak wiemy, o czytanie ze zrozumieniem bywa w naszym społeczeństwie trudno), a na dodatek światem rządzi pieniądz, ogromne znaczenie ma też jakość literatury. Po prostu ważne jest, co czytamy. Tymczasem dyktat pieniądza, a co za tym idzie – pogoń za wielką sprzedażą powodują, że promowane są nie te najbardziej wartościowe dzieła literackie, ale te popularne. Te, które są łatwiejsze w odbiorze, które są czystą rozrywką, nawet często na dość niskim poziomie umysłowym i artystycznym. Ale to one dają zarobić wydawcom, księgarzom, autorom etc.

Kilkanaście lat temu do pewnej gazety codziennej dołożono roman-sidło. W redakcji, z którą wtedy byłam związana, znalazła się ta gazeta z owym romansidłem i długo leżała na stole. Po mniej więcej dwóch tygodniach, gdy nikt książki nie chciał, ulitowałam się i wzięłam ją do domu.

Tytułu dziś nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że doszłam w lekturze do strony 14, na której przeczytałam takie zdanie: „Przez zmrużone powieki dostrzegł dwie wypukłości pod jej koszulą. Inteligencja podpowiedziała mu, że to mogą być piersi”. Oczywiście czytając to i rzecz jasna myśląc, co by sądził o kobiecych krągłościach bohater książki, gdyby nie dał Boże nie był inteligentny – mało nie spadłam z kanapy! Nakład tej książki to kilkaset tysięcy egzemplarzy. Nie wiem, ilu miała czytelników, ale promowano to dzieło odwrotnie proporcjonalnie do jego wartości literackiej. Jak to odbierał czytelnik? Być może cieszył się, że sam jest inteligentny, bo podobnie jak bohater książki też wie, że dwie wypukłości pod kobiecą koszulką to piersi, a nie na przykład łokcie czy pośladki.

Owszem, można powiedzieć, że w dzisiejszych czasach pogoni za sukcesem rozumianym przeważnie jako pieniądź, powinniśmy się cieszyć, że społeczeństwo w ogóle coś czyta. Jednak naprawdę jakość i poziom czytanych przez ludzi lektur też ma znaczenie!

Nikt nie ma wątpliwości, jeśli chodzi o muzykę, że Wolfgang Amadeusz Mozart, Ludwig van Beethoven czy Fryderyk Chopin to jednak półka wyższa niż muzyka disco polo. Wiadomo, że kanał telewizyjny „Mezzo” ma niższą oglądalność niż „Polo TV”. Nikt jednak nie próbuje wmawiać ludziom, że muzyka klasyczna jest mniej warta od disco polo. Tymczasem w literaturze, zwłaszcza w Polsce, bardzo często wartość książek mierzy się słupkami sprzedawalności. Jeżeli coś sprzedaje się w dużych nakładach – to jest na pewno dobre, jeśli w małych – nic nie warto. Jednocześnie nie czytamy, jako społeczeństwo, poezji. Dlatego nakłady tomików poetyckich są w Polsce minimalne. Wyjątkami są tu nobliści i jeszcze kilku najbardziej znanych polskich poetów. Tymczasem pozostali twórcy muszą zadowalać się niewielkimi nakładami swoich książek, wydawanymi zresztą często dzięki dotacjom instytucji lub wspomaganiu sponsorów.

Podobnie jest z wartościową prozą. Nie chcę rzucać nazwiskami polskich autorów literatury popularnej, bo nie chcę być uważana za osobę niekoleżeńską lub zazdrosną o sprzedawane przez nich wysokie nakłady. Dziękuję im, że piszą coś dla kogoś, kto chce czytać tak zwane „przelatywacze”, czyli literaturę, której treść zapomina się po dwóch dniach. To też jest czytelnik. Są zarówno na świecie, jak i w Polsce pisarze, którzy sprzedają gigantyczne nakłady książek, choć ich lektura, znawców literatury wprawia w osłupienie. Publikują książki, przy których wyśmiewana w dwudziestolecu międzywojennym twórczość Heleny Mniszkówny, autorki *Trędowatej*, jawi się Adamem Mickiewiczem.

Dziś, gdy często literacki chłam wydawany jest w gigantycznych nakładach, autorzy ważnych książek mają kłopoty ze znalezieniem wydawców. Wielu na wstępie zadaje im pytanie: „Czy na pani/pana książkę można zarobić?”. Oczywiście wiele rzeczy zależy od promocji, na którą małe wydawnictwa nie zawsze mają pieniądze. Ale prawdą jest, że trudniejsze w odbiorze publikacje niełatwo się promuje. Czytelnik przyzwyczajony do literatury lekkiej i łatwej, czytając trudniejszą książkę, szybko się zniechęca. Na dodatek wielkie sieci księgarskie mają swoje cenniki promocji. Dyktują ceny: tyle tysięcy kosztuje postawienie książki na wystawie, a tyle tysięcy na środku sklepu – i tak dalej. Sprostanie ich finansowym wymaganiom sprawi, że książka, za promocję której wydawca zapłaci, trafi szybko na listy bestsellerów. Kto ma na to pieniądze? Przeważnie wielkie wydawnictwa. Choć te ostatnie często, by zarobić, decydują się na wydawanie literatury niskich lotów, bo taką po prostu łatwiej sprzedać.

Rozmawiałam jakiś czas temu z przedstawicielką jednego z czołowych polskich wydawnictw. Takich uznanych i przodujących. Było to przy okazji lektury jednej z mocno promowanych książek. Przyznam, że najpierw myślałam, że to, co czytam w sieci, to streszczenie książki. Gdy zajrzałam do publikacji w księgarni, (a nie było to trudne, bo książka w sztywnej, lakierowanej i złoconej okładce była we wszystkich salonach wystawiona na samym środku), ujrzałam, że to, co brałam za streszczenie, jest pierwszym rozdziałem powieści. Dalej było tylko gorzej. Dlatego przy okazji spytałam wydawcę: „Jak mogli państwo coś takiego wydać? Zajrzałam do środka i oniemiałam. To jest literacko straszne. A państwo wydali to w sztywnej, lakierowanej okładce i oplakatowali pół Polski!”. I co usłyszałam? „Proszę pani. Bo to się świetnie sprzedaje, a dzięki temu my możemy zarobić pieniądze na wydawanie wartościowych publikacji, które nie są dochodowe”.

Z jednej strony to ładnie, że chcą wydawać dzieła wartościowe. Z drugiej... Szkoda, że aby je wydać, muszą na to zarobić potwornym, literackim chłamem. Szkoda też, że aby sprzedać jeszcze więcej tego chłamu, decydują się go promować. Nadszarpują bowiem w ten sposób swoją markę wydawnictwa wydającego dobrą literaturę. Pogoń za pieniądzem tych środowisk związanych z książką powoduje, że czytelnicy, zwłaszcza niewyrobieni literacko, nie zdają sobie sprawy z tego, że gdzieś tam istnieje literatura wartościowa. Odbierają świat, jakby był czarno-biały. Myślą często, że coś, co lubią wszyscy, to hit, a coś, co jest mało popularne, to kit. Tymczasem w przypadku sztuki – a literatura jest jedną z jej dziedzin – sprawa ma się często zupełnie odwrotnie.

Głośno było w Polsce o książce autorstwa Eriki Mitchell, brytyjskiej dziennikarki, która pod pseudonimem E.L. James opublikowała powieść *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Książka uznana przez krytyków za literacko złą i fatalnie napisaną, sprzedawała się jednak w gigantycznym nakładzie. Nawet w Polsce kupiło to ponad pół miliona czytelników. Należący do stylu „fan fiction” czteroczęściowy cykl sagi *Zmierzch* autorstwa Stephenie Meyer, też nie jest uważany za dzieło wybitne. Jednak saga ta nie spotkała się z aż tak miażdżącą krytyką jak książka E.L. James. Nie sprzedawała się też w aż takim nakładzie jak *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. Podobno nazwisko tytułowego bohatera powieści E.L. James jest nawiązaniem do *Portretu Doriana Greya* Oskara Wilde’a. Szkoda jednak, że książka Eriki Mitchell nie przyczyniła się do wzrostu zainteresowania Wildem. Sprawdzalam, czy w Polsce wzrosły nakłady sztandarowego dzieła irlandzkiego pisarza. Nic z tych rzeczy. Być może jednak wynika to z faktu, że dla większości jest to literatura za trudna albo co gorsza archaiczna, bo od powstania *Portretu Doriana Greya* minęło już ponad 120 lat. Niestety, przetaczająca się przez media i różne środowiska dyskusja o lekturach szkolnych, które co jakiś czas uznawane są za nudne i archaiczne, pokazała, że społeczeństwo nie wie, czemu służyć szkolne lektury. One nie mają zachęcać do czytania, od tego są zupełnie inne książki. Lektury mają pokazywać historię literatury i polskiej i światowej. Jak się kształtowała i rozwijała, i co zawiera istotnego dla naszej kultury, dla cywilizacji.

Być może zresztą od zachęcania do czytania jest właśnie ta literatura niskich lotów. Naturalnym jednak dla ludzi inteligentnych, a nasze społeczeństwo lubi za takie się uważać, jest przechodzenie wraz z wiekiem od czytania literatury popularnej do literatury wyższej i trudniejszej. Tymczasem, polskie biblioteki często wycofują klasykę, ograniczając liczbę tytułów do niezbędnego minimum. Książek ambitniejszych kupują zaś niewiele. Jeżdżąc sporo po Polsce ze spotkaniami autorskimi, trafiłam kilka lat temu do pewnej biblioteki na prowincji. Gdy po spotkaniu spytałam, czy mogę skorzystać z toalety, pokazano mi pomieszczenie i uprzedzono, bym uważała i się nie wywróciła, bo tam na podłodze leżą książki. I tak po chwili z pozycji sedesu patrzyłam na dzieła Ernesta Hemingwaya, Liona Feuchtwanegra, Roberta Gravesa i wielu innych pisarzy, którzy kształtowali mnie niegdyś jako czytelniczkę. Gdy spytałam, co te dzieła tam robią – dowiedziałam się, że są wycofywane ze zbiorów. Od dawna nikt ich nie wypożycza, a poza tym mają brzydkie okładki. „Czytelnicy chcą teraz książek ładnych i kolorowych” – powiedziała bibliotekarka, uświadamiając mi,

że tym, co ludzie czytają, najczęściej są romanse, kryminały i wspomnienia celebrytów. Kilka miesięcy później o tym właśnie napisałam sztukę *Bubbleteka*, która jesienią 2017 roku miała premierę w teatrze rozrywki w Chorzowie. Niestety coraz częściej polskie społeczeństwo czyta po prostu buble. Jakby tego było mało – wierzy, że czyta rzeczy wielkie i upiera się przy tym, że tak jest. Tłumacząc, że przecież kupiły to miliony, a ich autor jest bogatym człowiekiem. To wszystko zaś jawi mu się jako gwarancja obcowania z wielką literaturą.

Dziś można sparafrazować słowa świętej Teresy z Ávili i powiedzieć: „Czytaj dobre książki, a będziesz kierował innymi. Czytaj złe, a będą kierowali tobą”. By jednak tak się stało, trzeba nauczyć się odróżniać dzieła dobre od złych. By odróżniać, trzeba przestać myśleć o autorze jako bogacz. Trzeba przestać oczekiwać od pisarza, że zostanie milionerem.

Stoję tu przed państwem jako prezeska Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, którego współzałożycielami byli między innymi polscy nobliści – Czesław Miłosz i Wisława Szymborska. Którego członkinią jest ostatnia noblistka – Olga Tokarczuk. Zdziwiliby się państwo, ilu autorów chce do nas należeć, ale nie przechodzi przez sito komisji kwalifikacyjnej, w której skład wchodzi literaturoznawcy i językoznawcy. A są to często autorzy, których książki osiągają gigantyczne nakłady. Jednocześnie zdziwiliby się państwo, jak wielu jest wśród naszych kolegów autorów ubogich, których nazwisk państwo zapewne nie znają, gdyż ich twórczość ukazuje się w niewielkich nakładach. Ale to ona pcha do przodu historię polskiej literatury. Podobnie jak pchnął ją Cyprian Kamil Norwid, który jest takim Jankiem Muzykantem polskiej poezji. I o Norwidzie trzeba pamiętać. Pamiętać o pisarzu i poecie, który na swojej twórczości nie zarobił na czynsz. A jednak dziś spotykamy się tu na konkursie JEGO imienia. Norwid nie był i nie jest jedynym. Podobnie jak on dziś żyje ponad dziewięćdziesiąt procent polskich poetów. A ja, wypełniając wnioski o zapomogi dla niektórych z nich, codziennie zastanawiam się, czy znajdzie się kiedyś ktoś, kto pochyli się nad ich twórczością tak, jak na to zasłużyli. W czasie kultu celebrytów i pieniądza jest to dla mnie coraz bardziej wątpliwe, ale... wszystko zależy od tego, czy czytelnik będzie chciał się rozwijać i czytać ambitniejsze książki. A wszyscy przecież wiemy, że nadzieja umiera ostatnia.

Małgorzata Karolina Piekarska

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Drugi obieg wydawniczy w książce dla dzieci ¹

Uwaga: biały kruk!

Wśród tekstów przygotowanych dla podziemia wydawniczego lat 80., które wyszły spod pióra Joanny Papużyńskiej, jest komiks *Bajka o smoku niewawelskim napisana bez wiedzy i zgody K.M.* Komiks – jako odrębna publikacja – ukazał się w 1987 roku, jego wydawcą było Wydawnictwo Społeczne KOS. Dziś to biały kruk. Cieszy więc, że Wydawnictwo Literatura zdecydowało się opublikować ten tekst ponownie. Jeszcze bardziej cieszy, że na tym nie poprzestało. Komiks poprzedza fabularna opowieść z dziecięcym narratorem o życiu w PRL-u, a całość domyka posłowie, m.in. z informacjami na temat drugiego obiegu wydawniczego. Trzyczęściowa książka (piękna graficznie, starannie zaprojektowana) nosi wyjątkowo trafny tytuł: *Zbuntowane słowa*.

Bajka o smoku niewawelskim napisana bez wiedzy i zgody K.M. (tj. Kornela Makuszyńskiego) konstrukcją, formą i rytmem wiersza nawiązuje do komiksów o Koziołku Matołku spółki autorskiej Makuszyński–Walentyńowicz. Autorka z wielkim humorem opisała w niej tragikomiczną rzeczywistość Polski Ludowej, w tym czasy powstania „Solidarności” i okres stanu wojennego.

Bohaterem części poprzedzającej komiks jest kilkuletni chłopiec, który przygląda się swojej rodzinie i opowiada czytelnikowi o peerelowskiej rzeczywistości: stan wojenny, ludzie pozamykani w więzieniach, paczki słane z Zachodu, w których pośród ubrań i produktów spożywczych znajdowano nielegalne druki wypełnione „zbuntowanymi słowami”.

Posłowie pomaga zrozumieć realia tamtych czasów, autorka wyjaśnia tu m.in. w jaki sposób drukowano bibułę i jak ją rozprowadzano, przywołuje wydawnictwo Nowa, wspomina o spektaklach teatralnych wystawianych w domach i w kościołach, o Radiu „Solidarność” i o ulotkach zrzuconych z dachów.

Takiej książki dla dzieci – klarownej i sprawozdawczej – o czasach PRL-u brakowało. Dobrze więc, że mamy *Zbuntowane słowa*, jestem

1 Fragment artykułu *Okienka na świat*, który ukaże się w „Bibule”, periodyku Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

przekonana, że książka niejednokrotnie posłuży za wstęp do rozmowy dziadków z wnukami lub nauczycieli z uczniami, dla których peerelowska rzeczywistość to niezrozumiała bajka.

Małgorzata Strękowska-Zaremba



Komiks Joanny Papużyńskiej
Bajka o smoku niewawelskim napisana bez wiedzy i zgody K.M. (tj. Kornela Makuszyńskiego)
Podziemne wydanie Wydawnictwa Społecznego KOS z 1987 roku



Joanna Papużyńska
Zbuntowane słowa,
seria: „Wojny dorosłych – historie dzieci”
wyd. Literatura, Łódź 2019

Andrzej Titkow

Światło i mrok

Na początek dwa cytaty:

Wiemy, że walka o pokój nie może się ograniczyć do zebrzań, przemówień i deklaracji. Każda ponad normę wydobyta tona węgla, każdy dobrze i sumiennie wypełniony obowiązek zawodowy, każde przeciwstawienie się imperialistycznym próbom siania zamętu i każdy krok naprzód w pracy nad odbudową i budową Ojczyzny – są manifestacją walki o pokój. Jeśli jednak ta walka, wspierając się i umacniając na pracy i ideowym uświadomieniu jednostek, posiada również charakter walki zbiorowej, łącząc w swych szeregach ludzi Partii i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących, robotników i intelektualistów, chłopów i inteligentów – słuszną wydaje się rzeczą, abyśmy i tego tak doniosłego charakteru naszej akcji nie zaniedbywali, akcentując na zebraniach do dzisiejszego podobnych naszą pełną solidarność w ocenie i zrozumieniu tych zagadnień, które z walki o pokój czynią centralny punkt najważniejszych problemów politycznych, społecznych i moralnych naszych czasów.

Związek Radziecki, kraj socjalizmu, jest dla wszystkich ludzi miłujących pokój tym, czym dla płuc jest powietrze i czym dla organizmu ludzkiego jest serce. To serce świata jest zdrowe, silne i piękne. W Związku Radzieckim nie mówi się o wojnie. W ZR mówi się o pracy i pracuje się po to, aby wysiłkiem ludzkich rąk i umysłów usunąć wszystko, co ludzkość trapi i gnębi, a zbudować to, co ludzkość podnosi na wyższy, dotąd w historii nieznany, szczybel godności człowieka.

Drętwy, martwy, papierowy język, jakim posługiwali się kiepscy dziennikarze, polityczni agitatorzy, aparaczczyki partyjni. Kim zatem był człowiek, który takim językiem opisywał skomplikowaną, pełną napięcie rzeczywistość powojenną?

Czesław Miłosz dobrze znał autora tych słów. Poznali się jeszcze przed wojną, a w okupowanej Warszawie zostali przyjaciółmi. Potem, gdy ich drogi się rozeszły, w jednej ze swych książek, przyszyły noblista z chirurgiczną precyzją, a zarazem z wielką empatią opisuje drogę twórczą swego dawnego przyjaciela. O jego przedwojennym debiucie pisał tak:

W owym czasie wielu młodych pisarzy ulegało urokowi prozy Józefa Conrada. On był na sposób pisania Conrada szczególnie wrażliwy, bo miał skłonność do ustawiania swoich bohaterów hieratycznie i posągowo (...) Ktoś o nim powiedział, że zanim weźmie pióro do ręki, nakłada powłóczęstą szatę maga. Godnością, która by mogła nasycić jego ambicję, była godność kardynała (...) Był obdarzony znakomitą zmysłem humoru w rozmowie, zmieniał się zupełnie, kiedy zaczynał pisać: odtąd przebywał tylko w najwyższych rejestrach tragedii (...) Powieść, która była jego pierwszym dużym sukcesem, została szeroko rozreklamowana jako powieść katolicka, a on uzyskał dzięki niej tytuł najzdolniejszego katolickiego pisarza, co w kraju katolickim, jakim była Polska, nie było mało (...) Katolicyzm dostarczał języka: w pojęcia takie jak grzech i świętość, ciemność duszy i łaska można było uchwycić przeżycia opisywanych osób, a co najważniejsze – język katolicki wprowadzał od razu ton podniosły, zaspokajał tęsknotę do kardynalskiej purpury (...) W pewnym momencie spostrzegł, że zabrnął w fałsz, bo przebywał wśród idei o ludziach, a nie wśród żywych ludzi. Katolicyzm jego nie był niczym więcej niż maską, którą się posłużył.

A kilka lat potem...

Wybuchła wojna, nasze miasto i kraj stały się częścią imperium Hitlera. A jednak żyliśmy i ponieważ byliśmy pisarzami, staraliśmy się pisać. On w ciągu tych lat realizował powodzeniem ideał pisarza moralnego autorytetu. Jego zachowanie się było zachowaniem wzorowego pisarza-obywatela. Jego sądy o tym, jakie postęпки są właściwe, a jakie niewłaściwe, uchodziły w kołach literackich za rodzaj wyroczni i zwracano się często do niego z prośbą, aby rozstrzygnął, czy ktoś nie wykroczył poza zasady niepisanego patriotycznego kodeksu. Przez ciche uznanie został rodzajem przywódcy wszystkich pisarzy w naszym mieście.

Bohater tej opowieści bardzo boleśnie przeżył upadek Powstania Warszawskiego, w którym zginęli także młodzi, wielce obiecujący literaci. Ludzie, których dobrze znał, z którymi rozmawiał i dyskutował. Czuł się winny ich niepotrzebnej śmierci. Czesław Miłosz tak o tym pisze: Jego gniew był skierowany przeciwko tym, którzy spowodowali klęskę: oto był przykład, do czego prowadzi wierność nielicząca się z nikim i niczym, kiedy spotka się z koniecznościami Historii (...) Zaiste, on był jednym z odpowiedzialnych za to, co się stało. Czyż nie widział wpatrzonych w siebie oczu młodzieży, kiedy czytał swoje opowiadania na potajemnych wieczorach autorskich?

Powstanie upadło. Polska została wyzwolona lub, jak chcą inni, zniewolona przez zwycięską Armię Czerwoną. Rodził się jakiś nowy, nieznany

nikomu kształt przyszłej Rzeczypospolitej. W tej niespodziewanej, całkiem ekstremalnej sytuacji ludzie wahali się i miotali. Podejmowali skrajnie różne życiowe decyzje. Dotyczyło to także pisarzy. Czesław Miłosz opisuje meandry drogi życiowej swego ówczesnego przyjaciela, w czasie, gdy zdecydował się dołączyć on do obozu zwycięzców:

Trzeba było żyć i działać, a nie oglądać się na to, co minęło. Nie należy się więc dziwić, że on, jak większość jego kolegów, oświadczył od razu, że chce służyć nowej Polsce, która właśnie powstawała na gruzach dawnej. Wtedy, to jest w roku 1945, każdy, kto mógł być użyteczny, był radośnie witany; nie wymagano bynajmniej, żeby był czerwony. Jego ambicje były zawsze ogromne. Nie mógł być jednym z wielu, musiał przewodzić i przewodząc znajdować dostateczne powody do własnej wyniosłości. W ciągu pierwszych lat nowego porządku naprawdę przywiązał się do rewolucji. Wreszcie był pisarzem ludowym, jego czytelnicy rekrutowali się spośród mas robotniczych. W pewnym momencie uznał, że w swojej praktycznej działalności jest już komunistą, wstąpił do Partii i natychmiast ogłosił wielki artykuł o sobie jako pisarzu. Była to samokrytyka, to jest akt, który w chrześcijaństwie nosi nazwę spowiedzi.

Wstąpił do partii w roku 1950. Pokochał Wielkiego Brata i został żarliwym wyznawcą Nowej Wiary. Z wielkim zapałem neofity głosił:

Świat, który w naszych przewidywaniach, niezależnie od różnicy systemów społecznych i niezależnie od różnic ideologicznych, miał ze sobą współpracować, coraz wyraźniej począł się dzielić na dwa obozy, lecz nie według linii narzuconej kłamliwie przez propagandę imperialistyczną, lecz według istotnego podziału historycznego: na obóz imperializmu, antydemokracji i obóz antyimperializmu i demokracji.

W latach 50. wydał kilka książek, które w zasadzie były jedynie tekstami propagandowo-agitacyjnymi, bez żadnych literackich wartości. Jednak natychmiast po śmierci tyrana bielmo zaczęło powoli schodzić z jego oczu. Już w roku 1953 napisał tekst, w którym zaczynał odzyskiwać swój własny głos. Ta króciutka nowelka nie doczekała się wówczas druku, ale krążyła w odpisach. Niewiele miała wspólnego z tekstami poprzednimi. Zaczyna się ona od snu protagonisty, który szykuje się do ważnego referatu. Śni mu się, że podczas zebrania, zamiast wypowiadania mądrych, napuszonych słów, pieje głośno jak kogut. Budzi się i, z uczuciem niepokoju, idzie na ważne zebranie i wygłasza swoje przemówienie. Wprawdzie nie pieje, przeciwnie – mówi poważnie i rzeczowo, ale i tak na sali zaczynają dziać się rzeczy niepojęte. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, zgromadzeni na sali

sluchacze zaczynają kolejno nakładać na swoje głowy gazetowe czapki. Prelegent jest oburzony, jednak gdy wchodzi do toalety i patrzy na swoje odbicie w lustrze, stwierdza z przerażeniem, że ma na głowie taką samą papierową czapkę. A tak oto kończy się ten przewrotny, oddychający już całkiem innym powietrzem, utwór:

Na dworze był już świt i ptaszki wesoło świergotały za oknem. Nie usnąłem już, rzecz jasna. I nic więcej na ten temat nie mam do powiedzenia, chyba to tylko, że gdy ów sen opowiadałem później kilku przyjaciółom, kolegom po piórze, okazało się, że oni również mieli sny podobne, chociaż, muszę to stwierdzić, niezupełnie, jak wynikało z poszczególnych relacji, takie same. Jeden na przykład wybitny prozaik przyznał się wprowadzić do SNU, lecz stanowczo zaprzeczył, aby nawet we śnie mogła go najść ochota do zapiania. Ciekawe, nie? Okazuje się, że nawet we wspólnocie SNU ludzie zachowują swoje indywidualne oblicze. Muszę się zastanowić, czy to jest w porządku.

Jerzy Andrzejewski, bo o nim tu mowa, miał na swym koncie kilka haniebnych tekstów socrealistycznych, których zapewne bardzo się wstydził. Doktrynalny pancerz komunizmu, który sam sobie nałożył, męczył go dotkliwie, stał się nieznośnym ciężarem. Pisarz wszedł w ten bolesny czas wielkiego przewartościowania z ogromnym impetem i pełnym zaangażowaniem. Potępił stanowczo swoją rolę entuzjasty i propagatora „Nowej Wiary” i zapragnął zmierzyć się ze swoją wstydliwą przeszłością przy pomocy literatury. Napisał wiele tekstów, które uznać można za „rozliczeniowe”. Najważniejszym z nich jest niewątpliwie powieść *Ciemności kryją ziemię*.

Akcja powieści rozpoczyna się w dniu, gdy do Villa-Real w Manczy przybywa Generalny Inkwizytor Kastylii, Walencji i Aragonii. Jest połowa września 1485 roku. Dominikanin Tomas de Torquemada budzi powszechną grozę i lęk. Zanim został Wielkim Inkwizytorem, ponad 20 lat był przeorem klasztoru Santa Cruz w Segowii, wciąż jest spowiednikiem i doradcą pary królewskiej, Izabeli I Kastylijskiej i Ferdynanda II Aragońskiego. Ma 65 lat i jest być może, poza parą królewską, najpotężniejszym człowiekiem w Królestwie Kastylii i Aragonii. W dniu swego przyjazdu Tomas de Torquemada zatrzymuje się w miejscowym klasztorze dominikanów. Jeden z zakonników, brat Mateo, oznajmia jego przybycie do miasta młodemu zakonnikowi Diego. Ale brat Diego nie darzy miłością Wielkiego Inkwizytora. Buntuje się przeciwko przemocy. Wypowiada bluźniercze słowa: *Gdybym mógł modlić się za tego człowieka, prosiłbym Boga, aby usunął go spośród żyjących*, wyznaje: *Wiarę moją zachowałem nieskażoną, ale serce*

mam zranione i sumienie zmaczone. Jednego dnia na quamadero w Sewilli widziałem stu ludzi płonących na stosach. Śpiewałem razem z braćmi hymn, a przecież poprzez ten ogromny śpiew nie mogłem nie słyszeć jęków i krzyków umierających. Ale już tej nocy następuje zaskakujący zwrot akcji. Diego spotyka w kościele samotnego mnicha, który podobnie jak on, modli się żarliwie. Wyznaje mu swe wątpliwości: Ojcze! Ta suknia mnie pali, duszę się w niej. Pali mnie, ojcze, ponieważ jest hańbiona przez ludzi, którzy ją noszą. Ale mówi te słowa, nie będąc świadomym, do kogo mówi. A wypowiada je przed obliczem samego Wielkiego Inkwizytora. Tomas de Torquemada przerywa gniewnie spowiedź żarliwego mnicha. Diego wraca do swojej celi, przekonany, że oto przeżywa ostatni dzień swego życia. Jednak już następnego dnia Wielki Inkwizytor odbywa z bratem Diego długą, bardzo osobistą rozmowę, podczas której zręcznie przekonuje go, że obaj wyznają te same wartości. I tak brat Diego Manente, całkiem nieoczekiwanie, zostaje powołany na stanowisko osobistego sekretarza Wielkiego Inkwizytora.

Następnie powieść Andrzejewskiego relacjonuje odbywającą się stopniowo, przez długie lata, głęboką, nieodwracalną przemianę młodego, zbuntowanego, żarliwego i pełnego empatii mnicha w swoje przeciwieństwo, okrutnego, bezdusznego, pozbawionego wszelkich skrupułów despotę. Diego Manente jest sekretarzem osobistym Wielkiego Inkwizytora przez 13 lat. Młody, naiwny, żarliwy dominikanin, którego poznajemy na początku tej opowieści, stał się doświadczonym, pozbawionym złudzeń mężczyzną, cynicznym graczem politycznym, który dobrze rozumie, jak toczy się świat i który w swoich wyrafinowanych rozgrywkach z wielką biegłością posługuje się podstępem, donosem, szantażem, plotką i kłamstwem. Akcja powieści kończy się śmiercią Tomasa de Torquemady. W dniu 16 września 1498 roku Wielki Inkwizytor, wraz ze swym orszakiem, przybywa do Ávili. Jest schorowanym, zmęczonym życiem, 78-letnim starcem. I nagle następuje całkiem nieoczekiwana metamorfoza. Budzący powszechne przerażenie okrutnik postanawia wszystko zmienić. Pragnie odpokutować swoje winy. Dzieło wielkiej przemiany chce powierzyć swemu sekretarzowi. Dyktuje mu gorączkowo projekt dekretu: *Z dniem 16 września roku 1498 Święta Inkwizycja zostaje rozwiązana (...) Procesy nasze i wyroki tracą swoją moc, jako fałszywe, podkreśl to, bo to jest szczególnie ważne (...) Tak więc dla uratowania ludzkości od całkowitej zagłady i aby uchronić ludzi od pogrążenia się na zawsze w odmęty niewoli, strachu, kłamstw i nienawiści, musimy zburzyć to wszystko, co w pogardzie dla człowieczeństwa i wśród złudnych urojeń zbudowaliśmy własnymi rękoma kosztem największych ludzkich*

nieszczęść i cierpień (...) Od dzisiaj nie będzie strachu na ziemi. Wszystko zaczniemy od nowa, a właściwie ty, mój synu, zaczniesz. Jesteś młodziutki, żarliwy i czysty... Ale Diego nie jest już ani czysty, ani żarliwy. Jest przerażony tym bluźnierczym wywodem i nie chce go słuchać. Nie zna już żadnej innej rzeczywistości, poza strachem, kłamstwem, obłudą i doktrynalnym posłuszeństwem. Niczego nie chce zmieniać. Udaremni starczą fantazję swego szefa. Totalitarna machina, którą uruchomił dominikanin Tomas de Torguemada, będzie i po jego śmierci działała sprawnie i bez zarzutu.

Jerzy Andrzejewski wystąpił z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w roku 1957 i od tej pory konsekwentnie zwalczał opresyjny, autorytarny ustrój PRL-u. Był współautorem słynnego „Listu 34”, występującemu przeciwko państwowej cenzurze, w marcu 1968 roku solidaryzował się z pałowanymi studentami i przeciwstawił się haniebną antysemitce, antyinteligentce nagonce, sprawnie zorganizowanej przez jedynie słuszną partię. Jako jeden z niewielu, potępił napad wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, a w następnej dekadzie był członkiem redakcji drugo-obiegowego „Zapisu” i aktywnie wspierał KOR.

Ciemności kryją ziemię, powieść napisana przez Jerzego Andrzejewskiego ponad pół wieku temu, jest tekstem uniwersalnym. Dotyczy zarówno przeszłości, jak i teraźniejszości. Z pewnością okaże się także przydatna w diagnozowaniu przyszłości. Tekst, odczytany po latach, wydaje się niepokojąco aktualny. Warto o nim pamiętać, bowiem za naszymi oknami słychać wrzawę nienawistników, gotowych wznosić nowe mury i organizować kolejne krucjaty, a na naszych oczach rozgrywa się kolejny akt odwiecznego spektaklu pod tytułem *Sojusz Ołtarza z Tronem* i widać już, jak nad nasz kruchy ład zewsząd nadciągają ciemności.

Andrzej Titkow

Janusz Andrzejczak

Pośród drogi

Przestworzą się ptaki od lotu,
drewnieją drzewa od stania.
Jestem, już jestem gotów.
Idę. Z mgły się wyłaniam.

Lasem się lustrzą kałuże
od traw, po czubki sosen.
Za sobą cieniem się dłużę,
w kieszeniach dłonie niosę.

Drogi kręte, drogi proste,
Brzozę mijam, mijam sosnę
Swoją drogą, zawsze jedną
dotąd, aż się nogi zegną.

I tylko

A gdzieś tam
płynie rzeka
gdzieś leśniczówka
przy niej pies
do księżycy szczeka

Gdzieś tam
na łąkach
rozpięta w trawach
pajęczyna
jak koronka

Gdzie indziej gór
piętrzy się masyw
a jeszcze gdzie indziej

z wielu wielu drzew
puszcze i lasy

I ja w tym wszystkim
najmniejszy z małych
w środku muszelki

Jeszcze będziemy

Jeszcze będziemy orać w konie
bronować siał i zbierać siano
Nad cichym polem zmierzch zapłonie
rozjarzy ziemię zaoraną

Zima odświeży sobie pamięć
nasroży się, rozbieli, zmrozi
i ludzie w niewidomą zamieć
znów na pasterkę będą chodzić

Jeszcze u studni żuraw stanie
i pełne wiadro zmarszczy lustro
Człowiek bez wstydu spojrzy na nie
bo wreszcie w nim nie będzie pusto

I tylko Bóg
Bóg mnie widzi
wielkim

Janusz Andrzejczak

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Sen III

18 kwietnia 1965

Pamięci powstańców Warszawy

Dlaczego ciągle wraca do mnie
echo tamtych kroków?
Ktoś biegnie. Upadł. Jakiś krzyk.
I znowu cisza? Stygnąca lawa.

Mieszkaliśmy na piętrze
od podwórza
ale okna sięgały gdzieś dalej
w głąb
do wewnątrz
do oka cyklonu
w przestrzeń zalaną
wiekuistym światłem.
To było niezmacone
jądro chaosu
tu czas zawęził się
atolem bezruchu
tu żyliśmy jak w sercu
kryształu
I dana nam była
ZWŁOKA.
Nie wiedziałem co było za bramą.

Ale któregoś dnia
(słońce stało okrutne i nieruchome na niebie)
cisza rozprysła się nagle
jak szklanka.
Wybiegliśmy na taras: w podwórzu
nie było nikogo
Spojrzałem po domach:
były nieme i puste

jak twarz umarłego.
Tylko wiatr dyszał w oknach
otwartych na przestrzał.
Pojąłem.
To kończył się mój świat.

Tam, na ulicy
w odgłosach wystrzałów
otchłań otwierała swe odmęty.

Sen XXXVII

7 czerwca 1985

W koszarach nad urwiskiem
o północy
graliśmy z sierżantem
w osobliwą grę:
trzeba było otwierać drzwi
wiodące w próżnię
i wyławiać z ciemności
kołyszącego się
nad przepaścią
trupa

Ktoś nagle mówi:
– Tam nie ma sznura
– To pachnie siarką
dorzuca inny.
Po izbie przebiega dreszcz
i wionie mrokiem
wisielec staje w drzwiach
przechodzi koło nas
i znika
to był
Józef Stalin.

Sen XLIII

28 marca 1987

Jakby po Wielkim Kataklizmie.
 Nie zostało nic.
 Starta ziemia, miasta, historia.
 Byliśmy tymi, którzy przeżyli:
 drżąca trzoda zmartwiałych
 niedobitków.
 Ekipy ratownicze
 przybyłe nie wiadomo skąd
 chyba z odległych planet
 poddawały nas badaniom:
 dno oka
 biotest
 liczba indywidualna
 refleksy.
 Potem wprowadzano nas
 do osobnej kabiny
 w kształcie piramidy
 gdzie jakiś wicher światła
 niewysłowionej błogości
 przywracał nam
 życie

Les Alyscamps

Grobowce, ciche przystanie myśli, mądra, głęboka mowa milczenia.
 Wplątane w gałązki pogody tańczą tłumy bachantek.
 Kamienne łodzie w słońcu przybijają do gościnnych brzegów.
 Po niebie depcą bose stopy cienia.
 W świątyni wiecznego lata umarłe obecności uwiły gniazda z chłodu.
 W winnicy wygnania bieleje mirra naszych kości.
 Popieliska mórz wzbierają falą nowych przypływów.
 Pragnienia oblekają się w ciało.
 Ziarno raz rzucone w czystą otchłań ziemi nie lęka się śmierci.

Arles, lato 1962

Muzyka

Gram. Jestem rycerz. Boga zamyslenie.
Krzysztof Kamil Baczyński

Bóg był samotny.
Smukłe drzewa ciszy
darzyły go już tylko
goryczami cienia.

Zmęczony był ogromem
i nieskończonością.
Znużony wiecznym ruchem
i wieczną przemianą.

I zapragnął wymknąć się
swojemu trwaniu,
zamarzył chwilę
swego przed-istnienia.

Ale jak umknąć
przed istotą swoją,
gdzie jednym źródłem biją
śmierć i zmartwychwstanie?

Jak wyjść poza siebie,
gdy wszystko jest sobą,
gdy nicość nie istnieje
a byt jest złudzeniem?

Smutek go owionął
bezszelestnym skrzydłem.
I stała się
muzyka:
Boga zamyslenie.

Vivaldi: *Estro armonico*

Wszystko jest muzyką.
 Wszystko płynie dźwiękiem.
 Wszędzie się wznoszą
 muzyczne ogrody.
 I światło śpiewa
 strumieniami kwiatów.
 I woda śpiewa
 promieniami zorzy.
 Wszystko jest muzyką.
 Gest, kształt, ułamek spojrzenia.
 I słowo pomyślane
 i myśl wysłowiona.
 I miłość. Miłość zwłaszcza.
 Jej źródła, rzeki, oceany.
 Jej jesień pełna bolesnego złota.
 Wszystko jest muzyką.

Liszt: *Sonata h-moll*

Katedry
 katedry
 strzeliste katedry mroku
 czarne kryształły
 ciemności
 popieliska modlitw
 schodzenie
 zstępowanie
 w coraz niższe kręgi
 coraz mroczniejsze otchłanie
 aż do jądra nocy
 do gniazda żywiołów
 aby przejrzeć
 odzyskać wzrok
 źrenicę źrenicy
 oko oka

ślepotę ślepoty
by dotrzeć
aż po żar niewygasły
po nowy początek
po samą
nieprzeniknioną
przyczynę
Światła

Krzysztof Andrzej Jeżewski

Andrzej Książek

Manifest poezji krytycznej

Poezja jest czymś więcej niż ładnym wiązaniem słów. Stawia sobie za zadanie ujawnienie ukrytych, relacji między przedmiotami a ludźmi i między poszczególnymi osobami (aspekt egzystencjalny). Odsłanianie i Odkłamanie mechanizmów, np. społecznych, ideologicznych, marketingowych, reklamowych, propagandowych, nie zawsze uświadomionych, które rządzą ludźmi, powodują i prowokują do Takiego a nie INNEGO DZIAŁANIA.

Poezja stawia sobie za zadanie Tropienie Kłamstw i Fałszerstw, Pozorów i Imitacji (aspekt gnozeologiczny i demistyfikujący). I tego wszystkiego, co zaśmieca Świadomość i jest Uzurpacją. Pretenduje do bycia Wartością w sensie nie opisowym, lecz normatywnym. Celem poety jest dążenie do Rzeczywistego, poprzez odpłatywanie pajęczej siatki indywidualnych mitów i zbiorowych mitologii (masowego zachłystywania się). Jediną drogą prowadzącą do Rzeczywistego, Prawdziwego, Autentycznego jest tropienie, wykrywanie Fałszerstw i Zafałszowań żywej tkanki języka oraz Zakłamań i Mistyfikacji – dotyczy to szczególnie metajęzyka. Odkrywanie i demitologizacja czyni sensownym i celowym proceder artysty-poety. Przywraca WIARĘ W SZTUKĘ.

Opanowanie do najwyższego stopnia wirtuozerii i mistrzostwa poety to za mało, aby usprawiedliwić To, co robi. ZMYŚLANIE i WYMYŚLANIE niestworzonych rzeczy to dużo i niewiele, aby zapobiec jałowości.

Robienie sztuki i sztuczek, które mają zachwycać, zaszokować, wprowadzić w zdumienie, letarg, zabawiać, godne jest zawodu cyrkowca, prestidigitatora, który za każdym razem z rękawa wyjmuje zajączka.

SZTUKA nie może tylko bawić, być np. zabawą słowami, być ucieczką, dawać iluzje. Tylko. Jeżeli To coś powinno dawać, to dawać pretekst do myślenia, czucia, odczuwania, do stosownego wartościowania i przewartościowania.

Sztuka winna prowokować, budzić uśpiony umysł, który obrósł zwalami tkanki tłuszczowej. WYTRĄCAĆ z AUTOMATYZMU myślenia, widzenia i działania. Zachęcać do czynnego uczestnictwa w świecie, w jego bogactwie i ubóstwie, w jego budowie i przebudowie. Inaczej umysł złapany w przestrzeni Internetu (wiedzy powierzchownej, opartej na mniemaniu), sieci schematu, stereotypu, przyzwyczajęń, nawyków, intelektualnych

trików, uprzedzeń, staje się tępym, nieczułym, niezdolnym do poznania świata takim, JAKI ON JEST. A nie takim, JAKI SIĘ WYDAJE. Bądź przyjmuje się w sposób automatyczny, BEZKRYTYCZNY taki, JAK CHCĄ INNI, żeby był (instytucje, korporacje wyposażone w najnowszy sprzęt do manipulacji jednostką i tłumem). W imię nie PRAWDY, lecz doraźnych interesów i korzyści oraz dalekosiężnych projektów, niewiele dających i niewiele mających wspólnego z Osobną Odrębną Jednostką.

W tej zaistniałej sytuacji egzystencjalnej i ARTystycznej POEZJA jako autentyczny wyraz ducha ludzkiego, niczym nieskrępowanego, konwencjami ani konwenansami wyraża swoją nieufność i kwestionując utarte sposoby postrzegania, tworzy nowy, inny obraz świata, wolny od naleciałości i licznych uwarunkowań.

Takie rozumienie nadaje nowy, inny sens, odnawia więzi, stawia na to, co łączy a nie dzieli i jest ponad nacjami, rasami, grupami interesów. Przerzuca zerwane mosty. Ten rodzaj myślenia, to głośny, nagłośniony przeciw SZTUKI która odnowiona, oczyszczona urasta do rangi, jaką powinna mieć we współczesnym świecie.

Warszawa 1989

Opowieść

Opowieść o życiu
bez udawania.
Gry. Pozy. Pozorów.
Bez retuszu.
Ściemniania rozjaśniania.
Dodawania tego czego nie ma.
Odejmovania od tego co jest.
Mnożenia mitów legend.

Świat jest taki jaki jest.
Niewykluczone że jest
najlepszy z możliwych.

Niezaspokojenie

Po uwolnieniu rąk.
Po uwolnieniu się od przesądów schematów i
przyzwyczajęń.
Najprostsze prawdy
świecą w ciemnościach.
Wskazują drogę pogubionym wędrowcom
clochardom i innym tułaczom.
Skazanym na poszukiwania.
Na wieczne niezaspokojenie pragnienia.

Nasz powszedni dzień – nasze codzienne umieranie

Tutaj jesteśmy niewolnikami.
Ale jest jeszcze inny świat
w którym pozbędziemy się łańcuchów
złudzeń i fałszywych proroctw.

Zaprzągnięci do indywidualnych ambicji.
Zbiorowych rywalizacji.
Powszechnej mobilizacji.
Zapomnieliśmy o najprostszych gestach.
Nasze gesty zastygły w połowie drogi.

W pogoni za umykającą chwilą jak
za oddalającym się niebem.
Chwytamy w pośpiechu
jakieś strzępy
jakieś okruchy
jakieś odpady.

Jesteśmy ale tak naprawdę
nas nie ma.
Jest tylko pozór imitacja gra.
Brzęczące monety którymi płacimy codziennie
za chleb i kilka innych drobiazgów potrzebnych
do życia.

Iluzja

Bierzemy udział w niekończącym się wyścigu.
 A właściwie nie jest to wyścig tylko pościg
 za zranioną zwierzyną.
 Usiłujemy wzlecieć ponad odchody
 w kierunku rocznych dochodów i przychodów
 chwilowych korzyści.
 Mając przyjemność za jedyny
 drogowskaz.
 Całe szczęście że to tylko chmury które gonią
 za chmurami.
 Odpływają
 odsłaniając niebo które od niepamiętnych czasów
 trwa
 i jest wciąż takie same.

Pozory i pozy

Kto w tej grze jest
 ofiarą a kto katem.
 Kto jest przegranym a kto
 zwyciężonym.
 Zwycięzców nie ma.
 Wszyscy kiedyś będziemy leżeć
 pokotem
 i płaszczyć się przed byle jakim robakiem.
 Są tylko niewolnicy przywiązani do własnych
 małych ambicji
 permanentnego braku poczucia
 humoru i własnej tragedii
 i właściciele drogich aut i perfum
 w modnie skrojonych garniturach jak w zbrojach.
 Podlegli prawom tej przyrody której częścią jest hiena
 [rozrywająca zranioną łanię
 na oczach stada jeleni.

Kolejny raz

Chcemy się wyrwać z przekłętego kręgu anonimowości
i przejść do historii.

Jeżeli nie powszechnej to
przynajmniej własnego życia.
Wymyślamy legendy mity
na użytek wygłodzonej publiczności.

Chcemy za wszelką cenę być.
Nawet za cenę ucieczki od siebie.
Udajemy kogoś kim nie jesteśmy.
W tym celu dopuszczamy się kolejnych
przestępstw – przywłaszczając sobie nie swoje myśli słowa
gesty.

Kim naprawdę jesteśmy
będąc zlepkiem posklejanych kawałków
gazet rozmów filmów plotek cudzych opinii.
Żyjemy z drugiej ręki.
I to w pozycji
która w niczym nie przypomina dumnego
homo sapiens.

Nieurodzaje

Wrodzona wada wzroku bogini sprawiedliwości
(nie pomogli w tym względzie bosczy uzdrowiciele)
sprawiła że przestajemy wierzyć w dziejową
sprawiedliwość w obiektywną prawdę
w absolutne piękno.

Miłość jak krople deszczu na wędniejących
liściach kwiatu róży.
Nadzieja taka sama jak przed laty
mimo swojego dojrzałego wieku
wciąż naiwna.

Jedynie nienawiść rzeczywista aż do trzewi
rozlewa się szerokim brudnym strumieniem
zalewając uprawne pola i ogrody.

Jedynie pragnienie odwetu i zemsty
góruje nad naszymi głowami.
I lotem latawca który zerwał się szpulki z niemi
wzbija się
rysuje w powietrzu aureolę.

Nienasycenie

Można schować się do wnętrza
lecz świat kusi
drażni zmysły.
Nasze zmysły jak oszalałe zwierzęta.

Można się zachowywać jak kawałek wysuszonego drewna.
Lecz pożądanie i pragnienie przemienia nas w gąbkę
w której wsiąka zarówno woda deszczowa
będąca przyczyną wszystkiego co rośnie
jak również brudy z kuchni

Można na morzu pełnym możliwości.
Zaskakujących zdarzeń.
Bez widocznego znaku
wodnego.
W zakamarkach tzw. duszy.
W przestrzeni tak wolnej że bez przeszkód można
wykrzyzczyć każdą radość ból
zwątpienie.

Andrzej Książek

Wiesław Mandryka-Bukowiński

„Pustka. Gdy liście z drzew opadną...”

Mamo, dzwoniłem.

Sygnałów dźwięk nieprzerwany zasmuca,
niepokoi...

Już nie będę kciuków męczył na Twitterze.

Obiecuję. Przyszekam.

Tato przekaż.

Zadzwonię, zadzwonię jeszcze raz.

Na pewno.

Wczoraj nie mogłem tyle spraw.

Czy na długi wyszłście spacer?

Mamuś, pamiętasz?

Gorące ciasto chciałem podjadać z piekarnika.

Kakaowo-cytrynowe, wyrośnięte nad anielską miarę.

Straussa walce rozbrzmiewały w czarno-białej skrzynce.

Za oknem świerszcze.

Kosa żółtodzioba concerto grosso

i żółte kaczeńce

Pytałaś, czy jestem pewien.

Czy pewien jestem wyboru.

Jain, mówiłem. Któż to wie?

Choć o tym śniłem, marzyłem.

Niepokornym wilczkiem byłem.

Tato pamiętasz. Uczyłeś,

że mocno mam trzymać stery.

I bym nie upadł, bo boli. A gdy upadnę,

bym z kolan powstać umiał i nie zwlekał,

bo będzie trudniej.

Świat pędzi dalej, nikt nie chce czekać.

Już wieczór zapadł i na nic zaklęcia.
Trzeba poczekać do jutra.
Dziś idź już spać.
Niech Cię Synu utulą promienie słońca.
A gdy się obudzisz zadzwoń.
Już nie musisz się spieszyć.
Tam, gdzie jesteśmy nie ma początku ni końca.

Warszawa, 01.11.2018

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

otwarte zeszyty

*szkolnemu koledze Heńkowi Wojteckiemu
dziewiętnastolatkowi
który zginął tragicznie w wojsku*

mieliśmy
po kilkanaście lat i graliśmy w piłkę
na szkolnym boisku

któregoś dnia
on
ją wziął i zaczął gdzieś biec

*głośno
szumiały topole na starym cmentarzu
a horyzont
zachodził krwawo jak rzędy płonących świec*

pobiegliśmy za nim
ale on cały czas się oddalał
jakby gdzieś
mu się bardzo śpieszyło

u schyłku nocy przysiadłem na kamieniu
wokoło czern
on w moich oczach jakby rósł
a horyzont malał

i słychać było dalekie echa
dzwonów które gdzieś dzwoniły

nasze ołowiane żołnierzyki
porzucone kiedyś w zaroślach
zapomniane

jakby się podnosiły
i na baczność stawwały

*stare topole
szumiały coraz bardziej boleśnie
i jakby się rozstępowały
i zmieniały szyki
by zrobić komuś drogę*

on
zniknął gdzieś w ciemnościach

świt wstał
ale był nadal barwami nocy pokryty
jak
kruk lecący za horyzont z otwartą raną
a wiatr szalał
i kwiaty polne w strzępy rwał

chciałem pobiec za nim
i naszą piłką
ale

ktoś wskazał w stronę szkoły i powiedział
że
na jego ławce leżą otwarte zeszyty

nadeszła nauczycielka z łzą wiatrem szarpaną
i dodała
że jego wiatr był inny
bo
szybki jak szkwał
ale i taki młody
że prawie dziecinny

*słyszać było odgłos konarów
żałosny
jak jęk ptaka niewidoczną strzałą przebity*

usiadłem a oni
dwoje staruszków
powoli poszli w stronę szkoły
jakby
chcieli pograć w piłkę na szkolnym boisku
albo
pozamykać Heńka zeszyty

wiele lat później w Radziejowicach

Jerzy Marciniak

Alicja Patey-Grabowska

Ballada o stokrotce

Pamięci zmarłych poetek

Zmarła poetka
mało znana
w szpalerze róż
kropelka biała

Zmarła poetka
Nikt o niej nie pisze
Milczą nekrologi
Tylko wiatr kołysze
drzewem pod którym
wiersze pisała

Zmarła poetka
stokrotka biała
W szpalerze róż
skromnie schowana

Los sprawiedliwy
wytnie róże
bo takie piękne
takie duże

Stokrotka zostanie
głęboko schowana
bo taka skromna
i taka mała

I ktoś ją wreszcie
kiedyś dostrzeże
zamieści w słowniku
w komputerze

Czas sprawiedliwy
wyciąga w końcu
z cienia tych skromnych
I stawia w słońcu

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

na zgodę
sadzą razem jabłoń
syn z ojcem

wakacje
w zakurzonej muszli
morze dzieciństwa

kwitnące krzewy
chylę głowę raz po raz
w drodze do domu

jesień
dzierga sieć
pająk na ganku

ochłodzenie
po gorącej nocy
dwie porcje lodów

zmrok jesienny
tuli się do ściany
pająk

księżyc żniwiarzy
czerwieni się za drzewem
cały on

Krzysztof Saturnin Schreyer

Burza

Chyli się biały żagiel ramion,
namiętny wiatr uderza,
blask oczu słońcem bije,
otchłań bez dna, miękkość fali,
jeszcze nie, jeszcze żyją,
zielone algi – czułość.

Piorun uderza,
zrywa liny,
ginie kotwica,
płyną, płyną
na ciche wody zatoki,
a wokół cisza – miłość.

4 V 2018

Ze zbioru „Znaki Zodiaku”

Magnes

Jak nazwać cię, tak bliską a jakże daleką,
najądą za drzewami, nad szeroką rzeką
z odbiciem lśniącym blado pod księżycem jasnym?
To wizja romantyków, ja mam obraz własny.

A więc widzę cię w blasku, przy ognisku w dali,
które w leśnych ostępach czarownik zapalił
i w tym ogniu wykuwa magnesu podkowę,
to na moje życzenie. Bo jedną połowę
ja mam dostać, a drugą podaruję tobie.
Czarownik, cóż, wbrew prawom fizyki to robi,
po to jest czarownikiem. Magnes twój ozdobi
złotym sercem, na moim wykuje łańcuszek,
co znaczą te symbole wyjaśniać nie muszę.
Wprawdzie czary zdjąć można innych czarów siłą,

lecz ja z nadzieją myślę, że się nie zdarzyło,
 aby przestały działać bieguny magnesu –
 ich mocne przyciąganie będzie trwać bez kresu.
 Powiesz, że to bajkowe poety rojenia?
 To prawda, lecz nadziei to mojej nie zmienia,
 że, by związać poetkę, co kocha – nie kocha,
 może dobrym sposobem będzie bajka płocha?

4 III 2018

Nasza pani

Notre Dame to dla świata wielki znak Paryża.
 Gdy turysta gdzieś z dali do niego się zbliżał
 to zadzierając głowę i patrząc na wieże
 podziwiał lecz nie zawsze wzdychał, mówiąc: wierzę!

We wnętrzu na filary, witraże, sklepienia
 patrzył zachwyty tylko pełen i zdumienia,
 że oto poprzez wieki, bez techniki, skromnie
 stworzono gmach jak wielką, potężną symfonię.

Katedra Naszej Pani! – To dla Niej kamienie
 windowano mozolnie pod samo sklepienie.
 I to pod jej spojrzeniem i pod jej urokiem
 przez wieki rzeźbiąc kamień, modlitwy głębokie

mówili z żarem serca, a one wsiąkały
 w kolumny przeogromne i mocne jak skały.
 Byliśmy tam oboje w czas turystów tłumny,
 więc nie usiadła w ławce lecz u stóp kolumny

i rękę swoją kładąc na twardym kamieniu
 chłonęła wieki modlitw szeptanych w natchnieniu.
 Cóż znaczy ogrom murów i kunszt budowniczych
 bez serdecznej idei?

Teraz to się liczy
 i wielka fala bólu w krąg się rozprzestrzenia,
 gdy dzieło wielkie z ducha niszczyje w płomieniach.

Lecz nie zniknie na zawsze, bo najtęższe mury
mogą padać pod dzikim atakiem natury,

lecz idea co łączy ludzi i narody
nie zniknie pod naporem ognia ani wody.
Z piekielnego przypadku wielkie ognia snopy
obudziły wielkiego ducha Europy.

Wierzący i wątpiący, ludzie wielu krajów
do jednego dziedzictwa teraz się przyznają
i w obliczu utraty stwierdzają zdumieni,
że z jednego są świata, z tych samych korzeni.

25 IV 2019

Rachunek prawdopodobieństwa

Nauka pytania zadaje wciąż nowe
i szuka odpowiedzi, które w naukowe
muszą być opatrzone wykresy i dane.
inaczej będą śmieszne lub zignorowane.

A więc jak odpowiedzieć na pytanie trudne,
czy to miłość prawdziwa, czy rojenia złudne?
Po nocach nie śpi? Kocha! A sen dobry? Mówi,
że sumienie ma czyste, zarówno gdy lubi,
jak i kocha gorąco i we śnie głębokim
dobrze widzi jej wszystkie skrywane uroki.

Gdy za rękę ją bierze i spogląda w oczy,
ona usta nadstawia i trochę się droczy –
czy to objaw miłości, czy płochych zalotów?

Uczonym też przysparza to trochę kłopotów,
ale wpisują pilnie w ankiet swych rubryki
ten punkt, aby wzmocnić siłę statystyki.

A potem podliczają, także statystycznie,
jak często się spotykał, czy telefonicznie
próbował sprytnie śledzić jej każde spotkanie,
zdradzając tym swą zazdrość? – Punkt pod „zakochanie”.

Lecz kiedy zapewnienia zwalniają stokrotne –
uczeni plus stawiają w rubryce „przelotne”.

Idą razem do kina i on płaci za nie?
 Plus – niewielki, rzecz jasna, też pod „zakochanie”.
 aczkolwiek niewielkiej trzeba wyobraźni,
 by postawić też znaczek w rubryce przyjaźni...
 I tak mnożą się liczne, ściśle obserwacje.
 Jak wysnuć z ich mnogości jedną słuszną rację?
 Ale, hola, od czego jest matematyka!?
 Jest teoria mnogości, a w tle statystyka –
 Komputer nam rozwiąże to trudne zadanie,
 wystarczy mu podsunąć złożone równanie.
 Wolni! Wolni od pytań męczących przekleństwa!
 Rzecz wyjaśni rachunek prawdopodobieństwa.
 I komputer rozwiązał tej sprawy zawilość:
 Pięćdziesiąt procent miłość, pięćdziesiąt nie miłość!

22 III 2018

Stoisko bukinisty

Jak dobrze iść Chmielną ręką w rękę z tobą,
 przyglądając się ludziom i architekturze –
 dachy, okna ozdobne i niebo nad głową.
 Słońce błyszczy na murach, a więc oczy mrużę.

Idą dziewczyny w spodniach, nie wiem czy się śmieją,
 chłopcy niedbałym krokiem życie przemierzają,
 albo kroczą z teczkami, z kariery nadzieją.
 Czy może czasem jedni na drugich zerkają?

Chociaż światy w tym tłumie miesza się różne,
 płyną rzeką szeroką, prądem jednolitym.
 A na brzegu stoiska. Tam nadzieje próżne,
 że poezji i prozy wybór znakomity

zatrzyma choć na chwilę, przywabi, zachęci.
 Tom geniusza co pisząc strawił młodość całą,
 wiekowa mądrość mędrca, dramatu trzy części,
 który niegdyś dyskusję wzbudził niebywałą –

wszystko wynik mozołu lub natchnienia chwili.
Teraz leżą jak głązy, a potok przepływa,
czas biegnie, słowa bledną, nikt głowy nie schyli,
tylko para poetów, chwilowo szczęśliwa,

bo idą, patrząc w przyszłość, serdecznie objęci.
Lecz po chwili ich dusze łapią myśli czarne,
bo od myśli i uczuć w głowach aż się kręci,
lecz pisać, po co, na co? Na marne, na marne!

27 VIII 2018

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Młoda dziewczyna śpi

Młoda dziewczyna śpi – a ja
 Piję piwo o piątej rano przed półkami bibliotecznymi
 Wypatruję poetów – a oni
 Nie żyją

Nie, nie chodzi o Słowackiego
 Niektórych znałem
 Z niektórymi się minąłem
 Z niektórymi piłem

Poeci wyklęci?
 Poeta przeklinający nie znaczy od razu przeklęty!
 – Co się stało?
 – Ktoś podkradł Verlainowi termin „poeci wyklęci” i każdego
 kto się zaczął rzygami lub wypadł z okna po pijaku teraz stawia na
 kompromitujący piedestał
 – Chcą ich obłaskawić, zniechęcić nastolatki, żeby nie fascynowały
 się alkoholikami: poeci wyklęci? Szkolne lektury

Iredyński zapił się na śmierć mając 46 lat
 Grochowiak 42
 Stachura powiesił się nie dożywszy 42
 Hłasko pomieszał tabletki z wodą w wieku 35 lat

Czyli sam fakt, że mając 30 lat leżałem w łazience na podłodze
[rzygając krwią]

Nie wprowadzi mnie do panteonu poetów wyklętych
 Dożyłem 60 i nie mam już szans aby stać się poetą wyklętym
 Stanisław Grochowiak pewnie do mnie skierowałby swoją anegdotę:

w Mongolii gdy ktoś taki jak ty umiera, rodzina zawiązuje mu
 członek sznurkiem i poi go wywarami z ziół. Facet kona w męczarniach,

ale jego organizm pędzi alkohol. Po śmierci delikwenta rozwiązują sznurek i piją gorzałkę, która ścieka z trupa

Może to ze strachu

Rafał Wojacek – nałykał się valium z wodą w wieku 25 lat
 Andrzej Babiński – skoczył z mostu w Poznaniu mając 46 lat
 Józek Gielo * – 47, zapił się
 Witek Beliński * – 47, zapił się
 Leszek Dzedzej * – 52, zapił się
 Jan Rybowicz * – 41, zapił się
 [gwiazdki oznaczają tych, z którymi zdążyłem wypić]

Janka Rybowicza znałem 12 godzin
 Połowę z nich przepiliśmy w knajpie
 A połowę spędziliśmy w osobnych celach opolskiej izby wytrzeźwień
 Był awanturny
 Rano odprowadził mnie na dworzec
 Na pamiątkę została mi książeczka z autografem

Młoda dziewczyna podpowiada:

– Milczewski-Bruno utopił się po pijaku mając 39 lat

I to jest nasza jedyna nadzieja
 20-letnia studentka literatury niosąca kaganek
 W końcu dla siebie znalazła obiekt kultu
 Chociaż czasem wypada z roli i woła: tylko mi nie umieraj!

[„Alkoholicy są grupą zwiększonego ryzyka zapadalności na bezdech senny. Duża dawka alkoholu wypita wieczorem prowadzi do zwężenia górnych dróg oddechowych, powodując epizody bezdechu nawet u osób, u których zazwyczaj nie występują symptomy omawianego zaburzenia. Działanie alkoholu powoduje wydłużenie czasu trwania epizodów bezdechu, które stają się przyczyną nagłej śmierci”.]

Gram bohatera
 Bo dzisiaj śpi w moim łóżku
 Ale jutro odleci
 A ja zostanę sam na sam z duchami

„niepomny na przestrogi podobnych do siebie
że nie wolno
że to zbyt głęboko
że poezja to zazdrosna matka która
srogo karze każde nieposłuszeństwo
i grozi szkieletem palca jak śmierć
gdy przychodzi znienacka po swoje dziecko”
zdążył napisać Jerzy Reuter zanim zapisał się
i umarł

2014-2018

Jerzy Seipp

Jerzy Śleszyński

Niewiedza

Eurypides pisząc o Prometeuszu
wylicza jego dobrodziejstwa
dla ludzi nie ogień jest najważniejszy

Prometeusz wyżebrał u bogów
żeby ludzie zapomnieli
o dniu swojej śmierci

ten rodzaj wiedzy był ludziom dany
podobno pętał ich dzień po dniu
myśleli co dalej co z tą resztą

ręce bezwładnie odpadały od spraw
stawali obok życia z namysłem
w ciszy ważyli każdą chwilę

siedzieli rozpamiętując
czego już nie uda im się wykonać
czego już nie warto nawet zaczynać

po otrzymaniu daru niewiedzy
rażniej ruszyli do pracy i na wojnę
rozmnażali się i weselili (bez granic)

Nobody

*I'm Nobody! Who are you?
Are you – Nobody – Too?
Then there's a pair of us?
Emily Dickinson*

Nikogo
niedziela przesącza się przez szarą szmatkę nieba
słońce pokłada się zanim na dobre wstało
telefon milczy i tak jest dobrze
nie chce mi się tłumaczyć kto wybierał kto decydował
Amherst może być wszędzie
szkocka czarna herbata uwalnia z wielkich listków cierpki smak
w sałatce mieszają się kapary czosnek rucola i tuńczyk
wszystko przyprawione tak jak lubię
ciemna krew z żyły o imieniu Monastrell wypełnia kielich

milczę
nie stoję jak Emily blisko za drzwiami żeby jednak porozmawiać
nie piszę już tysięcy listów żeby wyczekiwać odpowiedzi
dwa dzieli się i przez jeden i przez dwa więc nie jest liczbą pierwszą
dwójka to liczba nieskończenie naiwna
nikt to cień nicości która cierpliwie spiera się z bytem
inni śnią sen na jawie
nikt wie że to wszystko to nic (już teraz za tysiąc lub za milion lat)
nikt cieszy się gęstniejącym mrokiem
nikt nie potrzebuje nikogo

Janusz Andrzejczak

Pamięci mchu

Pamięci mchu, który porastał kamienie

Ziemie dostawali darmo.

Myślano nie tylko o tym, co teraz, ale przede wszystkim o tym, by stworzyć życiową przestrzeń dla następnych pokoleń. W tym celu trzeba było ogromne obszary zasiedlić, zagospodarować. Ale był problem: mieli je „inni”. Ci, ich zdaniem byli niegospodarni ze swej natury, zbyt leniwi na to, by karczować, orać, budować. By to zmienić, trzeba było tych „innych” usunąć z ich ziem.

Wspierani przez swój rząd, opanowali do właściwej sobie perfekcji metody oczyszczania nowych terenów z autochtonów. Robili to z właściwą sobie metodycznością, determinacją, uporem i okrucieństwem: szykanami, szantażami, administracyjnymi nakazami i zakazami, wykorzenianiem, terrorem.

Przyjeżdżali na oczyszczone z rdzennych mieszkańców terytoria konnymi wozami. Biedniejsi – szli tysiące kilometrów pieszo. Nie mieli już czego szukać w swej ojczyźnie. Wszystko w niej już było zagospodarowane: pola obsiane, rzeki uregulowane, mokradła zmeliorowane, miasta najeżone dymiącymi kominami, lasy powycinane, domy pobudowane.

Nowe, ogromne obszary zastawali w stanie nieomal dziewiczym. Gdzie sięgali wzrokiem, wszędzie były puszcze pełne drzew i zwierzyny, pełne ryb rzeki i jeziora, tereny prawie pozbawione przemysłu, rzadko który dom był murowany, sporadycznie przez rzeki przerzucone były solidne mosty, nieliczne były utwardzone drogi, a warownie czy zamki, a nawet miasta i osady były rzadkością.

Gdy odrętwiali od długich i niewygodnych podróży wysiadali z wozów, zanim udawali się na spoczynek, wbijali szpadel w ziemię i siekierę w drzewo.

Od pierwszych dni ostro zabierali się do roboty. Gdzie nie było naturalnej polany, karczowali las i krzewy, gdzie teren był podmokły – kopali rowy odwadniające.

Byli niezwykle ze sobą solidarni, więc jeden drugiemu najpierw pomagał zbudować prowizoryczny dom czy warsztat, pomagał zaorać i obsiać pole. W końcu, każdy zajmował się tym, co umiał. Najlepszym wśród nich fachem było kowalstwo, ceglarnstwo i kamieniarstwo.

Wydobyte podczas orki kamienie używane były do fundamentów przyszłych, solidnych domów, do układania dróg i budowy przyszłych mostów. Równolegle budowali obiekty służące dobru wspólnemu: szkołę, kościół, cmentarz, posterunek policji, straż pożarną, a w większych skupiskach – obiekty administracji. Często powstawały one, zanim ukończono budowę ludzkich siedzib.

Wstawali z pianiem koguta, a przerywali pracę dopiero wówczas, gdy w ciemnościach nie byli w stanie dostrzec własnych spracowanych rąk. Zaspali kamieniem i śniły im się kamienie, które z mazołem targali z pól. I każdy dzień był dla nich za krótki.

Gdy tylko pobudowali domostwa, zabierali się do dróg. Nie mogli znieść widoku zapadających się po same osie kół i ciągle zabłoconego obuwia. Skrzykiwali się, wytaczali trasę i zaczęli brukowanie. Tak powstawały trakty łączące gospodarstwa. Byli i tacy, którzy utwardzali nawet ścieżki do lasu, na pola. Wzdłuż każdej drogi sadzili długowieczne drzewa: lipy, dęby, klony, kasztanowce, a na cmentarzach klony, lipy i tuje. Drzewa dawali także przy domach.

Gdy nastawała sroga zima, a śniegi były takie, że sięgały okien, gospodarze wsiadali do sań i udawali się do najbliższych sąsiadów. Zdarzało się, że zasiedzieli się w rodzinnym cieple sąsiadów, popili z nimi i wówczas, dzięki drzewom wzdłuż drogi, konie trafiały do domostw bez użycia bata.

W każdym domu, najczęściej tuż obok kuchni, były spiżarnie. Nie było gospodarstwa, w którym byłoby w nich pusto. Na hakach wisały rozmaite wędzonki: pęta wielorakich kiełbas, szynka i polędwica na święta. Dębowe beczki wypełnione były kiszonymi ogórkami i kapustą, w mniejszych beczułkach kisiły się rydze, w kilkuset wekach spoczywały grzybowe, rybne, mięsne i warzywne marynaty, soki i kompoty, długimi sznurami ściany obwieszane były suszonymi grzybami i warkoczami czosnku. W kilku skrzynkach spała sobie do cieplejszych dni cebula. Nieopodal gospodarstwa pod grubą warstwą słomy przykrytej ziemią zimowały kartofle, buraki, marchew, pietruszka i seler. W oborach tuczyło się bydło, konie miały dostatek owsa, w chlewie świniom przyrastało sadło, a w kurnikach, mimo zimy, kury wciąż znosiły jaja. Od święta na stole smakowicie dymiła gęś, kaczka, indyk czy perlica.

Zabłąkany nocą, w śnieżnej zawiei podróżny najpierw widział rozświetlone pełgającym światłem naftowej lampy okno. Widział w nim zarysy postaci albo same ich cienie. Może też roziskrzoną w tle choinkę, a przy niej krzątające się dzieci.

Może słyszał:

*O Tannenbaum, O Tannenbaum
Wie treu sind deine Blätter!
O Tannenbaum, O Tannenbaum
Wie treu sind deine Blätter!
Du grunst nicht nur zur Sommerzeit,
Nein, auch im Winter, wenn es schneit.
O Tannenbaum, O Tannenbaum
Wie treu sind deine Blätter (...) !*

I:

*Stille Nacht, heilige Nacht!
Alles schläft, einsam wacht
Nur das traute, hochheilige Paar.
Holder Knabe im lockigen Haar,
Schlaf in himmlischer Ruh,
Schlaf in himmlischer Ruh (...)*

Po długiej mroźnej, śnieżnej zimie następowały roztopy, a w nich, jak sięgnąć okiem, wszechobecna błotnista maź. Wszędzie, tylko nie na brukowanych drogach. Dzięki nim, można było udać się do miasteczka, do kościoła, do sklepu z gospodarskimi artykułami, do weterynarza czy felczera.

Mieszkający tuż przy granicy widzieli przez rzekę chałupy kryte strzechą, widzieli zabawy ludowe, dzieci biegające po błocie na bosaka, widzieli drogi nieutwardzone, na których wozy zapadały się w błoto po same osie, widzieli żydowskie karczmy, z których wychodzili pijani chłopci.

Widzieli i pracę mieszkańców, ale zadawali sobie pytania, jak to się dzieje, że mają oni czas na zabawę, na uczestnictwo w procesjach. Dziwili się:

Jak to się dzieje, że znajdują oni czas nawet i na chwilowe zatrzymanie się, na zadarcie do góry głowy, na zapatrzenie się w przylot lub odlot ptaków?

Musimy ich zaprząć do roboty dla nas, bo ich życie niewiele jest warte – mówili.

Tyle u nas dróg do wybrukowania, tyle mokradeł do zmeliorowania, tyle mostków i mostów do łączenia brzegów! Tyle spadów owocowych do zagospodarowania, tyle drzew do wycięcia, tyle ryb do wyłowienia...! Kiedy mamy to zrobić, jak?!

Minęło wiele, wiele lat. Sadzone przed domami i przy drogach drzewa wyrosły na potężne dęby, klony, lipy i kasztanowce, kolejne brzeziny kończyły swój krótki na skalę życia drzew żywot i tylko nowe kamienie wypychała ziemia na polach.

I kamieniały ich dłonie, kamieniały głowy, kamieniały serca.

Aż pojawił się ktoś, kto na każdym z ich niezliczonych kamieni wyrzył złotymi literami:

*Deutschland, Deutschland über alles,
Über alles in der Welt.*

I ruszyły kamienie przez granicę, bo tam tyyyyyle ziemi do zaorania, tyyyyyle dróg do położenia, tyyyyyle murowanych budynków do pobudowania, tyyyyyle mokradeł do zmeliorowania...

I choć od jednego gospodarstwa do drugiego było coraz dalej, zajmowały kamienie kolejne, niezmierzone obszary.

I nie miały litości w ugniataniu ziemi i jej mieszkańców.

Aż przyszedł ktoś, kto strącił każdy kamień leżący na innym kamieniu.

Janusz Andrzejczak

Tamara Bołdak-Janowska

Czy człowiek staje się lepszy, czy gorszy

Krótka rozmowa położnicza Tamary BeJot z Tolem Szaleńczykiem

BeJot: Tolo, odpowiedz wreszcie na pytanie, czy człowiek staje się lepszy, czy gorszy, bo pytam od miesiąca, a ty gdzieś uciekasz, pędzisz rzeźbić. To samo pytanie zadałam uczestnikom dyskusji w naszym klubie przy bibliotece, i pamiętasz odpowiedzi. Młoda osoba, studentka, mówi z goryczą, że młodzi stają się coraz gorsi, nie można na nich liczyć, w żadnej sprawie nie pomogą, a przeciwnie, zaszkodzą i to po cichu, ale skutecznie. A starszy pan, znakomity historyk, stwierdza: człowiek od wieków jest tak samo zły, wiecznie taki sam, wymyślił tortury chińskie. A ja ciągle słyszę krzyk Slo-terdijka, słowami Rilkego z jego wiersza *Archaiczny tors Apollina*: „Musisz zmienić swoje życie!”. Słyszę i słyszę ten krzyk. I setny raz o tym mówię. Nie zmieni swego życia człowiek. Niszczy ziemię w stopniu strasznym. Handel ludźmi. Odrażające wojny, jedna za drugą, coraz bardziej „nowoczesne”, czyli przy pomocy nowej techniki w nowym wyścigu zbrojeń, kiedy ginie nie żołnierz, tylko cywil i „gorsze” państwo. Druty kolczaste przed uciekinierami z wojen, emigrantami. Prawdziwe zasieki. Mury, mury, rosną, rosną. Coraz więcej ich. Na którymś z kanałów naukowych obejrzałam film o tych nowych murach, zasiekach, ścianach. Co to jest? Globalne Auschwitz? Jeden tylko mur runął, berliński, pozostając w gospodarce i sercach. Pytam o człowieka, bo niektórzy twierdzą, że człowiek jest coraz lepszy, że nie mamy już wojen, że dbamy o naszą planetę, i ja się od razu wzdygam, bo to „dbanie”, ten „brak wojen”, ta „lepszość” ludzka ma znaczenie jedynie medialne. W mediach chwilowy szum, a w prawdziwym życiu ciągły dramat za dramatem. Ginie uchodźca, bo się nadział na ostre szpikulce w zasiekach przed nim. To przecież ktoś tam, nie człowiek. Ktoś umiera przed czasem, bo musi dwa lata czekać na operację. To tylko ktoś tam, nie człowiek. Komuś komornik zabiera mieszkanie, bo ktoś po cichu sprzedął komuś dom wraz z nim, bo lokator to nie człowiek, bo to ledwie przedmiotowa przeszkoda. Dziwna sprawa: ostatnio dosiadają się do mnie różni ludzie, starzy, młodzi i opowiadają mi swoje życie, i mówią o dotykającym złu. Jak wiesz, ciągle przysiadam na jakiejś ławce, można nawet powiedzieć, że jeśli spaceruję albo idę na zakupy, to jest to chodzenie od ławki do ławki, no i nie ma dnia, żeby się ktoś nie przysiadł i nie opowiadał

o czymś złym, podłym, nieszlachetnym. Mężczyzna, emeryt, siada obok mnie i mówi: mam raka płuc, na wizytę czekałem rok, teraz jestem po chemioterapii, nareszcie czuję się nieco lepiej, ale leczony mogłem być znacznie wcześniej, i nie wiem, czy przeżyję, a tak chciałbym jeszcze pożyć, a jaki ładny dzień dzisiaj, nie za gorący. Inny mężczyzna (o dwóch kulach): termin operacji kręgosłupa wyznaczili mi za dwa lata, no to poszedłem prywatnie i już jestem po operacji, ale pożyczyłem pieniądze i będę je na raty zwracał do śmierci, a pożyczyła rodzina, bo mam dobrą rodzinę, ale muszę przecież te pieniądze zwrócić, a mam marną emeryturę. Przysiada się młody mężczyzna i pyta, czy może pogadać. Pewnie, może. Opowiada, że jest budowlanцем, i o, tamten wieżowiec stawia w Olsztynie, najwyższy tu, aż osiemnaście pięter. I bardzo się cieszy, że stawia taki budynek. Ciężka praca, ale jednak praca. Dodaje smutno: Ale jestem bardzo zmęczony, zatyranym. Mam trzydzieści trzy lata. A na ile wyglądam?

Tolo: Jeśli przysiadają się, to liczą na dobrego człowieka. Chyba człowiek tęskni za dobrym człowiekiem, za chwilą rozmowy. I ty liczysz na to, że ten ktoś przysiadający się nie okaże się dusicielem w biały dzień. Postawiłaś mi pytanie, przy którym należy spoważnieć.

BeJot: To człowiek staje się lepszy, czy gorszy? Ogólnie pytam. To pytanie światowe. A na tych ławkach moja osobista lepszość polega chyba na tym, że rozmawiam z rzeczywistym współodczuwaniem. Przysiada się kobieta, pyta, czy może zapalić. Może. Bo ja też. Pytam ją o głos pustułki, ktoś nagrał jej piski, i non stop puszcza na osiedle, aż słyhać na naszej ulicy. Dowiaduję się, że lokator z ostatniego piętra zrobił wylęgarnię gołębi, dokarmia je na dachu, na balkonie, nawet w mieszkaniu, z całego miasta zlatują się do niego gołębie, i prania nie można suszyć na balkonie, ani wyjść na balkon, bo tylko pac, pac, i na szyby pac, pac. Na nos, na ramię. Gęste to pac, pac, jak ciągły gruby deszcz. Głos pustułki odstrasza. Tolo, ty mi powiedz, ten dokarmiający to nie jest zły człowiek? A ten, który nagrał pustułkę? Też nie, prawda? Nie o takich ludziach mowa.

Tolo: Już mnie tym pytaniem nie męcz. W umiarkowanie słoneczny dzień, czyli w pogodę normalną w ciężko chorym klimacie, cały świat wydaje się lepszy. A ogólnie: rośnie wrażliwość społeczna. Dziecko jest człowiekiem i nie musi niewolniczo tyrać w nieludzkich warunkach jak sto lat temu, przynajmniej w tej części świata.

BeJot: Dobrze, że zaznaczasz: w tej części świata. Smutny zgarbiony mężczyzna mówi do mnie na którejś z ławek: wie pani co, dawniej to sąsiad, co ma działkę, jabłkiem poczęstował, torbę śliwek podarował, a teraz

chodzi plecami do mnie, proszę pani, plecami. Niczym nie poczęstuje i patrzy na mnie jak na lumpa, bo ja działki nie mam. I na leki nie mam.

Tolo: No tak, ale jak piesek wpadnie do rury kanalizacyjnej, to wspólnymi siłami gapiów i profesjonalistów zostanie uratowany, i wszyscy są tym zbudowani, uśmiechają się, przekrzykują radośnie: udało się. Jeśli się weźmie pod uwagę bat pieniędzy, to człowiek i tak jest dobry ten czy ów, jednak znajdzie się któryś pomocny, współczujący, a o pieniądzach powie: to tylko pieniądze i swoim pieniądzem ratuje komuś życie. Naprawdę już mnie męczym tym pytaniem. Sama w *Nielegalnej zajęczycy* trzymasz się Kanta: człowiek z natury jest zły i złośliwy, ale może chcieć stawać się lepszym, powinien, musi. Niektórzy nad sobą pracują, i wielu się udaje wypracować dobroć, ale wątpię, czy ich liczba rośnie. Epoka obrazków, codziennie serwowanych w mediach, każdego może zdołować, skołować, i ten zdołowany i skołowany myśli, że jest jak przed końcem świata – ptaki mu milkną, motyle nie migocą, a zatruta pszczoła pada mu przed oczami na swej miodnej drodze, jak żołnierz na wojnie – na ostatniej wojnie. Lepiej przeczytam ci, co ostatnio napisałem o kondycji człowieka, a zacząłem pisać *Podróże nieślubne* i to opowiadanie też jest nieślubne. Chcesz? Bo inaczej wpadniemy w ton śmiertelnie poważny.

BeJot: No dobrze. Czytaj.

Tolo: Czytam:

„Zmierzchało. Pora, kiedy prawdy dnia tracą swój kontur na rzecz przedzierania się pokątnych znaczeń. Lub: dogłębnich. Życie chciało czy musiało powstać? Z zadumy wyrwał go głos Tosi Sza: śniło mi się, że napisałeś bajkę pt. *Czerwony nóż*. Interesujące; nigdy mi nic takiego nie przyszło do głowy.

Czerwony nóż, co by to miało znaczyć? Nóż nie człowiek, sam z siebie się nie czerwieni. Czerwony – to jednak oczywiste! Był taki w śnie Tosi Sza. To fakt. Zmuszający do napisania tej bajki.

Czy takie oczywiste? A może tylko banalnie zardzewiały. Niejako ukójony? (Sztylet, ani razu niezatopiony po rękojeść, cierpi podobno na niewytłumaczalną nostalgię).

Pobiegł do kuchni, powyciągał wszystkie noże – wszystkie kuchenne, niejako pokojowe, choć chlebowy mogłyby niejedno. Ten chlebowy zatrzymał w dłoni, mocno ścisnąwszy jego drewniany odwłok, ciepły, miły. Odrobinę lepki, jak nagi baton.

Czy uspokoję się, gdy lśniące ostrze chlebowego spowinie najczerwieńszy zachód słońca? A wtedy intryga sama się zneutralizuje?

A był to akurat jeden z wieczorów, które dorzynając dzień, rozstaje się z nim nadzwyczaj krwawo.

I oto ostrze chlebowego zapłonęło, rozjarzyło się... i zaczęło kapać. Kapiąc, zanikało, aż została w ręku sama rękojeść. I oto – zgroza! – jego dłoń! Jego dłoń zaczęła kapać, zanikać!

Kto uwierzy, niech będzie błogosławiony.

A my, niesyci krwi?

Rozrobił Tolo w wodzie temperę „Carmen”, zanurzył w niej ostrze noża, podstawił czystą kartkę (bądź mi świadkiem) i w oszołomieniu patrzy, jak spływają i kapią na nią gorące krople. A wtedy ręka nie wytrzymała: dobił zakrwawioną kartkę.

Tego oczekiwaliście?”

No i koniec bajki.

BeJot: Poruszyłeś mnie tą bajką, stworzoną na moim śnie. Pytanie nie zostało zneutralizowane nic a nic. Tylko je pogłębiłeś. I wcale nie jest mi weselej. A do dialogu bardzo pasuje mi też kawałek wiersza, który napisał białoruski poeta Aleś Razanaŭ, i zostawiam to bez tłumaczenia, bo to mamy w drugim języku polskim, zwanym w Wielkim Księstwie językiem prostym (używam tzw. łacinki szlacheckiej i znaku „ŭ” dla okrągłego „l”):

Kudy? Adkul?

Maŭczaŭnie.

Ni daść adkazu czas.

Staju – i sam pytaŭnie

Idu – i sam adkaz.

Tolo: Ano. Ten wierszyk w języku prostym jest prosty, bo prosta to sprawa: stoję, i sam jestem pytaniem, idę – i sam jestem odpowiedzią. Nie tłumacz. Ja rozumiem. Inni też rozumieją. Skoro przerzucamy się tekstami, to mam coś o królowej:

„Królowa Elizazbzieta powiodła wzrokiem po opuszczonych głowach poddanych. Niektórzy już łysieją – przemknęło jej przez głowę – moje biedne dzieci. I rozkazała sobie: audjencia skończona. Na śniadanie zjadła dwa przepiórcze jajka z zielonym groszkiem, przystrojone listkiem pietruszki i kroplą majonezu, i oddaliła się w swoją nietykalność. Na kolację spożyła coś przezroczystego na czymś półprzezroczystym, popiła ziołową herbatą, i kładąc się spać, pomyślała: to był znowu ciężki dzień. Ześlij mi, losie, jakiś normalny ludzki sen. I oto jest bosym nędzarzem, którzy zapatrzył się w piękną bogatą kobietę. Czy to możliwe – pyta nędzarz (w swych

ludzkich myślach) – że mamy tego samego Boga, i nigdy jej nawet nie dotknę?”

BeJot: Elizazżbieta. Nie mogę tego wymówić. Elizaz-żbieta. Ale wymyśliłeś imię. Imię neologizm.

Tolo: W utworach dozwolone są neologizmy, niekiedy konieczne, nawet w imionach.

BeJot: A pewnego dnia przysiadł się do mnie młody mężczyzna i o zmianie klimatu wyraził się następująco, przytaczam to, choć to wulgaryzm na wulgaryzmie, ale jednak zarazem została zanotowana chwila życia: kurwa, co oni robią, kurwa, zepsuli klimat, psują dalej, kurwa, a całe życie przede mną, no i chuj. Bo jakie to życie przede mną w klimacie nie do wytrzymania? Już choruję. Po chwili: a pani nie krzyczy na mnie za wulgaryzmy, a inne baby zaraz krzyczą, no i chuj.

A do tej naszej rozmowy pasuje mi mój rysunek z kaktusem, spójrz.



Tekst i grafika: Tamara Bołdak-Janowska

Tamara Bołdak-Janowska

O istocie

Krótka rozmowa położnicza Tamary BeJot z Tolem Szaleńczykiem

Tamara BeJot: Wydałeś tomik pt. *Istota*. Cieszę się, że z moimi rysunkami i że ich tak dużo. To bibliofilskie wydanie. Iza Walesiak, właścicielka antykwariatu na szczycie olsztyńskiej góry, której zbocze zwie się ulicą Skłodowskiej-Curie, mówi, że tylko takie wydanie dziś się liczy, unikalne, stanowiące dzieło sztuki, a innego papierowego młodzi już nie chcą. Od razu wypowiem się apodyktycznie: na poezji się nie zarabia, i zgadzam się z tym stwierdzeniem Moniki Stępień w jednym z jej wywiadów. Dodała trwóźnie, że społeczeństwo bez poezji, bez poetów byłoby straszne, bo pozbawione głębi. Tak! W społeczeństwie bez poezji miejsce w umyśle na poezję zapełnia nowomowa (bo to ponoć nowoczesność), słuszne banały (bo nowe), zmanipulowane „prawdy” (ponoć nareszcie ujawnione), i dochodzi emocjonowanie się fejkami, i nic nie porusza bardziej. Bardziej poruszyć może jedynie poezja, a jej nagle nie ma. W poezji nie można wyrabiać normy na zamówienie i na „zapotrzebowany” temat, i z zamówioną ilością zdań. Poezja to stan prawdziwego życia, diagnoza życia, diagnoza stanów piękna życia, a życie – samo życie – to niedorażne piękno, linia generalna w nas, nieprzerywana, ciągnąca. Że życie nie takie, że złe, że zdeformowane, pokaleczone, brzydkie? Nie o tym mówię. Mówię o doznawaniu rozciągłości życia wewnątrz nas. W nas, w głębi nas jest rozciągłość życia i kochamy je bezwarunkowo tylko za to, że jest, że żyjemy, albo ktoś nas kocha za samą żywą obecność. Nie będę tego dokładniej tłumaczyć. Czy nie zauważamy zła? Ależ zauważamy. Tylko go nie propagujemy. Ciągłe dźwięczą mi w uszach słowa naszej nieżyjącej córki, Marceli: w pewnym momencie życia szkoda zarówno tego, co było w nim dobre jak i tego, co było w nim złe, bo to wcale nie było aż takie złe. To są słowa młodej osoby, wypowiedziane w warunkach pokoju oczywiście. Czy w poezji nie ma miejsca na ból? Ależ jest. No i uprawianie poezji oznacza: władałam warsztatem mowy, więc mówię. Albo ćwiczę warsztat, albo nie. Jeśli nie ćwiczę warsztatu, to jestem leniem, a nie poetą. Poezja nie znosi wytartych idiomów, a nade wszystko pospolitej wyobraźni. Niby to się wie, niby to już banały, ale. No właśnie – ale. A ty, co powiesz?

Tolo: Wiersz jest badaniem istoty rzeczy, zjawisk, próbą określenia napięcia pomiędzy autorem a zjawiskiem, wywołującym taki stan. To nie jest zapis pierwszego impulsu z tak zwanego natchnienia, bo ten pierwszy zapis to jeszcze nie warsztat, to znaczy nie stanowi procesu taka pierwsza notatka. Może być banalna. Stwierdzasz to po kilku dniach, a nawet po tygodniach, i wyrzucasz ją, i piszesz to samo na nowo, nowymi słowami. Jeśli rzecz była tego warta. To zawsze pozostaje próbą, nawet, jeśli ujarzmione przez warsztat. W pewnym momencie wiesz: jeśli dalej będę nad tym pracować, to zniszczę, przepracuję, zamęcę. Podobnie przepracowuje się i zamęcza obraz. Ostateczny kształt wiersza to stan porzucenia na zawsze.

BeJot: Przeczytaj mi te dwa wiersze, gdzie się zwracasz wprost do słowa i poezji, jakby to były osoby, bo słowo pisane, bo wiersz to rzeczywiście osoba, a nie paproch czy śmieć na wietrze, chociaż i to może do tekstu wpaść i zostać, jeśli dasz temu najodpowiedniejsze imię, jeśli wezwiesz po imieniu. Każda próba określenia, co stanowi poezję, a co nie, ostatecznie prowadzi do banalizowania. Bo niby każdy to wie, ale. I żeby zmóc to „ale”, czytaj.

Tolo: czytam:

PYTANIE DO SŁOWA

*Czy jest gdzieś takie miejsce,
gdzie można by do woli
biegać z zamkniętymi oczami?
Nie z zawiązanymi.
Nie pytam o to nocy ani wiecznej nocy.
Ani lasu. Ani skał.
Pytam utwór literacki. Czyjś wiersz.
Czy mogę, Panie Utworze,
czy mogę, Pani Utwór,
zamknąć w tobie oczy i pędzić przed siebie
przypominaną
myślą, frazą,
i mieć coraz więcej przestrzeni?*

A teraz na twoje życzenie drugi tekst, też krótki:

SPOSÓB

*Zawrzyjmy pakt, poezjo.
 Jeśli ty to zestrzelony ptak,
 opowiem ci skrzydła,
 a więc sprawię nowe,
 i będziesz żyć u mnie.
 Nie wiem, jak długo.
 To stałe ryzyko mowy o stracie.*

BeJot: Tak. To zawsze strata, zamknąć coś w wierszu. Było i nie wróci. Ktoś przeczyta, jeszcze raz przeczyta. Takim sposobem to powraca. To piękny sposób. Ja niechętnie czytam własne teksty poetyckie, dawno napisane, chyba że na wieczorze poetyckim, jeśli publiczność jest mi przychylna. Bywa uprzedzona. To się czuje. A poezja albo wprowadza czytelnika w nastrój wrażliwości, jeśli tak można rzec, albo nie. Właśnie wprowadziłeś mnie w nastrój wrażliwości. I chce mi się płakać, bo masz pokłady bezradnego smutku w tych dwóch minimalnych tekstach poetyckich. W radiowym wywiadzie powiedziałeś, że napisania wiersza nie da się przewidzieć. Miałeś na myśli jego początkową frazę, jeszcze bez warsztatowej obróbki – nagły przymus do zanotowania czegoś, co wydaje się istotne. Ja z kolei zaobserwowałam nieoczekiwanie, jak się staje płomień świeczki. Zapalaś ją, a płomień nagle przysiadł, by po chwili rozbłysnąć równomiernie. Poczułam to nawet ciałem: przysiadanie i rozbłysnięcie do równomierności pełnego płomienia. I natychmiast pomyślałam, że tak powstaje wiersz, że najpierw przysiadł to, co szybko zanotowane, by rozbłysnąć w warsztatowej obróbce do równomiernego trwania. Pełny płomień trwa, aż wiersz się wypali. Zgaśnięcie, jeśli zgaśnięcie zapal czytelnika do podtrzymywania go. Dla mnie wiersze rzadkich poetów, tych z pełną rzadką wyobraźnią i kobietą obok, z równoważnym zauważonym kobiecym głosem, na przykład Eliota, wciąż płoną równomiernie. Wiem, że samo słowo „płomień” było nadużywane w rozmowach o poezji, banalizowane, ale nikt nigdy nie mówił o tym etapie, kiedy płomień przysiadł. Niemal gaśnięcie. Niekiedy zgaśnięcie, bo przysiadł za mocno. Dostrzeżenie tego momentu zmienia status słowa „płomień”, zdejmując z niego banalność.

Tolo: Strata, mówisz, ten płomień świeczki, chwytam chwilę i ubieram ją w słowa, i patrzę, jak topnieje w oczach, bo stopnieć musi, bo czas... A Antoine de Saint-Exupéry powiedział: „Decyzja oswojenia niesie w sobie

ryzyko łez”. Oswojona chwila w tej arytmetyce czasu jest bolesna – tak zbliżamy się do Istoty.

BeJot: Czytaj mi teraz swój tytułowy wiersz.

Tolo: Dobrze. Słuchaj:

ISTOTA

*Istota idzie długo,
by w sekundę zniknąć.
Może jeszcze dojdzie do łóżka i w nim się zgubi
na zawsze, a może razem z nim, z poduszką, oknem
i oparciem. Z miękką zabawką przy sercu
albo kocem w skroni. Z zanotowanym w połowie
lub w całości epokowym odkryciem. Już można ją
okraść z tego i podnieść własną głowę.
A może ciężko zaśmieci sobą ulicę lub park,
i trzeba ją sprzątnąć jak najszybciej.
I służby robią to.
Drogowskaz brzmi: do ziemi!
Tylko ten kierunek jest pewny.
Drogowskazu nie ma.
Pchają same kierunki. Na każdym kroku
ich mnóstwo.
Pchają zawsze z wynikiem doskonałym,
wspomagany przez gatunek.
Ile wart jest człowiek tuż przed śmiercią?
A tłum?
Ile wart jest wtedy tłum?*

BeJot: Dodam coś jeszcze. Nie twoje uczucie jest w poezji, a uczucie czytelnika. I zarazem: to twoje uczucie tu jest, ale ono tak jest, że porusza, a nie tak, że emocjonujesz się sobą, aż wiersz się narcystycznie rusza i w końcu tylko śmiesz. Poruszyłeś mnie znowu. Bo ta istota z wiersza to także ja i każdy człowiek. Obowiązkiem poety jest profesjonalny chłód. Chłodno mówisz, a jednak poruszyłeś. Na początku mówiłam, że wiersz to stan życia i samo życie to piękno, wraz z bólem, z doświadczanym dobrem i doświadczanym złem, a teraz dodam, że wiersze to nie promocja rasizmu, pogardy dla innego koloru skóry, innej etniczności, propagowanie nacjonalizmu nadczłowieka. W tej sprawie pozostanę apodyktyczna. Jasne, że



w wierszu możesz obić mordę ideologowi sadyście, posiekać na kawałki jego niehumanitarne słowa. Za to, że udaje poetę. Twoją jedyną bronią jest słowo i warsztat. Stoisz naprzeciw uzbrojonego bandyty; stoisz w obozie zagłady. Oczywiście możesz przyłączyć się do buntu, do krwawego powstania i ktoś ci dostarczy broń. I tak, jeśli przeżyjesz, pozostaną ci słowa. Masz prawo do nienawiści, do pogardy, ale nie do krzyku, typu: ty bandyto, nienawidzę cię, ty taki owaki. Nie krzycz jak menel z ubogim zasobem słów, tylko mów z kunsztem, właściwym poezji, a poetyckich tropów masz mnóstwo i możesz stworzyć nowe. Kunszt to spokojny chłód. Za daleko idę mówiąc, co mówię do poety?

Tolo: Nie, Tamaro BeJot, nie za daleko, tylko pamiętaj, że rozmawiamy o tym w warunkach pokoju. A jednak napisałem krótki dramatyczny wiersz, bo warunki pokoju mamy u nas, a na świecie wojny, głód, terroryzm i klimatyczny bunt naszej planety.

BeJot: Który to wiersz?

Tolo: Ten drobny, z tego tomiku:

MOMENT EPOKI

*Mignęła ręka dziecka.
Pomyliła się z kwiatem.
I z topnieniem śniegu.
Nowy wiek podsuwa
inne porównanie:
dziecięca i martwa.*

BeJot: Drobny i znowu poruszający. Tak samo czuję epokę. Bezpieczna ręka dziecka. Tak, to jest Dobro epoki, lecz sama epoka...

Tolo: Tak, w istocie, ręka dziecka ma prawo pomylić się z kwiatem i sama jest jak kwiat, efemeryczna, i może udawać kwiat i sięgać po kwiat, i zatrzepotać jak kwiat na wietrze, i pokazać zająca, ślimaka, jaskółkę i co tam jeszcze dziecko zechce, ale właśnie – bez tej czarnej chmury tła naszej epoki. Dziennikarka radiowa, Ewa Zdrojkowska, powiedziała, że ten tomik jest bolesny. To może na koniec coś ciepłego, lipcowego:

UKĄSZENIE

*Opalona kobieta
niesie piersią
bladozielone żagle,
ściśnięte i jak muchomory wydęte.
A zapachniało pszczołami.*

BeJot: Nooo. Jak „zapachniało pszczołami” to to była ostra kobieta. W uchu mi zabrzczało stare tango: „Ach, Pepita, Pepita, Pepita, jaka z ciebie cholerna kobita”...

Tolo: Nie „namiętna kobita”?

BeJot: I „namiętna kobita” i „w dechę kobita” ta Pepita, ale i „cholerna” na koniec. Ta piosenka ma różne wersje.

Tekst i grafika: Tamara Bołdak-Janowska

Jan P. Grabowski

Werdykt¹

albo muzyka, której nikt nie słyszał

Motto

„Kiedy przeczytałem scenę, wiedziałem,
 że czeka mnie wielkie wyzwanie:
 miałem napisać »muzykę, której nikt nie słyszał«,
 jak mówił Peppuccio, opisując ją słowami Alessandra Baricco,
 autora opowiadania, na którego kanwie powstał film².
 Niewątpliwie piękne zdanie... ale co zrobić,
 jeśli to ty masz skomponować taką melodię”.

Ennio Morricone w rozmowie z Alessandro Da Rosa

Na wielkim ekranie cienkiego jak papier telewizora – zaraz po utrzymanym w dramacie konwencji noir, raczej jego parodii, *Śmiertelnym pocałunku*³ Roberta Aldricha⁴ oraz po jak zawsze bezmyślnych i wrzaskliwych reklamach, na które Konstanty już zupełnie zobojeźniał, jak na wiele stąd rzeczy, zjawisk, a nade wszystko informacji – zaczął się film ze Stevenem Seagalem.

Konstanty zastanawiał się: po co i dla kogo takie filmy, ze Stevenem Seagalem, wielokrotnym laureatem Złotej Maliny, są realizowane? Wyłączył telewizor. Po ogłuszającym huku, który miał być ilustracją muzyczną do tego filmu, nagle zapadła cisza tak wielka, że w pierwszej chwili poczuł dzwonięcie u uszach. W obszernym, składającym się z dwóch pokoi pomieszczeniu był sam. To zapewne dlatego wrażenie ciszy stało się tak bardzo słyszalne. Po chwili, mimo że jego pomieszczenie było położone

1 Opowiadanie to otrzymało wyróżnienie w XIX Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Pisanie jest dobre na chandrę”, zorganizowanym przez Oświęcimskie Centrum Kultury w Oświęcimiu, pod patronatem Prezydenta Miasta Oświęcim. (W konkursie brało udział 208 opowiadań). W konkursie nagrodzono i wyróżniono 5 opowiadań.

2 1900: Człowiek legenda (*La leggenda del pianista sull'oceano* – 1998), 170 min, reż. Giuseppe Tornatore.

3 *Śmiertelny pocałunek* (*Kiss Me Deadly* – 1955), 105 min., reż. Robert Aldrich.

4 Robert Aldrich (1918-1983), reżyser takich filmów m.in. jak: *Parszywa dwunastka* – 1967 r., *Co się zdarzyło Baby Jane* – 1962 r., *Ostatni zachód słońca* – 1961 r., *Jesienne liście* – 1956 r., *Vera Cruz* – 1954 r., *Ostatnia walka Apacza* – 1954 r.

w najbardziej wyciszonej części budynku, tak że z jednej strony miał widok na park, a z drugiej na staw, usłyszał ledwo dosłyszalne kroki na korytarzu oraz odległe głosy, których jednak nie był w stanie zidentyfikować.

Włączył radio, ale oprócz także nieustannych reklam przerywanych coraz to tymi samymi informacjami o pożarach, wypadkach i wszelkich możliwych nieszczęściach, jakie zdarzyły się w ciągu ostatnich kilku godzin, prawie w ogóle nie nadawano muzyki, która nadawałaby się do słuchania. Zmienił program, na którym nadawano muzykę klasyczną. Znowu Chopin – pomyślał. – Po roku Beethovena, Mozarta przypadał rok Chopina. Słuchajcie więc sobie Chopina. Na innej stacji przez chwilę emitowano V Symfonię Piotra Czajkowskiego, ale nie była to audycja muzyczna, lecz rozmawiano o intymnym życiu kompozytora, tak jakby jego homoseksualizm był ważniejszy od muzyki. – Powariowali z tym homoseksualizmem – pomyślał. – Zupełnie jakby ważniejszy był od utworów, jakie kompozytorzy skomponowali. – Wyłączył radio.

Do umówionej wizyty miał jeszcze prawie godzinę. Bardzo dużo czasu. Słyszał, że kiedy Iwaszkiewicz dysponował dwudziestoma minutami podczas przerwy w jakiejś naradzie, zawsze biegł do swojego gabinetu, by wykorzystać ją na pisanie. – No tak, ale przecież Iwacha także był homoseksualistą – odłożył z niesmakiem książkę, chociaż przyrzekł sobie, że przeczyta jego *Opowiadania muzyczne*.

Najchętniej położyłby się spać, chociaż było jeszcze wcześniej. Zastanawiał się czy zaśnie przy szumie nieodległej fontanny i nieustannym pogwizdywaniu kosa, dobiegającym z pobliskiego parku. – Gdybyż tylko któryś mógł mnie swoim gwizdaniem zainspirować – pomyślał, sięgając po papier nutowy. Nagle tuż za oknem na drzewie przysiadł barwnie upierzony ptak. – Któż to jest? Zięba? Nie, to nie jest zięba. Końcowa nuta śpiewu ptaka była o tercję niższa od poprzedzających akordów. – A więc to jest trznadel-ortolan. To właśnie Beethoven motywem zaczerpniętym ze śpiewu trznadla-ortolana zaczyna swoją V Symfonię. Ubiegł więc mnie – Konstanty uśmiechnął się do swoich myśli. Wszelkie zatem, nawet ptasie inspiracje przydają się do komponowania. Kto wie, być może i ja tutaj znajdę pomysł na muzykę? – Uniósł dłoń, by nieco szerzej uchylić okna, lecz ptak w tej samej chwili odfrunął.

Postanowił, że przed umówioną wizytą u lekarza trochę się przejdzie po parku. Koniecznie chciał posłuchać jeszcze trznadla-ortolana. Włożył marynarkę i ulubione mokasyny. Zastanowił się nad lekkim, jedwabnym szalikiem, który mógłby zawiązać w swobodny węzeł pod szyją. Zawsze,

nawet w lato, było mu w szyję zimno. Nie, nie weźmie żadnego szalika. – Pewnie od razu pomyślał, że jestem jakimś artystą. Zastanowił się, czy wziąć telefon komórkowy. – Ostatecznie ci, co trzeba wiedzą, gdzie jestem. – Wyłączył telefon i schował do szuflady biurka.

Zamykając biurko, kątem oka zajrzał do sąsiedniego pokoju, gdzie pyszniło się w politurze jasnego brązu pianino. Podszedł do instrumentu. – Sommerfeld?! – oglądał zaskoczony. Dotknął klawiszy. – Nastrojony!?! „Dźwięk powinien być otwarty, brzmiący, zaokrąglony” – przypominał sobie słowa najlepszego stroiciela, jakiego znał. – „Basy wyraziste, a najwyższe tony perliste i kryształowe”. Wszystko się zgadzało. – Kto mi wstawił takie pianino?

Z tą myślą wyszedł na dwór. Postanowił nikomu się nie kłaniać, chociaż większość osób, które mijał po drodze, to były panie w średnim, przeważnie mocno średnim, trudnym do określenia wieku, jednak doskonale zadbane. Na pewno był to już wiek pobalzakowski.

Od razu po wyjściu z sanatorium zauważył skaczące w swoich rewirach kosi. Ptaki nie były przepłoszone, bo mógł zbliżyć się do nich i dopiero wtedy, gdy odległość wynosiła nie więcej niż dwa, trzy kroki, odfruwały swoim charakterystycznym niskim lotem w najbliższe gąszcze.

Szedł zwirowaną alejką w głąb parku. Co i raz mijał go ktoś biegnący z obowiązkowymi słuchawkami na uszach, było też kilka zasapanych, starszawych pań z kijkami nordic walking.

W końcu przysiadł na jednej z ławek tuż obok fontanny. Nieopodal siedziały trzy młode osoby. Chłopiec z dziewczyną podawali sobie co chwilę z rąk do rąk laptopa. Rozmawiali z kimś przez Skypa. Druga dziewczyna rozsiadła się na obrzeżu fontanny w swobodnym rozkroku odsłaniającym jędrne uda. Moczyła nogi. Na uszach miała duże słuchawki i z przejęciem słuchała jakichś zrytmizowanych basowych uderzeń, które było wyraźnie słychać nawet poprzez szum fontanny.

– A ja pana przecież skądś znam – nagle obok jego ławki przystanęły owe trzy starsze panie, które niedawno go minęły podczas spaceru z kijkami. – Nawet założyłam się z Misią, że to pan występuje w tym programie *Dwóch na jednego*.

– Mówię ci, to jest ten Franek z serialu *Pokochajmy się* – zaprzeczyła druga pani o imieniu Wisia.

– A przecież jedno drugiemu nie przeszkadza – odezwała się trzecia pani o imieniu, jak się okazało, Stasia, której jednak nie opuszczały wątpliwości. – Tamten jest blondynem i jakby przy sobie, a ten tutaj znacznie

szczuplejszy i przecież szatyn. – Czy zechciałby pan nam się przedstawić? Bo widzi pan, tu idzie o zakład, a my nie mamy stuprocentowej pewności.

– A co ja z tego będę miał? – próbował żartować Konstanty.

– Spotka dziś pana niespodzianka – odezwała się Misia. – Na pewno pan czeka na nią – dodała Wisia. – Już na pana czeka – uśmiechnęła się Stasia.

– A panie są jak te trzy wszystkowiedzące...

– Wiedźmy?! – obruszyły się wszystkie trzy naraz.

– Jeśli wiecie, co mnie spotka, to dlaczego pytaacie, jak się nazywam? – Konstanty podniósł się ławki. – Żegnam panie, życzę miłego słuchania kosów, a wieczorem słowików. Może nawet jakiegoś spotkacie z laseczką, w meloniku i pod muszką?

Wszystkie trzy naraz otworzyły usta i w takiej też pozycji zaskoczenia zostawił je na ławce.

Kiedy wyjeżdżał do tego uzdrowiska, zapewniano go, że na pewno nikt go nie rozpozna, no bo któż może jeździć do I-Zdroju, kiedy wypadało jechać do K-Zdroju albo co najmniej do C-Zdroju. Oficjalnie wyjeżdżał dla „poratowania zdrowia”, a tak naprawdę by mieć przez jakiś czas „święty spokój” i przy okazji by poszukać tematu, może nawet coś skomponować, do najnowszego filmu przyjaciela Anastazego, zwanego przez wszystkich znajomych Nastkiem.

– To będzie zupełnie inny film, prawdziwie europejski. Żadnego morдобicia, żadnego cwaniactwa, żadnego „Hollywoodu znad Wisły”. Plenery, dużo światła, żadnego miasta, XIX wiek, kostiumy. Wszystko będzie kręcone w HD, ach, gdyby tak w 4 K – rozmarzył się. – Główny bohater jest, jak ty, kompozytorem...

– Nie jestem kompozytorem, jestem muzykiem, któremu czasami coś uda się napisać do filmu – prostował Konstanty.

– Kocie, nie bądź taki skromny. No więc on jest kompozytorem, ale chciałbym, aby to była muzyka bez fortepianu. No, może najwyżej w tle albo jako instrument akompaniujący. Flet, obój. Obój to przecież twoja specjalność. O, właśnie obój d’amore. Większość akcji będzie się toczyć nad jeziorem. Obój, zatem będzie tu idealny. Cisza, spokój. Co najwyżej letnia burza...

– Co to ma być, film przyrodniczy? – przerwał mu wtedy zniecierpliwiony Konstanty.

– Romans, chociaż nie, to będzie film o miłości – uprzedzał jego pytanie Nastek – miłość, ale z suspensem.

– Bardzo dużo się dowiedziałem – pomyślał wtedy Konstanty o przyjacielu, któremu udało się zdobyć część funduszy, prawie dwie trzecie, na ten film, chociaż nie miał jeszcze sprecyzowanego scenariusza ani nawet tematu.

– Tym razem postanowiłem zacząć od muzyki. Twojej muzyki. Na pewno ona mnie zainspiruje, poniesie mój zamysł, nada tempo mojemu, przepraszam, naszemu, filmowi.

Konstanty przypomniał sobie ten dialog sprzed kilku dni, kiedy oczekiwał umówionego badania u uzdrowiskowego lekarza.

– Zdążył pan już się rozgościć? – zapytał go lekarz o imieniu Gościwit. – Po prostu Witek – dodał zniecierpliwiony, gdy Konstanty zwrócił się do niego: pan doktor Bielski? – Nie rób pan sobie ceregieli z tytułami, imionami, zwłaszcza takimi jak moje. Nikt mnie nie kojarzy jako doktora Bielskiego, uważasz pan, a Gościwit, rzadkie imię, od razu wszyscy wiedzą, kto zacz. A swoją drogą dobre imię na powitanie gości: Gości-wit, witający gości. Pasuje do mnie jak ulał. Nieprawdaż? Dyrektora pan tu nie uświadczysz. Bez przerwy zajęty jakimiś remontami, finansami, a ja, Gościwit, dla znajomych Witek, zawsze jestem dostępnych dla gości.

Znam Marka, tego waszego dyrektora filharmonii, bywał u mnie nie raz, polecał ciebie, że chcesz odpocząć, coś pokomponować do filmu, jesteś muzykiem – bardziej stwierdził niż zapytał. – U mnie masz ciszę, wygodny pokój, a o niespodzianki musisz sobie sam zadbać – mówiąc to, mrugnął do Konstantego. O, a wieczorem możemy się napić. Bo ja, owszem, czasami lubię się napić. A co do kuracji, to zalecam spacer, basen solankowy...

– A to pianino w moim pokoju? Gram przecież na oboju...

– Piękny Sommerfeld, uważasz pan, z międzywojnia. Pan... – zreflektował się, że przecież zaproponował przejście na „ty” – przyjechałeś pokomponować, jest więc do twojej dyspozycji. Zrobiliśmy rozeznanie, zgłosił się nauczyciel muzyki, zgodził się wypożyczyć, jakżeby nie. Sprowadziliśmy stroiciela, no i gra muzyka.

– Rzeczywiście, gra – potwierdził Kajetan.

– No to widzimy się u mnie wieczorem. A zabiegi rozpisz, jak sobie życzysz.

Owo wieczorem wydawało mu się, że może być o dziewiętnastej, najpóźniej o dwudziestej. Był jednak zmęczony. Chciał tego pierwszego wieczoru w uzdrowisku wcześniej położyć się spać. Porozmawiał przez telefon z Nastkiem, potem z Markiem. Połączył się przez Skype'a z żoną i kiedy życzyła mu „dobrego snu”, zadzwonił Gościwit.

– Zapraszam na dwudziestą drugą. Spotykamy się w kilka osób u mnie. Mieszkam tuż obok uzdrowiska. Dosłownie trzy kroki. Ulica Sanatoryjna trzy. Trafisz bez trudu. Po drodze będziesz miał starą lipową alejkę. Słowików zatrząsienie. Widzimy się zatem o czasie – po czym, nie czekając na odpowiedź Konstantego, się wyłączył.

– Czegóż ode mnie może chceć jegomość Bielecki? – zastanawiał się Konstanty, idąc przez park, a potem wspomnianą przez Gościwita aleją lipową.

Co i rusz odzywały się słowiki i jeszcze jakieś inne nocne ptactwo. Właściwie najchętniej przysiadłby na którejś z wolnych jeszcze ławek i posłuchałby tych nocnych ptaków. Przesiedziałby tak może do rana, a skoro świt poszedłby na dworzec, gdzie pierwszym porannym pociągami miała przyjechać Kasia-Ingrid.

Wprawdzie tuż przed wyjazdem coś mu Marek wspominał, by nie odmawiał żadnej, zwłaszcza muzycznej, prośbie Bieleckiego, „bo to potem zaowocuje – tak po wielokroć podkreślał – zaproszeniami muzyków z filharmonii i koncerty w uzdrowisku”, ale cóż ów Gościwit może od niego chcieć już pierwszego dnia?

Wykute w sute żelazne ornamenty w kształcie liści akantu ogrodzenie doprowadziło go do niewielkiej zatrzaśniętej furtki. Nacisnął guzik.

Gościwit, uciszając dwa ujadające głośno owczarki, zapraszał do środka.

– Przyszedłeś w samą porę. Jest u mnie parę osób. Zaraz was sobie przedstawię.

Weszli do obszernego, jasno oświetlonego pokoju. Za stołem siedziało pięć osób. Gościwit przedstawiał im Konstantego:

– A oto i nasz oczekiwany gość pan Konstanty Gawroński, znany kompozytor muzyki filmowej i muzyk, którego poleca nam Marek, dyrektor filharmonii. Specjalnością naszego gościa jest...

Tu zwrócił się do Konstantego, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Obój – odpowiedział mu Konstanty.

– No, właśnie, obój, zdaje się... liryczny, czy jakoś tak... – Gościwit nie był pewny, jak to nazwać.

– Obój d'amore, a także obój barokowy.

Zgromadzeni przy stole znacząco spojrzeli po sobie. – Czy któryś z nich potrafi odróżnić obój d'amore od oboju barokowego? – pomyślał Konstanty. Czyżby to miała być podobna sytuacja, jaka spotkała go niedawno, gdy miał zagrać na koncercie otwierającym rozpoczęcie roku akademickiego sonatę obojową? Pewna uniwersytecka pani profesor zapytała go

wtedy wprost: „sonata obojowa”? Pierwsze słyszę. Co to znaczy „obojowa”? Co to znaczy „sonata”?

– Gram także na klarnecie i saksofonie tenorowym...

Dostrzegł, że oblicza zgromadzonych osób nagle się rozpogodziły, a Gościwit po kolei przedstawiał mu uczestników kolacji.

– Może tak od lewej. – Tu wskazał na szczupłego, chyba wysokiego, mężczyznę, gdyż wyraźnie wystawał on ponad oparcie krzesła. Mężczyzna ów z dokładnością, jakby pomadą, przyglądnionymi włosami i olbrzymią samopas puszczoną brodą coś wciąż przeglądał w tece z wielkimi literami „WERDYKT”. – Redaktor naczelny naszego miejscowego tygodnika.

Brodacz na chwilę przestał WERTOWAĆ. – Popiśnik – mruknął prawie niezrozumiale zza brody, po czym wrócił do swojej teki.

– A oto i Aromatariusz – Gościwit przedstawiał kolejnego uczestnika kolacji. Właściciel wszystkich aptek w uzdrowisku. I w okolicy – dodał, po czym wskazał na niewielkiego, okrągłego na twarzy mężczyznę, wyraźnie zarumienionego od atmosfery wieczoru, a może stojącej przed nim „dymnej” whisky.

– Ba! – odezwał się jakby na potwierdzenie Aromatariusza.

– A to nasz Monsignore – wskazał dłonią, na niewielkiego mężczyznę, z koloratką pod szyją i kamizelką w kolorze biskupim. – Przedstawiam ci naszego proboszcza, księdza infulata.

– Bardzo mi przyjemnie – odezwał się z pięknym uśmiechem Monsignore.

– A obok Monsignore masz największego, i jedyne, właściciela firmy, dzięki której istnieje i pięknieje nasze uzdrowisko. – Tu wskazał na mężczyznę w średnim wieku, zanurzonego w tekście niewielkiej książki.

– Dzierżek – przedstawił się krótko.

Gościwit, Dzierżek... – pomyślał Konstanty. – Co mnie jeszcze czeka dzisiejszego wieczora? – A cóż tu robi osobnik w tym zapiętym pod szyję mundurze górniczym?

– Przedstawiam ci dyrektora naszej kopalni kruszywa. Przyjechał do nas wprost z jakiejś uroczystości. Nawet nie zdjął jeszcze galowego munduru.

– Marcin – odezwał się swobodnie inżynier-górnik kopalni kruszywa.

– Jesteśmy zatem w komplecie – zaczął Gościwit.

– Żadnej dupenki w naszej komisji nie przewidziałeś? – odezwał się niespodziewanie, przestawszy notować, Popiśnik.

– Ja tego nie usłyszałem – zaripostował Gościwit. – Proszę nie zapominać, że jest wśród nas osoba duchowna.

– Ba! – potwierdził Aromatariusz.

– Co to ma do rzeczy: duchowna czy nie duchowna. Nie jesteśmy w kościele – kontynuował Popiśnik.

– Panowie, nie zaczynamy od niepotrzebnych dywagacji. Nie po to w końcu tu się zebraliśmy. Po czym, zatrzaskując z niechęcią niewielką książeczkę, zapiał z wściekłości – Co za gówno!!!

– No nie – Gościwit zaprotestował. – Dzierzek, mógłbyś znowu nie zaczynać.

– Przysyłają mi jakieś tomiki współczesnej poezji. Chcą, abym to dofinansowywał, promował, rekomendował... Bo mam pieniądze na kulturę. No, mam. Mam! Nie będę jednak promował takiego gówna. Ta współczesna poezja... Tylko dawaj im pieniądze. Za co pytam się? Za co?!

– Ba! – jakby na potwierdzenie odezwał się Aromatariusz.

– Na takie... gówno, na taki tomik, który można przeczytać w pięć minut, ja, ja!, ja!!! – podkreślał coraz bardziej poirytowany – ja wyłożyłem sto tysięcy złotych. Sto tysięcy złotych to miała być główna nagroda.

– Główna? Sto tysięcy złotych? – ktoś głośno szepnął.

– Gówna! Gówna!! Gówna!!! – Dzierzek począł uderzać tomikiem o stół, aż zabrzęczały na nim kieliszki.

– Ba! Ba!! Ba!!! – poparł jego poirytowanie Aromatariusz.

– Gostek, może tak wreszcie przejdziemy do rzeczy – odezwał się Marcin. Panowie mogą sobie pospać, a ja muszę o piątej rano wstać.

– Ja też wstaję o piątej – odezwał się Gościwit nazwany przez Marcina Gostkiem. – A zatem, panowie: do rzeczy. Otóż przydałaby się naszemu uzdrowisku piosenka... – zaczął.

– A najlepiej melodyjny przebój, który nuciliby, wyjeżdżając z naszego uzdrowiska, wszyscy kuracjusze – dorzucił, wchodząc mu w słowo, Popiśnik.

– Wyjałeś mi to wprost z ust – dodał złośliwie Gościwit. – Najważniejsza jest melodia – tu wymownie spojrzął na Konstantego – Marek, nasz przyjaciel, dyrektor filharmonii polecił nam Konstantego, świetnego kompozytora. W dodatku multiinstrumentalistę.

Konstanty poczuł zaniepokojenie. A zatem po to były te podchody Marka i ta uprzejmość Gościwita, ten pokój z pianinem.

– A co ze słowami? Słowa też są bardzo ważne – podkreślił spokojnie Monsignore.

– Najpierw melodia. Melodia jest najważniejsza – podkreślał Gościwit.
– Może tak... swingująca... – spojrzał niepewnie na Konstantego.

– Witasiowi przypomniały się jego młode czasy – uśmiechnął się głośno Marcin.

– Ba! – dodał na potwierdzenie Aromatariusz.

Gostek, Witaś – Konstanty był pod wrażeniem zdrobnień imienia Gościwit.

– Może by tak ogłosić konkurs zarówno na melodię, jak i tekst? – podrzucił nieśmiało Konstanty.

– Konkurs, o, właśnie, dobrze, że poruszyłeś ten temat.

– Panowie, po co te ceregiele – Dzierżek wyraźnie był poirytowany.

– Co taki konkurs na tekst może wyłonić? Brednie, jak te współczesne poezje?

– Dzierżek, mógłbyś przestać. Może znajdziemy jakiegoś dobrego tekściarza. Ostatecznie mamy Popiśnika.

– Ja? A w żadnym przypadku. Nie jestem poetą.

– Ba! – dodał na potwierdzenie Aromatariusz.

– Będzie melodia, to i dopasujemy słowa – zgodził się Gościwit. – Co do konkursu, to właśnie niniejszym stanowimy jego jury.

– A, przepraszam, czy były jakieś wcześniejsze zgłoszenia? – odezwał się Monsignore.

– Owszem – odezwał się Popiśnik. – Jako sekretarz jury mogę to potwierdzić.

– I? – dopytywał się Marcin.

– Jako przewodniczący jury konkursowego mam zaszczyt ogłosić, że laureatem naszego konkursu został tu obecny Konstanty Gawroński.

– Przecież ja jeszcze nic nie skomponowałem... – odezwał się Konstanty.

– A po coś tu przyjechał? – rzucił mu półszeptem Gościwit. – Siedź cicho. Panowie, niech mu ktoś naleje whisky.

– Nie lubię whisky – zaprotestował Konstanty.

– Ba! – zdziwił się Aromatariusz, wychylając kolejną szklaneczkę swojej „dymnej” whisky.

– Nalejcie mu coś innego, byle siedział cicho – spojrzał z uśmiechem na Konstantego. – Proszę o odrobinę cierpliwości.

– Czytajże wreszcie ten werdykt – zaniepokoił się Popiśnik.

– A zatem laureatem międzynarodowego konkursu na pieśń o uzdrowisku został tu obecny Konstanty Gawroński. Nagroda wynosi sto tysięcy...

– Złoty? – wtrącił się drwiąco Marcin.

– Euro. Euro!!!

– Ba! Ba! – podkreślił Aromatariusz.

– Sto tysięcy euro, co zawdzięczamy dofinansowaniu na rozwój kultury uzdrowiska oraz gestowi właściciela firmy tu obecnego Dzierżka – wymownie spojrzął na Dzierżka – a także dotacji kopalni kruszywa.

– Doprawdy? Nic o tym nie wiem – zdziwił się Marcin, dyrektor kopalni kruszywa.

– Dział promocji to za ciebie załatwił – dodał Gościwit.

– Ach tak, rzeczywiście, tak mogło być – zgodził się Marcin.

W tej samej chwili Gościwit dał znak Popiśnikowi i ten poszedł do drugiego pokoju. Słychać było szelest papieru, jakby coś otwierał i wyjmował z kartonu, po czym wszedł ze skrzynką ciemnowisniowego koloru.

– Otwórz ją – rzucił do Popiśnika i ten wykutym w srebrze kluczem otworzył skrzynkę.

– Oto i ona. Nasza Wanda – mówiąc to Popiśnik postawił skrzynkę na stole i wydobyl z niej srebrzystą statuetkę młodej kobiety, trzymającą w jednej ręce zapaloną pochodnię, a w drugiej, opuszczonej, wieniec laurowy. Popiśnik zaczął ją całować po zgrabnych, wyraźnie jednak zarysowanych pod długą suknią, pośladkach.

– Przestałbyś wreszcie – warknął na niego Gościwit.

Wziął statuetkę od Gościwita i zaczął objaśniać.

– Czym byłaby taka nagroda bez statuetki. Prezydium jury stanęło na wysokości zadania. Postanowiliśmy dołączyć do grand prix statuetkę, którą nazwaliśmy Wandą. Może być Oscar. Może być i Wanda, nieprawdaż? Ta sama wysokość: trzydzieści pięć centymetrów, waga trzy i dziewięć dziesiątych kilograma. Udało nam się uzyskać nawet ten sam stop, czyli brytannia to jest dziewięćdziesiąt trzy procent cyny, pięć antymonu i dwa miedzi. No i gra muzyka – dodał po swoim, po czym kontynuował. – Postanowiliśmy jednak nie przesadzać z dwudziestoczyterokaratowym złotem i zleciliśmy pogalwanizowanie Wandy srebrem. Mówiąc to, podszedł do skonsternowanego Konstantego i wręczył mu ciężką statuetkę.

– Pocałuj ją na szczęście w dupę, w dupę... – podpowiadał Popiśnik.

Konstanty stał, nie wiedząc ani co ma powiedzieć, ani co czynić, gdy Gościwit, nie zwracając już na niego uwagi, kontynuował.

– Proponuję owe sto tysięcy euro rozdysponować w następujący sposób...

– Panowie, na mnie już czas – odezwał się Monsignore, po czym wstał i szybko wyszedł.

– Będzie więcej do podziału – rzucił Popiśnik.
 – Dostanie swoją część. Na remont bazyliki zawsze się przyda. Proponuję każdemu po dychu.

– To będzie siedemdziesiąt tysięcy – odezwał się Dzierżek. – A reszta?

– Niech szanowne jury nie zapomina o Marku.

– To będzie osiemdziesiąt tysięcy. – Podsumował Gościwit. – Za pozostałe dwadzieścia laureat – tu znacząco spojrział na oszołomionego Konstantego – zaprosi nas na obiad na... Maderze.

– Przednia myśl – niemal jednocześnie wykrzyknęli Dzierżek i Marcin.

– Ba! – dodał po swoim Aromatariusz.

– A dupenki na tej Maderze będą? – dopytywał się po swoim Popiśnik.

– Co mają nie być? Będą. Będą! No i gra muzyka. Werdykt został jednomyślnie zatwierdzony – podsumował oficjalną część wieczoru Gościwit.

Bogatsi – każdy o dziesięć tysięcy euro za frajer, czyli za jurorowanie – zaczęli wybierać termin wyjazdu na Maderę. Ustalili, że najlepszy termin będzie podczas Festiwalu Kwiatów.

Kiedy termin został już uzgodniony, Gościwit podszedł do oszklonych drzwi, po czym rozsunął je i wskazując na suto zastawiony stół, oświadczył:

– A teraz zapraszam naszego laureata i szanowne jury na kolację.

Zacząto naprędce kolacjować, ponieważ wszyscy zgromadzeni po tak wyczerpujących obradach byli wygłodniali.

Zbliżała się druga po północy, gdy Konstanty jako pierwszy postanowił opuścić towarzystwo. Nade wszystko chciał porozmawiać z Markiem. Nie miał dotąd sposobności, gdyż za każdym razem, nawet gdy udawał się do toalety, albo kiedy wychodził na taras, aby zaczerpnąć powietrza, lub gdy sięgał po telefon, zawsze ktoś mu towarzyszył albo go zagadywał, aby ochłonął po splendorze, który go spotkał.

Konstanty niewiele wypił, również dlatego, że gospodarz szafował tylko mocnymi trunkami, za którymi niezbyt przepadał. Jeśli whisky, to tylko ta łagodniejsza, ale bez posmaku wanilii, której nie znosił. Sam Gościwit i zgromadzone towarzystwo nie mogło się wprost nakosztować whisky o posmaku zdecydowanie bagiennym czy też stajennym, słowem – „dymnym”, jak je po swoim potwierdzał przez cały wieczór tylko „ba! ba! ba!-jący” Aromatariusz.

W końcu Konstanty wytłumaczył się, że o świcie musi wyjść na poranny pociąg, a przedtem chciałby się jeszcze odrobinę zdrzemnąć.

Niechętnie go wypuszczono. Musiał z każdym przepić strzemiennego odrobiną „dymnej” whisky, po czym obciążony statuetką Wandy wyszedł w noc.

Marek odebrał telefon dopiero wtedy, gdy Konstanty, minąwszy jeden staw, potem drugi, zbliżał się do trzeciego, tego z małą fontanną, tuż obok jego budynku sanatoryjnego.

– Co się znowu stało? Wiesz, która jest godzina? – pytał rozespany. – Wróciłem zaledwie przed godziną z koncertu. Dajże mi pospać.

– Chciałem ci podziękować za Wandę... jurorze.

– Co? Co takiego? – Marek nie mógł z początku zaskoczyć. – A? Za Wandę? No, gratuluję ci, chłopie. Pamiętam, jak mi niedawno opowiadałeś, że też chciałbyś mieć jakąś statuettkę. Postarali się, prawda? Jest taka sama jak Oscar, tyle że posrebrzona.

– Chciałem mieć, przyznaję, ale nie w ten sposób. To całe jury, ta nagroda... Marek, jak mogłeś? Jak mogłeś?

– Co ty, chłopie, masz jakieś skrupuły? Czyżbyś nie wiedział, jak odbywa się rozstrzyganie konkursów, przyznawanie nagród? Chłopie, coś ty? Upiłeś się? Powinieneś mi jeszcze podziękować za statuettkę, za kasę. Dziesięć tysięcy euro! Ty wiesz, ile musiałbyś dmuchać koncertów w ten twój obój d'amore? A sama statuettka, piękna jest, prawda?

– Piękna – potwierdził Konstanty, po czym otworzył wytworną skrzynkę i wziąwszy jak największy zamach, wrzucił szerokim łukiem statuettkę Wandy do stawu. Zaraz za nią powędrowała do wody skrzynka. – Słyszałeś? Właśnie znowu się Wanda utopiła. – Mówiąc to, wyłączył telefon, po czym go wyciszył.

Zaraz potem telefon zaczął wibrować i zaczęły się SMS-y. Konstanty, wróciwszy do swojego pokoju, wrzucił go do szuflady i aby zagłuszyć wibracje, włączył telewizor. Akurat trafił na czołówkę filmu Martina Ritta⁵ *Hud, syn farmera*⁶. Sprawdził, że film skończy się za około dwóch godzin. Wsłuchując się w dyskretną muzykę Elmera Bernsteina, a nade wszystko podziwiając czarno-białe zdjęcia Jamesa Wong Howe, to trochę przedrżmywał, to znowu śledził akcję.

Zbudził się jakby instynktownie, tuż przed końcem filmu, na ostatniej scenie pożegnania Lonnie z Hudem, kiedy to Hud – zanim machnie na

5 Martin Ritt (1914-1990), reżyser takich filmów m.in. jak: *Długie, gorące lato* – 1958 r., *Prawda przeciw prawdzie* – 1964 r., *Szpieg, który przyszedł z zimnej strefy* – 1965 r., *Hombre* – 1967 r., *Norma Rae* – 1979 r.

6 *Hud, syn farmera* (*Hud* – 1963), 112 min, reż. Martin Ritt.

Lonnie, na cały świat, lekceważąco ręką – powie: „...na świecie jest pełno gówna, wcześniej czy później się w nie wejdzie, obojętnie czy jesteś ostrożny, czy nie!”.

Słowa te nagle go otrzeźwiły. – Film sprzed przeszło pięćdziesięciu lat, z okładem. A wszystko nadal aktualne – pomyślał i wyszedł na dwór, do parku, aby następnie udać się na dworzec.

Był to chyba najpiękniejszy czas doby: kiedy to noc niedostrzegalnie przekształca się w przedświt. Trwała cisza tak wielka, że nie słychać było najmniejszego szelestu liści. Spały nawet nocne ptaki, a może już rozbudzone czekały, jak cały park, jak cała przestrzeń, na wschód Słońca, który miał nastąpić lada moment.

Nie spały tylko tętnie, które dzień w dzień, noc w noc tłoczyły solankę. Słychać było bezustanny szum i szelest spadającej kropla po kropli solanki. Na szczycie jednej z tętni przysiadł kos i zaczął pogwizdywać jakąś poranną melodię, w której można było odróżnić, jak to u kosa, odgłosy zasłyszanych gdzieś dźwięków.

Konstanty przystanął. W pogwizdywaniu kosa uświadamiał sobie z każdą chwilą zasluchania jakby tempo melodii. – Jakby czy na pewno? Na pewno! – W takich chwilach zawsze żałował, że nie ma przy sobie choćby nawet jakiegoś najmniejszego notesu, aby zapisać nuty. Od czegoż jednak jest telefon komórkowy. Niestety, zostawił go w szufladzie. – Cóż robić? A jeżeli zapomni melodii? Podnóże tętni było wysypane kamykami. Wszystkie zaokrąglone. Natrafił jednak na nieco ostrzejszy i narysowawszy nim na wydeptanej przy tętni ścieżce pięciolinię, zaczął pisać zasłyszaną melodię. – Przyjdę najwcześniej jak tylko będę mógł – pomyślał. Może nikt jej nie zadenkuje?

Na jednej z parkowych ławek spotkał trzy starsze panie, które widział już w innym miejscu, poprzedniego dnia.

– Panie jeszcze nie śpią? – zagadnął, by nie przejść w milczeniu.

– My już swoje wyspałyśmy – odparła jedna z nich.

Konstanty przystanął zaskoczony taką odpowiedzią, po czym spojrzawszy na zegarek, pośpieszył na dworzec, gdyż czas był już najwyższy, za pięć minut miało przyjechać pendolino.

Istotnie pojawiło z cichym szumem, prawie niesłyszalnie, wraz z ledwo wyczuwanym zapachem rozgrzanego żelaza i nieco intensywniejszym dalekich przestrzeni, zupełnie jakby, mknąc na przestrzał nocy, zagarniało wszystkie jej wonie.

Wysiadło kilkanaście osób, przeważanie panie w wieku pobalzakowskim. Wyczekiwaną osobą nie było.

„Nie przejechała. Może i dobrze”.

Odwrocił się i zobaczył przed sobą Kasię-Ingrid⁷.

– „Jak się masz” – zapytała z uśmiechem.

– „Nieźle” – odparł.

– „Ktoś cię tu zna?”.

– „Nie sądzę...”⁸ – odparł.

Kasia-Ingrid dziwiła się, że idą do hotelu kolejowego, zamiast do kolejowego sanatorium.

– Będiesz tu miała znacznie wygodniej niż w sanatorium – przekonywał ją, pokazując zabytkowe wnętrza odrestaurowanego hotelu kolejowego.

W pokoju o dwóch wysokich oknach od razu otworzyła je na oścież. Miała widok na park. W pewnej chwili można było usłyszeć przejeżdżający niemal tuż obok pociąg.

– Ależ tu jest głośno – niemal skuliła się, słysząc hałas pociągu. Wyglądało to zabawnie, ponieważ była wysoka i szczupła. W wysokich szpilkach niemal z nim równa, a przecież mierzył sto dziewięćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu. Nawet wtedy kiedy zdjęła szpilki, była wysoka, a nade wszystko szczupła. „Jeszcze jedna piękność bez biustu” – przypomniał sobie, że tak mówiono o kobietach o podobnej jak Kasia-Ingrid urodzie. Gustował przecież w zupełnie innych kobietach. Jego ideałem urody była niezapomniana Natalie Wood⁹ z *West Side Story*¹⁰. Kasia-Ingrid miała fascynujące fiołkowego koloru oczy, twarz jakby z innego wymiaru z wyrazem nieustającego zdziwienia, a nade wszystko poruszała się tak, jakby widziała przed sobą niewidzialną linię.

– A więc to tak chodzą modelki – patrzył na jej szczupłe, lecz jędrne biodra w nieustannym jakby tańcu, niby piruetach, gdy rozpakowywała walizkę.

– Wiem, co masz na myśli – dostrzegła jego wzrok. – Przedtem musimy jednak zjeść jakieś śniadanie. – Czy można tu coś zamówić do pokoju?

7 Ingrid Boulting grała w filmie *Ostatni z wielkich* (*The Last Tycoon* – 1976), 122 min, reż. Elia Kazan, rolę Kathleen Moore.

8 Jest to fragment dialogu między Guido Anselmim (Marcello Mastroianni) a Carlą (Sandra Milo), prowadzony na dworcu po przyjeździe Carli do uzdrowiska w Viterbo. Mastroianni miał wtedy 38 lat (grał 43-letniego reżysera filmowego ośmiu zrealizowanych filmów). Sandra Milo miała wówczas 28 lat. Dialog ten pochodzi z początkowej części filmu *Osiem i pół* (8 1/2 – 1963), 138 min, reż. Federico Fellini (1920-1993). Dialog ten rozgrywa się w scenie trwającej pomiędzy 12.38 a 14.30 minutami projekcji, tj. trwa 112 sekund.

9 Natalie Wood (1938-1981) w *West Side Story* grała rolę Marii (śpiew Marni Nixon).

10 *West Side Story* – 1961, 152 min, reż. Robert Wise i Jerome Robbins.

– O tej porze? Jest jeszcze za wcześnie. Spróbuję jednak czegoś się dowiedzieć – mówiąc to, wyszedł z pokoju.

Wrócił bardzo szybko z towarzyszącą mu jakąś brunetką w średnim wieku o wydatnym biuście i kuszących, dużych biodrach, opiętych w jakby przyciasną spódnice.

– Jestem Narcysia, właścicielka hotelu – przedstawiała się w drzwiach, pchając przed sobą niewielki zastawiony półmiskami wózek. – Gdyby maestro wcześniej mnie zawiadomił, przygotowałabym coś na gorąco. A tak mam tylko zimny bufet. Gdybyście czegoś potrzebowali, wystarczy zadzwonić – tu pokazała na miedziany uchwyt, kunsztownie wykuty w fin de siècle wzory. – Miłego pobytu życzę pani i tobie, maestro – mówiąc to, wyszła, kołysząc zalotnie dużymi biodrami.

– „Ktoś cię tu zna?”. „Nie sądzę...” – zacytowała z uśmiechem dialog po przyjeździe na dworzec. – Jesteś z panią Narcysią po imieniu?

– Nic podobnego – próbował się tłumaczyć. – Widzę ją po raz pierwszy w życiu. Kilkakrotnie rozmawiałem z nią telefonicznie, rezerwując hotel.

– „Mógłbyś tak wcześniej już od świtu nie kłamać” – chciała mu odpowiedzieć, ale zamiast tego rzekła – kusząca jest ta pani Narcysia... maestro. – Podeszła do drzwi, naśladując kołysanie biodrami Narcysi. Wracając, oznajmiła – chyba śniadanie, zwłaszcza że są to zimne zakąski, będzie musiało poczekać... maestro.

Objął jej jędrne, krągłe, szczupłe biodra. Mimo prawie nieprzespanej nocy, dotykając smukłego, lekko opalonego ciała Kasi-Ingrid usłyszał:

– Skąd u ciebie, maestro, tyle wigoru tak wcześnie?

Podczas całego poranka i aż do śniadania, które celebrowali długo z kilkakrotnymi powrotami do łóżka, Konstanty coraz częściej myślami był przy zapisanej na ścieżce pod tężnią melodii. Próbował ją przy Kasi-Ingrid zanucić.

– Ładne to – podsumowała. – To będzie melodia do nowego filmu? – dopytywała się.

– Być może – odparł. – Być może. Zobaczymy się po południu.

– Po południu? Co tutaj aż do popołudnia można robić?

– Przede wszystkim odeśpij to, co masz niewyspane. A potem możesz iść do term albo na spacer.

Słońce kryło się jeszcze za drzewami parku, ale wszędzie trwał już ożywiony ruch. To kuracjusze śpieszyli na swoje pierwsze zabiegi albo z wczesnej terapii wracali. Rozgwisdały się także kosi, a także inne ptaki. Kosi jednak innymi ptakami najwyraźniej się nie przejmowały, gdyż gwizdały swoje.

Konstanty już z daleka dostrzegł jakiegoś starszego człowieka, który zamiatał ścieżkę pod tężnią. Podeszedłszy do niego, spostrzegł, że po zapisanej w nocy melodii nie został najmniejszy ślad.

Starszy człowiek, jakby domyślając się, w jakim celu przyszedł Konstanty zapytał;

– Zgubił pan coś?

– Tak jakby – odparł Konstanty. – W sumie to nic istotnego.

Odwrócił się i już miał zamiar odejść, gdy usłyszał swoją melodię. Starszy człowiek pokazywał mu sfotografowaną, na ekranie telefonu komórkowego, melodię i najwyraźniej ją nucił.

– Jeśli to pana zguba, to prześlę. Proszę mi tylko podać swój numer telefonu – po czym kontynuował – piękna melodia, nadaje się do śpiewu i do zagrania – mówiąc to, przebiegł palcami na niewidzialnym instrumencie. – Gram na klawercie w takim tam amatorskim uzdrowiskowym zespole muzycznym.

– Nie zabrałem ze sobą telefonu. Zostawiłem w sanatorium. Poranny spacer, po co mi telefon.

– Zwłaszcza jeśli nad ranem wraca się do kobiety. Ech, przywilej młodości...

Konstanty nie dał mu skończyć.

– Odezwę się do pana. A teraz muszę lecieć na zabiegi – skłamał.

Pierwsze, co uczynił po przyjsciu do swojego pokoju, to zajrzał do telefonu, otworzył zdjęcie z melodią, po czym usiadł do pianina.

Nagle drzwi do jego pokoju otworzyły się i wszedł z rozmachem Gościwit.

– No proszę, co ja słyszę, przebój już mamy gotowy. Gratuluję, gratuluję. Konstanty, nie zwracając na niego uwagi, zaczął grać coraz głośniejsze.

– No i gra muzyka – powiedział bardziej do siebie niż do Konstantego Gościwita, po czym wyszedł.

*Jan P. Grabowski*¹¹

11 Jan P. Grabowski jako poeta i pisarz używa także drugiego, przybranego, imienia Piotr. Wszystkie swoje książki oraz całą twórczość literacką podpisuje zatem jako „Jan P. Grabowski”.

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Wierni¹

...Wchodząc do gmachu Metropolitan widział rozklejone plakaty reklamujące przedstawienie *Arabelli* Ryszarda Straussa do libretta Hugona von Hofmannsthala z Janice Watson w roli głównej. „Richard Strauss’s *Arabella* – an opera about sex, love, money – and one of the most horrendous families ever put on stage...”.

Vincent nie był jeszcze nigdy w Metropolitan. Czuł dreszczyk emocji i wyczekiwania. Uwielbiał chodzić na dobre przedstawienia operowe w przedniej obsadzie.

Na chwilę wszedł do głównej sali. Spojrzał na jej boczne galerie z czterema piętrami w górę. Tonęły w wykwintnym przepychu zdobnych łoży. Oczom Oparę ukazał się obraz wspaniały, pełen niewyszukanego piękna i dostojęstwa. Romantyzmu i klasycystycznej formy jednocześnie. Do uszu dochodziły dźwięki delikatnie strojonych instrumentów. W jasnym jeszcze świetle kryształowych żyrandoli i lampionów widzowie szukali swoich miejsc. Każdy mężczyzna obowiązkowo w eleganckim smokingu lub wieczorowym garniturze. Panie w najpiękniejszych kreacjach, przystrojone w sznury białych pereł lub kolie ze złota i brylantów. Każda kreacja inna, piękniejsza od drugiej. Na rękach połyskujące bransolety. Na twarzach przywdziany uśmiech, a w oczach błysk autentycznej lub rzadziej, udawanej radości. Przecież to czas kosztowania jednego ze smaków życia. Czas relaksu i uwolnienia się choćby na chwilę od trosk tego świata. Wejście przez drzwi własnej wyobraźni w historię wymyśloną. Współtworzoną przez scenarzystę, choreografa, charakteryzatorów i innych mistrzów od wzmacniania nastroju, działania na zmysły i emocje. Tego właśnie od teatru oczekiwał Wincenty. Tego za każdym razem pragnął w nim doświadczać, sycić się pięknem, ulegać wzruszeniom... Na nowo czerpać wzorce do odróżniania dobra od zła, piękna od brzydoty, prawdy od fałszu...

1 Fragment powieści. Tytuł dotyczy wersji drukowanej. Wersja e-book nosi tytuł *Babel na granicy dobra i zła*.

Piotr Müldner-Nieckowski

Z cyklu „Jednym zdaniem”

Girare a destra

(Skręć w prawo)

W Anglii ruch jest lewostronny, ale już w takiej Hiszpanii, Grecji czy Serbii prawostronny, a nawet lewoskrętny, co, chwała Bogu, w Anglii wcale nie jest takie częste, z tym że niestety prawostronne są ruchy też u naszych tak zwanych sąsiadów w Niemczech i Rosji, i zwanych sąsiadami tak dalece, że wiadomo, iż całą dobę patrzą przez okno, co się dzieje na naszym chodniku, w którą stronę tu się skręca, a każdy idiota wie, że skręt w lewo, czyli svolta a sinistra, wiem, bo byłem we Włoszech trzy razy, może przyprowadzić o mdłości, szczególnie kobiety, bo jak obliczono, trzeba za jednym zamachem wykonać aż czternaście czynności, i to dwoma rękami, dwoma nogami i głową (i nie tylko!, ale ja nie jestem seksistą, więc nie powiem, czym), ale jak się ma skręcić w prawo, czyli svolta a destra, wiem, bo jak byłem we Włoszech pierwszy raz, to już wtedy to słyszałem, forza Italia!, i sprawa jest prosta jak drut, bo samochód ma naturalną skłonność w tę prawą stronę, to znaczy przynajmniej mnie tak robi, niech no się tylko z lekka zagapię, natychmiast zjeżdża na pobocze, i to właśnie prawe, nigdy lewe, a jak jadę lewą stroną jezdni, to jest jeszcze gorzej, bo auto samo, zupełnie bez mojego udziału, wali tym bardziej w prawo, z tym że prosto na inne samochody, które z niewiadomych przyczyn starają się wyprzedzać mnie z prawej właśnie, a że tam, gdzie jadą, jest strona prawa, to co ja jestem winien, przecież nie jestem odpowiedzialny za to, że prawo jest po prawej, oni natomiast walą właśnie tamtędy prosto przed siebie, dodają gazu i rymps! do przodu, a ja zostaję z tyłu po lewej, gdy tymczasem przecież jadę w zasadzie środkiem, ani z jednej, ani z drugiej strony, tylko niejako wewnątrz między prawym a lewym, to tak, jakby oni, ci co z lewej i ci co z prawej, stanowili coś w rodzaju ścianek rury, a ja między tymi ściankami niczym ciecz (fizyk by powiedział „płyn”, bo to płyny zachowują się wszędzie i zawsze mniej więcej płynnie, a ciecze wcale niekoniecznie, na przykład szkło – przecież to ciecz, tylko przechłodzona, dlatego taka twarda, czyli nie płyn, wobec czego „płyn” jest najlepszą nazwą dla wszystkiego, co się przepycha przez rurę i nie stawia oporu, a w każdym razie stawia opór, ale mały), no więc

oczywiście miałem skręcać w prawo, ponieważ dom jest na północny wschód, czyli względem drogi, którą jechałem, właśnie w prawo, szczęśliwie, czy nieszczęśliwie, ale dla mnie nie w lewo ani też nie prosto, co nie jest żadną ani rewelacją, ani sztuką, ani tym bardziej odkryciem, gdyż wszyscy prędzej czy później muszą skręcić, życie takie jest, i to nie tylko tam, ale i siam, to znaczy w prawo przynajmniej raz w życiu, a w lewo też może im się zdarzyć, więc po przekalkulowaniu tego wszystkiego oczywiście przed skrętem zwalniam, naciskając hamulec, a że mam stare klocki w kołach, dociskam hamulec mocniej niż gdybym miał klocki nowe, które zawsze są niepewne, bo nie wiadomo, co mechanik mógł mi za badziewie wcisnąć, a pazerny jest jak cholera, po czym po lekkim zwolnieniu widzę, a jako doświadczony kierowca widzę natychmiast, i to na własne oczy, że mój samochód zasuwa do przodu jak nakręcony, więc wciskam pedał hamulca jeszcze mocniej i kiedy uzyskuję prędkość odpowiednią do tego, co nazywamy zbliżaniem się do skrętu, oceniam odległość wzrokiem, słuchem, dotykiem i równowagą (zmysły powonienia i smaku oszczędzam na chwilę, kiedy wejdę do domu i zapytam: „stara, a zupa to już jest na stole? bo jak nie, to dostaniesz w ryja... nie no, tak tylko sobie marzę, bo gdzieżbym śmiał do małżonki odzywać się w takie cynicznie agresywne słowa, albowiem ją szanuję jak siebie samego, to chyba jest jasne), a następnie po niesamowicie błyskawicznym przeliczeniu wszystkiego ewentualnie koryguję szybkość, na przykład jeżeli jestem za blisko, to zwalniam, a kiedy za daleko, to luzuję hamowanie, i jak już zbliżam się do początku łuku zakrętu, to jako rozgarnięty kierowca sprawdzam, czy aby tym razem ktoś z lewej nie próbuje mnie przeskoczyć, czyli wepchnąć się w ów łuk na chama, po czym robię to, co nazywamy konsekwencją w działaniu, to znaczy następnie sprawdzam z prawej, czy aby tam jakiś pętaś nie zamierza wypchnąć mnie z łuku, tak że mógłbym wypaść z drogi, czyli wyjaśniać nie muszę, o co chodzi, gdyż z lewej za łukiem znajduje się przepaść, jakieś półtora metra w dół i spadek prosto do rzeki, to znaczy z lekka przesadzam, gdyż tam rzeki jeszcze nie ma, ona jest jakieś no mniej więcej osiem metrów dalej, a to by znaczyło, że gdybym zasuwał na łuku o wiele szybciej niż uzyskałem dzięki zwalnianiu, to i tak bym nie doleciał i żadna kąpiel mi wcale nie groziła, toteż jak tylko tak sobie to wyobraziłem, musiałem ruszyć głową w następnej sprawie, bo ludzie bez wyobraźni, już nie mówię o fantazji, albo lądują w rzece, albo w więzieniu, więc oczywiście starałem się przypomnieć sobie stare dobre rady słynnego kierowcy, który wygrywał wielkie rajdy samochodowe, na przykład Monte Carlo albo Safari, w poprzek

i wzdłuż całej Afryki z przyległościami, a tak szybko jeździł dwieście kilometrów na godzinę, że chwilami wydawało się, że jak na jakimś wyboju wyleci w powietrze z drogi w Kenii, to wyląduje na Madagaskarze, a wiadomo, że tam o wyboje nietrudno, bo słonie chodzą tam tak ciężko, że co krok, to dziura w asfalcie, i nazywał się Sobiesław Zasada, który po zakończeniu kariery zawodniczej zawodowo sprzedawał w Polsce niemieckie mercedesy, że jak się skręca, to trzeba tak kombinować, aby promień skrętu był możliwie najkrótszy z najkrótszych, zatem zbliżyłem się do krawężnika ile się dało i przypomniałem sobie ze szkoły geometrię, żeby zrozumieć, co tak naprawdę ten wybitny sportowiec samochodowy miał na myśli, a miał to, że im mniejszy promień, tym łuk skrętu jest bardziej wygięty, ale – i tu cały cymes tej historii – wcale nie chodzi o zagięcie łuku ani o ten promień, tylko, drogi fizyku, jeśli mnie teraz czytasz, to się połapiesz, co miałem wtedy na myśli, chodzi bowiem o siłę odśrodkową, to miałem na myśli, czyli to, co człowieka wyrzuca z zakrętu, toteż jeśli promień mały, to i ta siła wyrzucająca ze środka owego koła od tego łuku skrętu mojego zakrętu w prawo jest mała, mogłem więc się domyślić, że skoro tak się trzymam blisko krawężnika prawego (przy skręcie w prawo – przypominam łaskawie), to siła odśrodkowa będzie mała, a wobec tego mnie do rzeki tym razem na sto procent nic nie wyrzuci, na dwieście osiemnaście (nie no, żartuję, nie ma więcej niż sto procent, chyba że na giełdzie, gdzie można zgarnąć z jednej akcji w złocie nawet trzysta, o ile złoto idzie w górę, bo jak spada, to lepiej przerzucić się na akcje ubezpieczeniowe, to wie każdy kretyń, nawet taki niedoświadczony jak ja), ale oczywiście z tymi wszystkimi bajarami typu wrzucamy dwójkę (drugi bieg), lecz po uprzednim wciśnięciu sprzęgła (ale po uprzednim zdjęciu prawej nogi z hamulca), trzymając kierownicę w taki sposób, żeby (jak radzi Sobiesław Zasada w książce „Szybkość bezpieczna”, kiedyś to był bestseller księgarski, były takie czasy) ją tą ręką pociągać, a nie pchać, natomiast drugą ręką kontrolować tę pierwszą, bo a nuż się obśliznie (a ja używam kremu do rąk, no nie zawsze, ale jednak) albo przesunie, wtedy ta druga kontrolująca przytrzyma kierownicę i w ten sposób zostanie utrzymane odpowiednie skrócenie kół, co spowoduje trzymanie się łuku na całej jego krzywiznie w tej samej odległości od środka koła, którego ta krzywizna jest odcinkiem (łukowatym, naturalnie), aby jednocześnie rzucić okiem w lewe lusterko, następnie w prawe i tylne, bo standardowo w samochodzie jest tyle właśnie lusterek, plus to, które w skrytce po prawej przed siedzeniem pasażera trzyma moja żona, która ze strachu zasłania oczy i do widzenia, nie ma jej, następnie lekko

odpuszczamy sprzęgło i dociskamy jeszcze lżej gaz, żeby koła załapały i weszła ta dwójka, o której już wspominałem, bo na dwójce najlepiej się skręca, i to nie tylko w prawo, ale również w lewo, i czekając na koniec łuku, trzymamy nogę na gazie tak, że kiedy będziemy z łuku wychodzić, to samochód skoczy lekko do przodu i zacznie z zakrętu wychodzić (to się nazywa „wyjście z gazem”, jak słusznie twierdzi Zasada), ale oczywiście bardzo, bardzo ostrożnie, bo droga, na którą będzie się wyjeżdżać z naszego zakrętu, może być już zajęta przez jakieś samochody tam jadące, więc oczywiście w takich razach ja raczej zwalniam, żeby się nie wpakować w jakąś kolizję, tym bardziej że oni mogą mi wjechać w prawy bok (tak jest, w prawy, gdyż kiedy skręcam w prawo i wjeżdżam na drogę, to ci, co tą drogą jadą w moją stronę, walną mnie w prawo, to chyba łatwo sobie wyobrazić, pod warunkiem że ma się tę wyobraźnię przestrzenną, a ja ją mam, a jakże, bo miałem doskonałą matematyczkę w szkole), więc naciskam raczej hamulec niż gaz, wolno jadę, wolniutko, gdyż nie jestem debilem, już prawie się zbliżam do tej drogi, ale zgodnie z kodeksem drogowym ostrożnie, żeby się tak bez przygotowania nie pakować na niepewne, gdzie grozi mi konkretny wypadek, no i wtedy zdarza się coś, czego żaden normalny człowiek nie jest w stanie przewidzieć, a mianowicie dostaję potężne uderzenie w tył, to znaczy jadący za mną samochód wali mnie bez pardonu jak ten głupi w tył mojego bagażnika mojego samochodu, co powoduje, że silnik mi zrywa, rzuca w lewo-prawo i staje, a z nim moje auto, a ja w tym aucie, mało sobie głowy nie rozwalam o przednią szybę, ale trzymają mnie pasy bezpieczeństwa, no i czuję, że z tego zakrętu nigdy nie wyjadę, bo normalnie stoję, a za mną stoi jakiś inny samochód i wyskakuje z niego facio, leci do mnie, jeszcze słyszę brzęk szkła i chrupot blach, a on już jest, wyrzywa mi klamkę z mojego samochodu, otwiera drzwi, wyciąga mnie na asfalt, kopie i wali czymś, cholera, twarde, nawet nie zauważyłem, co on tam z tego swojego gruchota wyciągnął, może łyżkę do opon, kawał grubego żelaza, i widzę, jak się znowu zamierza, żeby mi przypalantować w głowę, bo przedtem bił po żebrach, i ja widzę, że jego samochód stoi za moim, ma rozwalony cały przód, popękaną i taką w pajęczyny rozdrobnioną szybę, i on idzie swoim wzrokiem za moim wzrokiem, jeszcze mnie kopie w podbrzusze i błyskawicznie doskakuje do swojego, powtarzam: swojego, auta i tą łyżką wali w przód swojego, powtarzam: jak Boga kocham swojego, auta, dziwne, no nie?, wcale nie takie dziwne, w szybę, wybija ją doszczętnie, lampy tłucze, a stary ten jego gruchot, ze dwadzieścia pięć lat ma, ćwierć wieku, kawał czasu, po czym wraca, jeszcze mi przywala kopa w

wątrobę i znowu dalej niszczyć tego swojego poloneza, bo to był polonez firmy Warszawa-Żerań z dwudziestego wieku, niszczy to auto specjalnie, żeby wyciągnąć od ubezpieczenia jak najwięcej forsy, a ja sobie przypominam lekcję wychowawczą z ósmej klasy, jak pani Jankowska nam mówiła, że im większa strata materialna obiektu ubezpieczonego, tym większa zapłata w ubezpieczeniu, następnym razem będę mądrzejszy, i on znowu do mnie i znowu kopie, aż straciłem orientację, gdzie jestem, zobaczyłem tylko, że także cały tył, ale mojego wozu mam zrypany i pognieciony przez tego chama, co za mną jechał w tym zapyziałym polonezie, a moje ciało całe, też z tyłu, spuchło, od pośladków po łopatki, tak że nie mogłem wstać i przywalić mu w szyję, żeby na skrzydłach zemsty na zawsze odjechał, ale do piekła, więc zostałem sam z moim gruchotem, i to zanim skręciłem w prawo, zatem jak widać, nieważne, w którą stronę się jedzie, bo skręt może się nie udać, a zresztą szlag by to wszystko trafił.

Piotr Müldner-Nieckowski

Marek Pękala**Ursus strajkuje¹**

Znowu na Żytnej. Ruina kościoła jeszcze z czasów Powstania Warszawskiego: zamiast dachu – zielona folia na deskach. Na murze przy drzwiach żółta tablica z czarnym liternictwem: Wstęp na teren obiektu grozi śmiercią lub kalectwem. Obok druga: Obiekt zabezpieczony. Wstęp na teren obiektu nie grozi śmiercią lub kalectwem. Wiadomo, że ta druga to robota księży. Bo jest to czynna ruina – z surowym, drewnianym krzyżem w środku, ołtarzem z dużego stołu, konfesjonałem, ławkami. W sumie – taki naturalny pomnik. Ma stanowić część nowej świątyni. Widać przygotowania do budowy – po przeciwnej stronie dziedzińca, wybebeszony do jakichś trzech metrów w głąb – miejsce pod ten nowy kościół. Patrzę, a w kabinie pracującej kopary – Boguś! No, zwariował – panikuję na widok starszego o siedem lat brata, wikarego parafii Miłosierdzia Bożego, wkrótce głośnej nie tylko w Warszawie. Macha ku mnie, roześmiany, wyłącza maszynowego potwora, zeskakuje.

– Słuchaj, Ursus strajkuje! – lekceważy braterską trwogę. – Pociągi, autobusy zablokowali, ale na piechotę to tylko ze trzy, cztery kilometry. Zasuujemy?

– No jasne.

Bo co to dla nas cztery kilometry, nawet z hakiem, jak w nogach były już trzy wakacyjne razy po prawie 180 ze Skierniewic do Częstochowy. Sami, trzech bracia.

No to zasuujemy. Na Woli upał, niebo jak z przeźroczystego, błękitnego szkła. Idziemy, mijamy pętlę tramwajową, codzienny rytym sunących aut. Szare, zaniedbane kamienice z przedmieścia, domy z łatami po tynku, zgaszona zieleń przydrożnych drzew – zmarniałych pochłaniaczy miejskiego dwutlenku i kurzu.

Koniec chodnika, teraz poboczem. Pot zalewa oczy, zapomnieliśmy o wodzie, czapczkach, już same pola, łąki i smród parującej smoły z szosy coraz ostrzejszy, nad czernią migotliwa warstewka pary. Im bliżej fabryki, tym więcej idzie nas coraz węższym poboczem.

¹ Z przygotowywanego do druku zbioru krótkich form pt. *Cudowny numer*.

Na jakiś kilometr przed fabryką – milicyjna suka. O dziwo – gliniarze bez pałek, pewnie aby nie prowokować. Ale tu – zakaz dalszej jazdy, zawracają auta. Nas, pieszych, nie zaczepiają; udają, że nie widzą. Idziemy jak na szpilach, w niepokoju, bo tyle ludzi, a cisza ogromna, pot się leje. Naprzeciwko fabrycznej bramy – luksusowe auto do góry kołami – pewnie któremuś dyrektorowi się dostało od wkurzonej załogi. W halach i między nimi pustka, ale nie niedzielna; cisza, ale nie nocna, słońce doskwiera odsłoniętym karkom piechurów, czyste, nieruchome niebo jak w paraliżu, ludzi coraz więcej. W powietrzu – nerwowe napięcie.

Wysoki, barczysty facet w białej rozchełstanej koszuli wyciągniętej ze spodni, z rękawami do połowy zawiniętymi, zatrzymuje auta – te, którym udało się ominąć gliniarską blokadę, bo dojechali bocznymi drogami, ścieżkami, ale tutaj to on nie pozwala jechać dalej, w ręce wielkoluda napoczęta butelka, bez etykiety, z wódką? Jest jak w transie, oko błędne, kiedy nie ma następnego auta do zawrócenia, chodzi wzdłuż szosy wielkimi krokami, jak rozedrgane wahadło.

– Uważajcie, może to prowokator – słychać wędrujący szept.

Przez stojące grupki przeciskamy się dalej, bo szosa ma być pusta. Dławiąca cisza, coraz więcej niepokoju w tym pozornym spokoju. Żadnych gadań, krzyków, tylko szepty, z ucha do ucha; czuć, że dzieje się coś ważnego, wielkiego, atmosfera jak w kościele, tylko to napięcie, jak naciągnięta ponad wytrzymałość struna, groźne.

W poprzek szosy, ale nie na całej szerokości, pewnie aby na przykład karetka pogotowia mogła przejechać – ciężarowy berliet, załadowany trzema rzędami betonowych płyt, po cztery w jednym, są wysunięte prawie do połowy; z pewnością po to, aby szybko można było zsunąć i zrobić barikadę.

Nas, milczących, ocierających pot gapiów coraz więcej, tutaj stoją również na szosie.

A naprzeciwko, po drugiej stronie drogi, pięć – siedem metrów wyżej, trawiasty nasyp kolejowy – na torach garstka. W rozpalonym słońcu. Jedni siedzą na skrzynkach, inni na podkładach. Żadnego podmuchu, gęsta zawiesina z nadmiarem dwutlenku. Najwięcej kobiet, niektórzy stoją, może z dwadzieścia parę sylwetek, palą papierosy, wiele kobiet z farbowanymi włosami, rozchełstanymi, tylko niektórzy w roboczych, niebieskich drelichach, gołym okiem widać, że to żadni umysłowi. Niedługo zmieni ich następna grupa, a oni – w desperacji, w zaciętym milczeniu, jakby patrzyli w siebie, nie widzieli ludzi na dole, nie chcieli wiedzieć, kto z tego

milczącego tłumu jest z nimi, gotowy do pomocy, a kto przeciwko nim i zaraz komu trzeba doniesie.

Nieruchoma, gorąca cisza, niebezpieczna. Oni wiedzą swoje, głucha w nich zawziętość, bo jak wyżyć z rodziną za marny grosz, a partia i rząd chcą jeszcze wielkiej podwyżki cen na chleb, mąkę, mięso, na całą żywność. Niemy protest umęczonych w słońcu ciał, żadnych flag, czysta biologia. Rozpacz uprzemysłowionego niewolnictwa od produkcji ciągników.

Mała, zastygła apokalipsa, nie do zniesienia, nie do zapomnienia. Nie ma tu nic uroczystego, a jest podniosłe milczenie, bo ta garstka – w naszym imieniu, szarych, polskich ludzi.

Dwóch niesie ku garstce mężnych desperatów skrzynkę z butelkami z wodą, inny – kartony z jajami. Ciężka cisza pod obojętnym niebem. Im dłużej, tym groźniejsza. Ratunku znikąd chociaż w obecności ponad tysiąca oczu. Z pewnością każdy z tej większości chce przekazać strajkującej garstce odrobinę swojego pocieszenia.

– Może podejdziemy tam, do nich, pogadamy?

– Ani się waż. Też bym chciał – rzuca brat.

– A gdybyśmy tak zaczęli klaskać dla nich, inni by dołączyli.

– Dobrze, ale nie, jakiś prowokator zacząłby rozróbę. Nie czujesz, że tu wystarczy iskra?

No tak, polskie powietrze dusi się, pod byle pretekstem może wybuchnąć. Atmosfera ostateczności nie do wytrzymania.

A potem, podobnie jak w Radomiu – kilka tysięcy aresztowanych na oślep, bitych na ścieżkach ustrojowego zdrowia, karanych, z roboty wyrzucanych. Bo rząd wymyślił podwyżki siedemdziesięcioprocentowe.

Przez tę godzinę, gdyśmy tam stali, nic się nie stało. A przecież to po południe 25 czerwca 1976 – to kamyk węgielny nie tylko mojego buntu.

3.37

Jest 3.37. Chociaż zegarek pokazuje 14.21. Wiadomo, że w dzień, ale wczoraj w nocy też była 3.37. A dzisiaj jest już 14.22, ale nadal – 3.37. Co się dzieje. Tylko spokojnie. Czas to rzecz umowna. Rzecz? Piasek w klepsydze to materia, więc. Gdyby ziarenko piasku nazywało się ek, a piasek na przykład kesaip, to też byłaby to materia. Ale jakie to ziarenko. Tak, jeśli rodzi, jeśli obumiera. Ale przecież nie piasek czy przykładowy kesaip.

Kiedy późną jesienią nastąpiła zmiana czasu z letniego na zimowy, zegar na wieży Zamku Lubomirskich w Rzeszowie, gdzie mieszczą się sądy, jeszcze przez prawie dwa tygodnie wskazywał czas letni.

A teraz – od prawie trzech tygodni bez przerwy wskazuje 3.37. I w nocy, i w dzień.

Tylko spokojnie.

Jest 3.37.

Spółdzielnia podniosła czynsz o 51 złotych, żona chce więcej kasy, bo dzieci rosną. Woda skoczyła o 34 procent, bo zmodernizowali stację poboru dzięki forsie z Unii Europejskiej, ale wkład własny musisz, zadowolony mieszkańcu, pokryć sam. A ty, chociaż flaki wypruwasz, zarabiasz ciągle tyle samo.

Złotousty gędzi przez koloratkę na gardle, że trzeba: być, a nie: mieć. Ale żeby minimalnie być, to trzeba najpierw minimalnie mieć. On udaje, że tego nie wie.

Opozycja straszy kryzysem.

Tylko spokojnie, jest 3.37.

W kinie grają *Pasję* Gibsona. Młody w autobusie do kumpla:

– Mówię ci, jak mu wtedy przypierdolili! Mówię ci, zajebisty film!

Chamstwo osiągnęło alarmujący poziom – czytam w tygodniku. I dalej: Wpływ na młodych ma chamstwo polityków i innych dorosłych. Nie bez znaczenia jest ekscytacja brutalnością i złem podawanymi przez Internet, telewizję, brukową prasę.

Tylko spokojnie. Jest 3.37, obojętnie, czy w nocy, czy w dzień.

Ten klincz to zapowiedź krachu czy pomyślnego przesilenia.

Co ma się stać, to się stanie, bez względu na to, o której się stanie.

Cały czas jest 3.37.

Jest bez przerwy, bez tchu.

Cały czas.

Twój, nasz.

W gardle pełnym piachu.

2004/2006

Mus

On znowu na posterunku, ciągle w tym samym miejscu, przy poczcie – na inwalidzkim wózku, w granatowym dresie, rośły, spasiony, nieogolony, w średnim wieku. Na kolanach – plik kolorowych ulotek, w lewej ręce

plastikowy kubek jednorazowy do wielokrotnego użytku, palcem prawej ręki przyzywa do siebie.

I tak codziennie, kiedy przechodzę, przyzywa. Niektórzy podchodzą, wrzucają do kubka grosze, dostają ulotkę.

Który to już raz przechodzę obok. A on znowu przyzywa. No, już nie mam siły, podchodzę. A on podrywa się z wózka inwalidy, wali mnie pięścią w głowę, kopie, padam.

– Ile razy można prosić, żebyś pomógł?! – wrzeszczy nade mną i kopie. Otrząsam się, wstaję.

Na szczęście to tylko imaginacja.

Następnego dnia, żeby mnie nie pobił, na wszelki wypadek wrzucam do kubka dwa złote, nie chcę żadnej ulotki, zmykam.

Wolny, zniewolony.

Garść ziemi

We wtorek 16 lutego 1999 roku, zmarł nagle Antoni Chodorowski, zwany Chodorem, wirtuoz stańczykowskiej kreski.

Tej niedzieli obejrzałem w telewizji amerykański melodramat o Chopinie. Podobno gdy w połowie listopada 1830 roku po raz drugi i – jak się okazało – już na zawsze wyjeżdżał za granicę, zwyczajem przodków wziął w woreczku garść polskiej ziemi.

Może to w niej tliły się najpierw jego preludia, mazurki, etiudy.

Tej niedzieli zobaczyłem też w telewizji żywego Chodora.

Jakby się nic nie stało, rysował dla dzieci pejzaż mazowiecki z warkoczem.

On też nie zabrał swojej miłości ze sobą.

Cisza ma swoje dźwięki, a niewidzialność – kreski. Milczenie ma swoje słowa.

Słuchajmy więc Chopina, czytajmy to, co przed nami zakryte, a Chodor nadal niech rysuje.

Świetliste źdźbło jest w garści ziemi.

21 lutego, 1999

Marek Pękala

Barbara Rosiek

Wspomnienie o Sybiraku

Dzień 17 września 1939 roku to data szczególna dla Polski i Polaków na Kresach wschodnich. Zaatakowano nas, a rodzina mego taty dostała się pod okupację sowiecką. W 1940 roku wywieziono ich w bydłych wagonach na Sybir. Dostali piętnaście minut na spakowanie, a mogli zabrać jedynie to, co zmieściło się do małych walizek. Dziadek Stanisław Rosiek, uczestnik Bitwy Warszawskiej w 1920 roku, dostał ziemię na Podolu od Marszałka Piłsudskiego w zamian za zasługi. On jedyny prawdopodobnie zginął w Workucie, w kopalni węgla. Babcia Katarzyna zmarła na tyfus w gułagu. Najstarszy syn Franciszek usiłował się przedostać do armii Andersa i prawdopodobnie poległ po drodze w tajdze syberyjskiej.

Mój tata Roman miał już jedenaście lat, by mógł pracować w obozie, okupant obniżył mu datę urodzenia o rok. Wraz ze starszą siostrą Elżbietą znaleźli się w gułagu.

Osierocone dzieci musiały przetrwać. Tata w łachmanach, z wielką determinacją, niezwykle u tak małego chłopca, w warunkach skrajnego głodu i wyniszczenia starał się ciężko fizycznie pracować przy wyrębie tajgi. Nocami, w zimnie i jęku innych ludzi miał marzenie, by kiedyś powrócić do Polski, ale przede wszystkim przeżyć.

Najgorsze były zimy, okupant w swej łaskawości przy ponad minus czterdziestu stopniach Celsjusza pozwalał im na pozostanie w baraku i pozorne ogrzanie się. Za to później musieli nadrobić zaległości katorżniczą pracą. Zimą nie mieli dodatkowego wyżywienia w postaci leśnych owoców czy grzybów, które były bardzo zdradzieckie i kto się na nich nie znał, ginął w męczarniach, nie było żadnych lekarstw na zatrucie. Po śmierci matki się nie załamał. W obozie była epidemia tyfusu, tata zachorował i uznano go za zmarłego, wyrzucono na stertę trupów. Tam, na mrozie, ocknął się i resztkami sił zaczął krzyczeć. Usłyszano jego wołanie i zabrano z powrotem do baraku.

Jego chłopięca dusza nakazywała mu trwać i walczyć, miał niesamowitą wolę życia, jakby postanowił istnieć wbrew całemu złu, które go spotkało. Nauczył się nie czuć bólu, inaczej mógłby zostać dobity przez strażnika, jeśli nie miałby siły pracować.

W 1946 roku, już po wyjściu z gułagu, stanął na „komisji” Służby Bezpieczeństwa z zapytaniem, po co chce wracać do Polski. Tata, chociaż nie znał się na polityce i był ledwie szesnastoletnim chłopcem, czuł jedno – że powrót do kraju rodziców daje mu szansę na inne życie. I odpowiedział – jadę do Polski budować komunizm. – A, to jedź – odpowiedział komisarz i tym sposobem tata powrócił.

Został umieszczony w domu dziecka z możliwością nauki. Tata wiedział, że tylko zdobycie wykształcenia da mu możliwość szybkiego usamodzielnienia się, był nadal samotnym, młodym człowiekiem, w jednych spodniach, z zapalem do szlifowania polskości, bo był już taki czas, że myślał w języku rosyjskim. To mu pomogło uzyskać dyplom i został nauczycielem właśnie języka rosyjskiego. I matematyki.



СССР
Комитет АССР
Уполномоченный комиссар
Уполномоченный
Уполномоченный

УДОСТОВЕРЕНИЕ

Предъявитель сего, гр. Росек Сибганинаш Ишанов
1921 год ул. Б. Б. ул. Крайний ул.

на основании Указа Президиума Верховного Совета Союза ССР, ан-
нистирован как польский гражданин и имеет право свободного про-
живания на территории СССР, за исключением пограничной полосы,
запретных зон и режимных городов первой и второй категории.

ПРИ НЕМ НАХОДЯТСЯ:

№ № и/и	Фамилия, имя и отчество	Возраст	Отношение к владельцу удостоверения
1	<u>Росек Романов Сибганинаш</u>	<u>1928</u>	<u>сын</u>
2	<u>-- Александра Сибганинаш</u>	<u>1921</u>	<u>сын</u>

Направляется к избранному им месту жительства в И-Бата Гумилевский ул. кв. 98
Удостоверение действительно на три месяца и подлежит обмену на паспорт.
Наложное удостоверение посылать и печатью.

И. п. Начальник Иван Ишанов РО НКВД КОМ АССР

Po wielu wędrówkach i leczeniu wrócił z „raju” z marskością wątroby, spowodowaną wyniszczeniem organizmu głodem. Został przeniesiony do Częstochowy. Tutaj w Liceum Pedagogicznym, obecnie IX Liceum Ogólnokształcące imienia C.K. Norwida poznał mamę i po wielkim zauroczeniu i z miłości się pobrali. Na świat przyszły dzieci, brat i ja. Dorastaliśmy w cieniu Syberiady, tata miał obsesję pełnej lodówki, panicznie bał się ponownego głodu, zwłaszcza że był prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Panowie w smutnych garniturach podjeżdżali pod szkołę i zabierali go na przesłuchania. Potem się dowiedziałam, że straszono go tam, że jak powie coś złego o pobycie w gułagu, jego rodzina, z nim oczywiście, tam powrócą. Kiedy jego uczniowie pytali go, jak było na Syberii, zawsze odpowiadał z uśmiechem, że dobrze. Nam, swoim dzieciom, nie mówił niczego, bojąc się, że się wygadamy. Chronił nas przez większość życia, jedynym śladem było nieustanne zapychanie lodówki i ogromne posiłki, jakie spożywał. Zasługą mamy było parzenie stałe ziółek i wątroba w dziwny sposób się zregenerowała.

Kiedy nastąpiło nowe po 1989 roku, sama poszłam na zebranie założycielskie Związku Sybiraków, tata się jeszcze bał, jeszcze nie dowierzał. Była w końcu możliwość opowiedzenia swojej historii, lecz tata nigdy się na to nie zdobył. Rozpacz, jaką nosił w sobie przez cały czas, kazała mu milczeć. Były próby walki o odszkodowanie, jednak Związek Radziecki nigdy się na to nie zdobył. Jedynie zaliczono mu kilka lat pracy w gułagu do emerytury. I tak zwany dodatek sybiracki.

Tata odszedł z tego świata pogodzony z losem. Martwił się jedynie, że zostawia swoje dzieci w świecie, gdzie stale może wybuchnąć kolejna wojna, której skutki oglądał od dziecka. Całe życie bał się przemocy fizycznej, której doznawał od momentu, kiedy przyszli zabrać mu dom. I całe życie, w którym rósł, otoczony miłością.

Teraz z nim rozmawiam, zapalając świeciółko na jego grobie. Wierzę, że odzyskał spokój, którego poszukiwał przez całe życie.

Barbara Rosiek

Krzysztof Rudziński

Stacyjka

(fragment opowiadania z tomu *Nadgryzanie Gryzonii*)

Jest czas wyjątkowy tych pustych godzin spędzanych na stacjach kolejowych całego świata, stracony czas, który upływa pomiędzy odejściem ostatniego a wjazdem kolejnego pociągu – nie ma co ze sobą zrobić... i przychodzą i przechodzą obok pomysły, jak go wypełnić i spożytkować.

Nie inaczej jest i na naszej stacji w Zalesiu Dolnym... I tutaj ten pusty czas i towarzysz milczący i niezagospodarowany... Czas niezmałconej niczym bezdennej nudy... jaka tylko może się lęgnąć w upalne popołudnia z pustynnego klimatu tych pustych godzin. Weźmijmy go w karby i uprawnijmy... zobowiązmy... niech opowie jedną z takich godzin na tej stacji.

Zaczynam go pod jednym z dwóch tutejszych semaforów – tym przyjeździe od strony Piaseczna, przy zwrotnicy decydującej czy potoczy się prosto i zatrzyma przy torze drugim przy peronie pierwszym – jak to zwykle bywa – kiedy nie ma mijanki z pociągiem z przeciwnika. W przeciwnym bowiem razie, ten który przybędzie pierwszy czeka na torze pierwszym przy peronie pierwszym, najbliższym budynkowi naszej stacji. Ramię semafora jest teraz opuszczone, nie wjedzie więc tu żaden pojazd szynowy, nawet drezyna – można sobie chodzić po torach i wzdłuż peronów, na przełaj po całej stacji – i nic... tylko cisza... przechadza się czas... krok w krok, i spoczywa w końcu z nami na którejś z tutejszych ławek... gdzie jego pora... Mija tak nieraz godzina za godziną, jedna, czy druga – lokalnego czasu kolejowego, na wszystkich stacjach dłużąca się tak samo jak



tutaj... Jeszcze daleko do przyjazdu kolejnego pociągu, ale coś się zaczyna zmieniać – przechylając się w drugą stronę... i zaczyna wracać jak wahadło po maksymalnym wychyleniu. Czuje się, że to już ostatni dzwonek – rzucić okiem na boczną manewrową; wejść pomiędzy spoczywające tam po podróżach składy towarowe, zaglądając do budek brankardów. – Tych pokoi hotelowych na kołach, dla personelu na nocnych trasach; z biurkiem, lampą i łóżkiem do spania, i z piecykiem węglowym na zimowych trasach. Iść między wagonami w stanie spoczynku zesłanymi tam na zesłanie i przeciskając się pod nimi, odnajdywać ślady towarów pogubionych podczas dawniejszych przeładunków – kielkujące zboża pośród chwastów, zardzewiałe nakrętki śrub, pośród wiercących w nosie narkotyczną wonią oleju kreozytowego, impregnowanych nim drewnianych podkładów między szynami tego ślepego toru. Kończącego się ziemnym nasypem z kozłem oporowym na najdalszej rubieży stacji przy przejeździe na ulicę Kopernika koło kościoła. Ale wzrok, któremu nigdy dosyć – nie mogąc się napatrzeć – biegnie stąd dalej, poza zakręt w kierunku Zalesinka, by dopiero tam móc spocząć wreszcie pod semaforem, za punktem aptecznym przy Redutowej.

Tam to już zachodziliśmy z ciocią po lekarstwa i dlatego na tym zakręcie obfitości moich domysłów – jak wyglądał dalej świat – zmuszony jestem poprzestać, bo przy cioci dalej mi osobiście pójść się nie dało. A obiecywałem sobie niejedno, bo od tamtego miejsca tor zaczynał biec prosto, jak się to mówi, jak z łuku strzelił i czybym strzelił ze swojego łuku, który dostałem niedawno temu na imieniny, czy z zaimprovizowanego moździerza, jak się to przytrafiło także w dziejach Zalesia, nie osiągnąłbym końca tego prostego toru, który dopiero pewnie tam się zakrzywił, z powodu kulistości ziemi – jak to sobie wyobrażałem – za tą ostatnią stacją w Nowym Mieście.

Obiecywałem sobie, że kiedyś, nic nie mówiąc cioci, pojedę tym prostym torem, zatrzymując się solennie, kolejno na tych wszystkich stacjach, napelniając ten spoczywający na nich ich pusty czas, czasem Gryzoni. Powiem tylko dziadkowi, jak i Wy wszyscy, którzy będziecie to czytać, powiedzielibyście swoim ukochanym Dziadkom, czy Babciom, że idziecie zobaczyć za zakrętem ścieżki, jaki tam jest dalej świat? Wtedy mogłoby się zdarzyć, że doszedłby was stamtąd przytłumiony odgłos nie do przebycia w innym czasie niż czas dzieciństwa, zrazu nierozpoznany jeszcze i nieczytelny... zanikający jeszcze w oddaleniu... urywającym się raz po raz... gwizdem; odgłos czegoś jeszcze dalekiego, lecz jak przeznaczenie nieuchronnego, dystingującego już niczym herold swoje przybycie.

Przydawało to naszej stacji wystarczającego czasu do nabrania dystansu do tych wszystkich lokalnych zdarzeń, którymi mając niewiele do roboty, pomiędzy przyjazdami kolejnych pociągów, zwykła była wypełniać swą powinność z prowincjonalnym pietyzmem i godnością. Tak przeistaczała się, na krótką metę, przedzierzgać się odświętnie na peronach i na zapleczu, dając zadość temu ruchomemu świętu, które za chwilę minie, przeniesione zwykłym torem w kierunku jazdy do następnych stacji na tej trasie.

Wybiegam myślą naprzeciw każdej z tych kolejnych stacji – tej na wskroś wąskotorowo powziętej podróży jednym torem, winienem poświęcić każdą z jej chwil, tak są dla mnie istotnie świętej pamięci, wszystkie one, doświadczane do głębi duszy i w niej zapisane zgłoskami szlachetnego kruszcu Gryzonii. Z kursów tej waluty nie wszystkie tutaj wymienię, ale ich szlachetny blask mieni się ciągle, wciąż rozniecany w mych oczach i nie mogący w nich zgasnąć, tak jak i one same domagające się mego świadectwa. Już dawno wszystkie przeżyte, zostawione jedna po drugiej na każdym metrze tych wąskich torów aż po tę stacyjkę jedną jedyną – jakiej drugiej nie ma na świecie. – Niech wypełnione słowem moich wspomnień osiadą na każdym z jej miejsc i tchną w nie życie a po wielekroć powtarzane na tej stacji, niech odbiją jej wszystkie fatamorgany, aby opadając, jak rosa, dały się oglądać w odeszłym kształcie, nadchodzącym przyszłym pokoleniom. Chciałbym jak najbardziej przedłużyć każdą z tych chwil szczęśliwych w zatrzymanym czasie jak ten, któremu się śni, szuka naprędce pretekstu dla odwleczenia, choćby jeszcze przez ostatni z jego niknących kadrów – tej gilotynującej go nieodwołalnie bezwzględnej jawy: uśmiercającego go raz na zawsze – jak to bywa nad ranem – piania koguta. I niczym przysłowiową, przedwojenną zapalką dzieloną na czworo, rozniecać go ponownie, oszczędzając na przeciąg kolejnych chwil szczęśliwych. Nieomylny znak – powszechny jak na stacjach kolejowych carskiej Rosji, ostatni trzeci dzwonek tuż przed odjazdem jak w teatrze – aby zdążyć wrócić na tę ławkę przy peronie pierwszym, na której widocznie zdrzemnęliśmy się tymczasem z ciocią Mitą, by razem z zawiadowcą, w jego jak z dziecięcia zdjętej czerwonej czapce, z lizakiem od pani Grzegorzółki, przyjąć tu kolejny wjazd pociągu – upamiętniającym go wspomnieniem, pasującym tę naszą stacyjkę, jedyną w dziejach, na najpiękniejszą ze wszystkich innych, jakie spotkałem w życiu.

Krzysztof Rudziński

Jerzy Seipp

Krótkie opowiadanie z uśmiechniętym słoneczkiem

*Dla moich kolegów,
z którymi można przeżyć nawet samobójstwo*

Kwartalnik literacki „Podgląd” opublikował w ostatnim numerze mój poemat pt. *Sześć jest grzechów przeciwko Duchowi Świętemu*, drugi wiersz z cyklu *Młoda dziewczyna śpi*.

Zachęcam do lektury tego dziełka wiernych Czytelników moich powieści, lansuję je na wszelkich spotkaniach zawodowych i prywatnych. Opinie zbieram uwodzicielsko dobre, ale często wyłapuję też wraz z pochwałami ślady niepewności w głosie, płochliwy cień niepokoju o zdrowie moich zmysłów. Aż któregoś dnia usiedliśmy z kolegami w parku w warszawskim słoneczku, uszy pieścił syk otwieranych butelek z piwem, „Podgląd” krążył z rąk do rąk i nagle usłyszałem:

– Te, poeta! Co ty tutaj pierdolisz? Że niby wypić nie można? – zbuntował się Maciek.

Zakrzykujący go koledzy podzielili się na tych, co już znają moją trawestację bon-motu Toulouse-Lautreca – „poezja jest jak gówno – to się czuje, ale nie wytłumaczy” – i na tych, co uważają, że każdy ma prawo zapytać autora, co też miał na myśli, kiedy publikował akurat taki a nie inny zbiór słów i zdań. Po chwili zapadła cisza, w której można było usłyszeć gulgot w chłodzonych gardłach, wreszcie koledzy popatrzyli na mnie z nieśmiałą prośbą. Zrobiło mi się ciepło na serduchu, rozsiadłem się wygodniej, odmówiłem podanej butelki.

– Jak to zwykle u mnie, kobyła jest wielopiętrowa – zacząłem. – Przede wszystkim polska i katolicka. Przede wszystkim. Broniewski, Hłasko, niżej podpisany, to pewna polska ciągłość potrzeby piękna, wrażliwości, uczciwości. Ale co ją czeka na piętrze drugim? Wymień jakąś straszną rzecz, którą człowiek może zrobić człowiekowi.

- Zabić go? – wzruszył ramionami Daniel.
- Zostanie ci wybaczone. Teraz ty.
- No, nie wiem. Maltretować rodzinę? – spróbował Paweł.
- Zostanie ci wybaczone. Ty.

– Chyba już wiem, o co ci chodzi. Gwałcić małe dzieci? – Bohdan nie bawił się w ogródki.

– Można. Te łobuziaki same prowokują. Idziesz prosto do nieba. A teraz ty przeczytaj któryś z grzechów wymienionych w wierszu.

– „Uznanej prawdzie chrześcijańskiej się sprzeciwiać” – wyrecytował Grzegorz.

– O nie, mój drogi. Co to, to nie! Zapisane jest w Piśmie Świętym: „Wszystkie grzechy i bluźnierstwa, których by się ludzie dopuścili, będą im odpuszczone. Kto by jednak zbluźnił przeciw Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia”. Porównajcie sobie te grzechy.

Chłopaki wrywali sobie „Podgląd”, wymieniając na głos grzechy przeciw Duchowi Świętemu. A jest ich przecież aż sześć. Jak to trzeba w życiu uważać, żeby się nie potknąć o wieczne potępienie! Żarty żartyma, ale wiadomo było, że prędzej czy później będę musiał się przyznać do własnego grzechu – sześcioczęściowych poematów nie pisze się dla kawału.

– Ale ona cię w końcu rzuciła naprawdę – skonstatował Przemek, wczytując się w grzech „Na zbawienne napomnienia zatwardziało mi serce”.

– Pół roku po napisaniu tego wiersza.

– Co, chciałeś się zabić, ale przyjechali Wojtek, Paweł i Piotrek? To wtedy? – upewniał się Piotr.

– Trzy dni przy mnie siedzieli. Bez cienia litości.

– No ale jak mówiłeś, jeżeli wcześniej razem z nią występowaliście z tym poematem – Łukasz wczytywał się w drukowane zwrotki – to przecież ona musiała wiedzieć, jak to się skończy.

– Przyznała się, że życzyła mi tej śmierci. Nazwała mnie jebanym śmieciem.

– Cooo?!

Słoneczko aż schowało promienie ze zgrozy. Jakby czarna chmura zatrzymała się nad Warszawą z zamiarem zniszczenia wszystkiego co radośnie i święte, tak koledzy pokurczyli ramiona.

– Powiedziała, że jestem jebanym śmieciem.

Zgroza trwała, ale w tej strasznej ciszy zaczęły wreszcie kiełkować pędy zrozumienia.

– Ja już chyba wiem, jaki jest ten twój grzech, o którym natłukłeś aż sześć stron – zaczął Bohdan.

– Ale dalej jesteśmy kolegami? – uśmiechnąłem się.

– Nie możesz po prostu zostać przy wierze ojców? – Grzegorzowi wyraźnie nie podobał się lot w moje otchłanie.

– Mówię wam – Piotr nie miał wątpliwości. – Jurek to jest po prostu drań, który w dodatku uważa się za mądrzejszego nawet od Pana Boga!

– Mądrzejszy to nie. Ale Sam dał mi placet do kwestionowania Swoich decyzji. Ja się o niego nie prosiłem.

– Dobrze zrobiła, że cię zostawiła – po trzydziestu latach znajomości Piotr znał wszystkie moje grzechy od podszewki.

– Pewnie, że tak.

Koledzy kontemplowali mój świeżo odkryty w wierszu grzech, sącząc zimne piwo. Najważniejsze, że czarna chmura niezrozumienia ustąpiła światłu rozumu i tolerancji. Maciek jeszcze raz sięgnął po „Podgląd”.

– Ty, a kto to właściwie jest ten kompaty...lista z wiersza? – zapytał.

– Kompatybilizm to pojęcie filozoficzne – zacząłem.

– Ale Jurek, tak w dwóch słowach, bez wykładu – poprosił Daniel.

– W dwóch słowach? – pomyślałem. – Może być. Wielu ludzi uważa, że co ma być, to będzie, prawda? Filozofowie nazywają takich stoikami lub deterministami. Kompatybilista to ktoś, kto do tego zdania dodaje na końcu dwa słowa: „i chuj”.

Koledzy smakowali z uśmiechami moją dezynwolturę.

– Czyli jak ktoś mówi: „co ma być, to będzie”, jest tylko deterministą, tak? – upewniał się Paweł.

– Zgadza się.

– Jak chce być kompatybilistą musi powiedzieć: „co ma być, to będzie i chuj” – wyraźnie bawił się Przemek.

– To wyznanie wiary kompatybilistów.

– To znaczy, że my... – Łukasz zrobił ramieniem panoramę po naszym towarzystwie.

– Jeszcze raz się zgadza.

– Bracia kompabili...

– Kompatybiliści – pomogłem.

– Bracia kompatybiliści! – Bohdan uniósł piwo.

Zasyczały z wdzięcznością odrywane z butelek kapselki.

– I chuj! – rozległo się w warszawskim parku. Słoneczko uśmiechnęło się do nas ze swojego niebieskiego tronu.

25 września 2019 roku, 147 dni po 1 maja

Jerzy Seipp

Zbigniew Zbikowski

Espresso dla czworga¹

(..) Zbliżali się do biura. W pobliżu ich biurowca zastali znany im widok. Aga stała na chodniku niczym drogowy znak rozpoznawczy, którego brak w tym miejscu o tej porze mógłby wzbudzić niepokój stałych przechodniów. Paliła nerwowo, mocno wydmuchując dym z płuc.

– Państwo po lunchu? – zapytała, gdy się do niej zbliżyli.

Zuzanna zignorowała zaczepkę.

– Idziesz do biura? – zadała swoje pytanie.

Aga pokazała, że ma do wypalenia jeszcze jedną trzecią papierosa.

– To na razie, Marcin – rzekła Zuza do Pysia. – Zostanę chwilę z Agą.

Miała pewność, że on nie zatrzyma się razem z nią. Nie pomyliła się. Pysio machnął z rezygnacją ręką i oddalił się. Aga stała bez słowa, czekając, co koleżanka ma jej do powiedzenia.

– Dołączył do mnie na ulicy – poinformowała Zuzanna na usprawiedliwienie.

– Proszę, proszę! Nasz pajak przyczaił się na swoją muszkę – odrzekła Aga. – I co? Zaatakował?

– Głupstwo, nie ma o czym mówić – stwierdziła Zuza. – Powiedz mi, zaczynamy w sobotę z tymi obrazami? Gabrysia gotowa?

Koleżanka zaciągnęła się dwa razy.

– Raczej zacznij w poniedziałek – oznajmiła. – Jutro ma szukać jakiegoś oleju do konserwacji, czy czegoś takiego.

– To znaczy, że przyjeżdżacie w niedzielę po południu?

– Na to wygląda.

– Może i lepiej. Jutro czeka mnie ciężki dzień.

Nim Aga zdążyła zapytać, a Zuzanna wyjaśnić, z czego wynika ciężar sobotniego dnia, rozmowa urwała się, bo podbiegła do nich podekscytowana Iza.

– Zuza, ty szczęściarolo! – zawołała, potrząsając blond włosami. – Rozmawiałam właśnie z wujem. Sprawdził dziś, co trzeba, jak wczoraj obiecał, i mówi, że mogą wejść na waszą willę z robotą w następnym tygodniu,

1 Fragment tomu 6. powieści *Willa Morena*, wydawanej aktualnie w formie pocket-booków przez wydawnictwo Edipresse.

najlepiej w czwartek. Musisz tylko powiedzieć, co i jak. Dam ci telefon. – Z jej oczu biły promienie. – No co, nie cieszysz się?

– Cieszę, oczywiście – bąknęła Zuzanna. – To wspaniale.

– Wspaniale? Fart nie z tej ziemi! Zwykle ich klienci czekają dwa miesiące minimum, a przy większych pracach nawet pół roku.

– Rzeczywiście, fart.

– A komu go zawdzięczasz? – Rozpromieniona Iza kiwała potakująco głową, a żeby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli, skierowała oba wskazujące palce ku swej piersi. – I najważniejsze, że nie zostawią cię na lodzie, jak ci wiejscy partacze. Możesz być pewna. Krótko mówiąc, masz problem z głowy. A to znaczy, że nie musisz tracić czasu na dalsze poszukiwania, tylko spokojnie kończyć nasze opracowanie. Więcej ci powiem. – Ściszyła głos. – Gdybyś potrzebowała dodatkowych informacji do materiału, wujek gotów jest ci ich udzielić. W końcu zna się na tym zagadnieniu, czy nie?

Aga słuchała Izy z nieufnością, przyglądając się przy tym cały czas Zuzannie. Skończyła palić, dała znak, że może wracać do biura, i wszystkie trzy weszły do budynku. Gdy Iza odeszła gdzieś na bok, Zuza szepnęła do Agi:

– O co ci chodzi? Robisz takie miny, jakbym miała popełnić przestępstwo.

– Nie podoba mi się to – odparła Aga.

– Zrozum, muszę zrobić ten dach. Znalazłam się pod ścianą.

– No dobrze, ale uważaj. Pyszny w tym akurat przypadku ma rację. Nie bądź zbyt ufna.

– Po tylu waszych ostrzeżeniach nawet bym nie umiała – podsumowała Zuzanna i otworzyła drzwi do ich pokoju biurowego.

Kiedy weszły, Pysio obrzucił je krótkim spojrzeniem.

– Panie po plotkach? – zapytał zaczepnie.

– Bardzo śmieszne – odparowała Aga.

Zuzanna usiadła do komputera. Od razu otworzyła Pysiewego maila, w którym miało być podane nazwisko marszanda Berezyńskiego. Popatrzyła na monitor i nagle krew odmalowała na jej policzkach dwa mocne rumieńce. Luigi nazywał się tak, jak Paolo – Vecchi. Kłębowisko myśli odbiło się na twarzy dziwnym zmieszaniem. Pysio, który ją dyskretnie obserwował, zaniepokoił się.

– O co chodzi? – spytał. – Coś nie tak?

– Nie, nie, nie – odrzekła szybko. – Takie skojarzenie. Znam kogoś o tym nazwisku.

Czy znam? – pomyślała w duchu. Właściwie nie znam. Może on wcale tak się nie nazywa.

– Nie wygląda na rzadkie – powiedział Pysio. – Raczej pospolite.

– Właśnie – podchwyciła Zuza, rada, że może zamknąć temat. – Niejednemu psu Burek.

Swoją drogą, ciekawy zbieg okoliczności, zastanowiła się. No, ale za jakieś dziesięć godzin będzie okazja zapytać. Odłożyła rozmyślenia na ten temat na później.

Pomyślała, że jeśli chce szukać Wiolety, musi zacząć telefonować. Wstała, żeby wyjść na korytarz. W drzwiach zderzyła się z Izą.

– Gdzie lecisz! – rzekła koleżanka z ostrą przyganą. – Weź, zadzwon do firmy wujka. Jest już piątek, nie ma dużo czasu.

Zuzanna cofnęła się. Poczekala, aż Iza zapisze telefon, po czym z kartką w ręku wyszła z pokoju. Stała przy oknie i zadzwoniła pod wskazany numer.

Odebrał osobiście szef firmy. Zuzanna przedstawiła się i wyjaśniła, w jakiej sprawie dzwoni.

– A tak, siostrzenica uprzedzała – powiedział. – Więc to pani?

– Chciałabym...

– Pani Zuzanna, znaczy się. Pisz pani z Izą to opracowanie na konferencję o ochronie budownictwa.

– Noo... tak.

– Bardzo się cieszę. Wierzę, że to będzie rzetelny materiał z uczciwymi wnioskami. Zatem, remontuje pani starą świdermajerową willę, zgadza się?

Mówił niskim miękkim głosem, przechylnie, jakby to on miał interes do niej, nie ona do niego.

– Zgadza.

– To znakomicie. Bardzo dobrze. Takie perły architektury trzeba chronić. Są niepowtarzalne. Moje uznanie dla pani decyzji. I chce pani zacząć od dachu, prawda?

– Od czegoś trzeba.

– Oczywiście, dlaczego by nie od góry? Miałbym jednak, jeśli pani pozwoli, pewną sugestię. Może by ktoś z naszych specjalistów rzucił okiem na obiekt i coś podpowiedział? A jeśli korzystniej by było zacząć od wnętrza? W jakim stanie są instalacje?

– Eee...

– No właśnie. Przydałaby się całościowa ekspertyza. Możemy kogoś podesłać na wstępny rekonesans. Kiedy dysponuje pani czasem?

Zuzanna ochłonęła po pierwszym oszołomieniu, wywołanym postawą rozmówcy. Az takiej przychylności się nie spodziewała.

– Czas nie jest problemem – powiedziała. – Większym problemem mogą okazać się fundusze. Ile taka ekspertyza u państwa kosztuje?

– Wstępna? Absolutnie nic. Robimy ją w ramach naszej misji, na własny koszt. Zresztą państwo, mówię o pani pracy naturalnie, jako agencja rządowa, także się w nią włączacie. Realizujemy wspólny cel, pani Zuzanno. Chodzi o ratowanie starego budownictwa na polskiej ziemi, żeby jak najwięcej śladów naszej przeszłości pozostało dla następnych pokoleń. – Patos w jego głosie brzmiał fałszywie. – Poniedziałek pani odpowiada?

– Owszem, ale późnym popołudniem. O siedemnastej najwcześniej.

– A gdyby tak inaczej? Kończy pani o szesnastej, prawda? Gdyby udało się pani urwać przed czwartą i nasz ekspert by panią zabrał spod agencji firmowym samochodem, powiedzmy, o piętnastej trzydzieści? Szefowa, pani Ewa, na pewno się zgodzi.

– No nie wiem.

– Na pewno. W końcu możemy to podciągnąć pod gromadzenie materiału do państwa opracowania. – Zaśmiał się przymilnie. – W takim razie jesteście umówieni. Proszę pozdrowić panią Ewę i do usłyszenia.

Rozłączył się.

Szybko działa, pomyślała Zuzanna. Nie zdążyła nawet zaprotestować, a on już ułożył dla niej cały plan. Ale też nie była na protest zdecydowana. W końcu chodzi tylko o rekonesans, bez zobowiązań, uznała. Postanowiła tymczasem nie zaprzętać sobie tym głowy.

Poszukała w spisie numeru Biernata. Zawahała się tylko na ułamek sekundy, po czym przycisnęła palec do ekranu.

W słuchawce rozległa się jakaś wściekła muzyczka, potem nastąpiły cztery dzwonki. Już myślała, że Biernat nie odbierze, gdy dzwonienie ustało.

– Słucham! – usłyszała. Przedstawiła się. – Aaa, to pani dzwoni. No tak, nie spojrzałem na wyświetlacz, choć mam panią w komórce. Teraz widzę i poznaję. – Akurat, nie spojrzałeś, przemknęło Zuzannie przez myśl. Zaczynasz od kłamstwa? Dobrze, zobaczymy, co dalej. – Czyli że co. Zdecydowała się pani na pracę u mnie. – Nie zapytał, raczej stwierdził.

– Pracę u pana? – zdziwiła się. – Nie, nie. Nie o nią mi chodzi. Myślę, że to temat zamknięty. Szukam Wiolety, bo się nie pokazuje w Morenie i nie odbiera telefonów. Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, podobno była u państwa w domu, czy też w restauracji. Mówię „podobno”, bo w końcu jej nie spotkałam. Może przypadkiem jest teraz?

Biernat odchrząknął dwa razy.

– A widzi pani, a ja myślałem, że Wioletka obecnie przebywa u pań. Bo u nas też przestała się pokazywać, zresztą, nie dziwię się. Posprzątane jest, ale robić nie ma co. Lokalu na razie nie możemy otworzyć, rozumie pani, przeszkody formalne, jak to mówią.

– Ze względu na śledztwo?

– Jakie tam śledztwo. Wszystko jest jasne, nastąpiło umyślne podpalenie. Tylko sprawca nie został złapany. No cóż, nieprzyjemnie, że to pani znajomy. Wiem, że pani nie ma z tym nic wspólnego, tak się tylko złożyło, ale zamieszanie jakieś jest. Nie pokazał się? Nie dzwonił? Nie wie pani, gdzie jest?

Zuzanna czuła, że Biernat próbuje wciągnąć ją w temat, którego nie miała najmniejszej ochoty poruszać.

– Panie Januszu, chodzi mi tylko o Wioletę – odpowiedziała zdecydowanie. – Ta druga sprawa mnie nie obchodzi. Przykro mi. Poza tym mówił pan ostatnio, że Paolo jest znajomym państwa córki. Dlaczego jej pan nie zapyta o niego?

– W tej sytuacji, no cóż, nie pomogę pani – rzekł szorstko. – Wiolety u mnie nie ma i nie wiem, gdzie może przebywać, nic na to nie poradzę. Proszę pozdrowić ciocię. Do widzenia.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się. Zuzanna stała chwilę z telefonem w dłoni. Nie mogła oczekiwać, że Biernat nagle z zagorzałego wroga rodu Ludwigów przestoczy się w jej przyjaciela i zaoferuje pomoc w poszukiwaniu Wiolety. Jego informacja o tym, że nie ma jej w ich domu, ani że nie wie, gdzie może przebywać, nie wydawała się ani trochę wiarygodna. Mimo to odczuwała satysfakcję. Biernat się zirytował, a to znaczyło, że może podejmie wkrótce jakieś nieprzemyślane działanie i zdradzi swój plan. Bo co do tego, że coś knuje i próbuje wciągnąć ją w swoją pułapkę, nie miała wątpliwości.

Zbigniew Zbikowski



Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Jarmila Hašková

Surowy ojciec¹

Na dworze napadało. Śnieg przykrył kupki żwiru, wygładził wyboistą drogę, przymarzał, twardniał. Jarda siedział w ogrzonym pokoju i przerabiał rysunek. Miał łzy w oczach. Rano, kiedy się przebudził i zobaczył, że pada śnieg, wstał po cichu, żeby nikogo nie obudzić i natarł tłuszczem swoje zimowe buty. W południe sam przyniósł z piwnicy sanki, napisał domowe zadanie, nauczył się. Ale tatuś... Tatuś w ogóle nie ma zrozumienia. Na dworze napadało śniegu, a tatuś przypomina, żeby przerobił rysunek. Tatuś mu nie sprzyja. Tatuś mówi, że przeżyje i bez jazdy na sankach. Mówi też, że on nigdy nie jeździł na sankach. Przecież Jarda nie jest temu winien. Gdyby Jarda miał synka, sam by mu skończył rysunek, pomógłby mu wsadzić sanki na plecy i posłałby chłopaka na ulicę. Jak może ktoś pozbawiać chłopca takiej przyjemności!

Jarda wpatrywał się w jeden punkt. Ręka z cyrklem opadła. Jarda wyobraził sobie sanne, drogę wyjeżdżoną i gładką. Ciągnie sanki pod górę. Policzki mu pałają, jest mu ciepło jak w pierzynie, tak dobrze oddycha się świeżym powietrzem. Śmiech, wesołe okrzyki, radosna atmosfera, wełniane kolorowe swetry, czapki, pstrokate szale. Jarda w duchu widzi, jak na górze ustawia się szeregu, jak siada na saniach, nachyla się do tyłu, czuje, jak jedzie szybko i lekko, śnieg szumi, świszcz. Jarda leci jak ptak, bawi się, pokrzykuje...

– Na co patrzysz?

Jarda drgnął. Tatuś wysoki, surowy, nieubłagany. Spojrzenie ma pochmurne. Jarda zamrugał oczami spłoszony, gardło ścisnęło mu się z żalu, wargi zadrżały. Z ulicy odezwały się dziecięce głosy. Ojciec stał za nim, a Jarda czuł na sobie badawczy, surowy wzrok... Ojciec Jardy obserwował wyraz twarzy syna. Widział, jak chłopiec walczy ze sobą, jak powstrzymuje płacz, jak pracuje z niechęcią, źle skrywaną. Serce zabolalo. To przecież

1 Ze zbioru *Nowelki o słabych kobietach i silnych mężczyznach i na odwrót* (wyd. 1927 r.).

jego dziecko, jego krew siedzi tu w ciepłym pokoju, wygodnie, przy świetle, ma spokój, ma przybory szkolne, nie ma żadnych zmartwień, tylko swoją naukę – a siedzi tępy, bez radości, ba, ze wstrętem.

Zapatrzył się tęsknie na padający śnieg. Wspominał. Widział siebie, jak idzie ze szkolną rysunkową deską w słabnącej ręce. Marznie, pada śnieg. Palce sinieją, ziębną nogi. W lewym bucie ma dziurę, a nie ma grajcara na most. Cztery grajcarry dał za ćwiartkę papieru. Teraz musi iść cztery razy Mostem Karola, żeby je znów zaoszczędzić. Nałożył drogi – to pół godziny, a deska jest ciężka, zimno w ręce, zimno w nogi, cały dży. Źle znosi zimno, bo w domu nigdy się nie ogrzeje. Uczy się, pracuje owinięty w kołdrę, ubrany w stary żakiet po mamie. Wąski rękaw przeszkadza w pracy, a w nogi i tak chłodno. Śnieg pada, brodzi w nim, spieszy się, boi, żeby nie spóźnić się do szkoły, boi się, że mu śnieg napada na rysunek. I rzeczywiście napadał. Mężczyzna przy oknie przypomina sobie, jak w szkole stworzył okładki deski, jak z przerażeniem zobaczył, że zielona farba puściła i dwie strużki zielonej barwy rozlały się po gotowym rysunku. Widzi siebie, jak gąbką zmywa rysunek, skrupulatnie, z nadzieją, że naprawi to, co się zepsuło, w strachu, żeby mu profesor nie powiedział „zrób to od nowa”. Nie chodzi mu o pracę, chodzi o cztery grajcarry. W domu nie mają. Nie ma skąd wziąć. Odejmują sobie od ust, żeby dać mu na most. A on biega po kamiennym moście Karola, żeby te grajcarry, od ust odjęte, mógł wydać na swoje szkolne przybory. Wspomina. Widzi jak profesor się zbliża, zatrzymuje się i mówi:

– Tego już nie poprawisz, zrób to od nowa.

– Panie profesorze... – zaczyna nieśmiało, ale profesor rozumie i nie rozumie jego biedy. Lodowato mówi dalej:

– Jeśli nie stać cię, to się nie ucz...

– Tatusiu! – Błagalny głos Jardy wstrząsnął pokojem. – Tatusiu, proszę, chodź i poradź mi!

Ojciec zbliżył się do Jardy. Rysunek był zły. Pewnie by można to poprawić, ale... Wyjął z kieszeni scyzoryk, rozciął rysunek na pół i powiedział:

– To trzeba zrobić od nowa. Masz tu pieniądze i kup sobie nowy papier. Jarda osłupiały zerwał się z krzesła, wykrzyknął i załamał ręce:

– Jezus Maria, tatusiu, coś ty zrobił?

Jarda się rozszochał. Na dworze pada śnieg, chrupie pod nogami, droga dla sanek błyszczący – a on musi siedzieć w domu, musi rysować.

Mężczyzna przy oknie patrzy na płaczące dziecko. Tak, to jest jego dziecko. Płacze i rozpacza. Ale siedzi w cieple, w domowym kaftaniku,

w pantoflach, przy elektrycznym świetle. Nie musi się martwić, skąd wziąć na nową kartę papieru.

– No tak, jak to z tym będzie?

Jarda, milcząc, wstał. Sięgnął po pieniądze na stole, włożył zimowe palto z futrzanym kołnierzem, wcisnął czapkę i smutny wyszedł z pokoju...

Jego dziecko! Nie trzęsie się z zimna, nie jest ubrane w znoszone łachy. Uczucie radosnej satysfakcji przepełniło serce mężczyzny.

NOTA

Jarmila Hašková, z domu Mayerova, ur. 1887, zm. 1931 w Pradze, dziennikarka, autorka humoresek, opowiadań, powieści, książek dla dzieci. Była żoną pisarza Jaroslava Haška. Hašek, nie mając z Jarmilą rozwodu, ożenił się powtórnie z Rosjanką, nie był jednak sądzony w Czechach za bigamię z powodu „bałaganu prawnego w Związku Radzieckim”.

Przełożyła i notą opatrzyła Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Z przekładów Krystyny Rodowskiej

Susana Szwarc

Na straży

Pewna kobieta (może twoja matka) ociera
sobie pot z czoła. Czyżby płakała,
lub wyciskała sok z winogron?
– Jasne, że nie – odpowiada –
moje oczy już dawno wypłakane. I przeciąga
swoją modlitewny zaśpiew niczym dobry żart.

„aaa kotki dwa szare bure obydwaj” –
śpiewała po polsku babcia
w piecu – jeszcze po śmierci strząsa z siebie mąkę.

„aaa kotki dwa” – śpiewają matki,
córkę, lalkę wyczerpane
życiem w eterze i muzyką.

I wciąż słyhać „aaakotkidwa” – z ust rzucanej o ścianę,
ze stopami zbryzganymi błotem,
a mama dodaje:
ach, jak bolą mnie nogi,
lecz ja wyuczyłam się lekcji:
jakie to szczęście – mówię –
że jeszcze są nogi które mogą boleć.

A więc tańczmy. Ona z kieszeni wyciąga
pudełko od zapalek wiecznego śniegu.

Ścieg po ściegu wyszywam jej odpoczywanie,
kotkidwa kiedy indziej śpiewałaś
i kłamałaś,
lecz ja wyuczyłam się lekcji:

twoje ziemie obiecane istnieją.
Są na przykład odgłosy miłości
ciał złączonych, obojętnych na skandal.
Są ptaki z piórami jak litery.
(I śmiejemy się z tych słodkich kłamstewek).

I sam na sam ze sobą (za oknami)
osączamy na sicie winogrona.

Kiedy indziej znów kotkidwa i nie wiemy
co to znaczy,
lecz ta piosenka brzmi po prostu groźnie.
Jest wspomnieniem wyjętym z biblioteki
pieców.
Przyświecamy sobie
latarką. Na marginesie widnieje notatka:
niech dzieciom naszym bardziej się poszczęści.

Wiersz z tomu *Que bailen las estepas* (1999, *Niech zatańczą stepy*).

Bezsennie krążę po domu

I

Znowu w kuchni zagotowała się woda.
(Dziwne: nie słyszałam tego szszsz, które ogłasza wrzenie)

Stronice zapisane przez Ciebie zaczynają się wspinać
jak w obcym mi śnie.
(Powiadają, że był anioł co przeskakiwał szczeble
drabiny, coraz wyżej i wyżej). W której części Księgi jest-eś?

Powiedziałam: wieje wiatr a ja lecę do Twoich liter.
W eterze czytam jakieś słowo, inne chwytam
ustami. Co mówisz? Co? Do mnie?

II

Wiatr wdarł mi się przez okno a matka
pochyla się nad stołem.
Powiedziałam: napisz do mnie list po polsku.
– Dla kogo?
– Dla badacza dziejów.
– Co mu powiedzieć?
– Powiedz mu, że chcę wiedzieć co się stało z umarłymi.
Powiedz mu, że chcę wiedzieć, gdzie się podziali.
Oszukaj go. Chcę wiedzieć i kropka.
Bo jeśli już nie żyją, on ich nie odzuka.

(Matka koryguje moje myślenie. Czy na tym polega
język matczyny?)
– Przeczytaj, szybko, to co napisałaś.
(Nie potrafi: przechodząc na ten swój inny język
przenosi się do innego kraju, i litera po literze, sylabizuje)

III

Zapisała trzy strony, ponumerowane: jeden, dwa, trzy.
I tym razem wiatr ucichł. Złożyłam na czworo
kartki. Do jakiej włożyłam je książki?

Jeśli tej nocy znowu zacznie padać, będę zgubiona.
Zaprawdę, żebyś mi znowu powiedziała *jutro*.
Znów będę krążyć po domu. Twoja lampa wspomóżę
moją głowę i będę się śmiać w ciemnościach.

Gdzie mówiła o tej dłoni na ustach?
O krześle, wyniesionym na plac? I gdzie błogosławieństwo
tego, co odszedł na zatracenie?

Bez kwiatów wiśni

Nawiedzają cię sny Kurosawy, gdy wspominasz?
 Ten mężczyzna lądujący z rozkoszą
 – w przydrożnym rowie? – pytam
 a Magdalena w śmiech, bo chodzi o śnieg –
 jeśli nie oprzytomnieje, nie pozbiera się, nie zbierze
 sił, to skończy źle.
 Teraz ja w śmiech, tyle czasu
 bez śmiechu co rozbrzmiewa
 (gdy się miewa). Ciało się rozciąga, oddala.

Stapiamy się w jedno, ja z ciałem
 Do kogo należy część co się rozdziela
 na rów przydrożny i śnieg?
 (To „się” naciska, jakby bez tego akcentu
 zanikał sens). W czasie gdy ktoś się waha
 iść dalej czy zostać
 (w rowie-śniegu)
 przez okno dochodzą dźwięki *cumbii*¹
 i zapach *asado*²: to znowu sąsiedzi.
 I z czego się tak cieszą? Czy nie widzą że to tylko fragment,
 sen, ciało, pęknięcie, krzyk? – i dlaczego
 mieliby to widzieć? Mieszkają
 tylko we własnym ciele, *asado* zaś nie jada
 się już na co dzień.
 To w Snach rozgrywa się możliwość wyjścia:
 zapukać do drzwi obok, tam jest fiesta.

Psalm

patrzę w górę
 nie widzę Boga
 ale widzę deszcz

- 1 Tradycyjny kolumbijski taniec, także muzyka latynoamerykańska z charakterystycznym rytmem.
- 2 Grilowany befsztyk wołowy, sławne danie argentyńskie.

Pasażerowie

Zmęczyło nam się, mawiamy, chodzenie.
Parzyści, nieparzyści, na leżaco
gapimy się w gwiazdy.
Przytulam się do twoich łopatek:
Jest miejsce gdzie można odpocząć, mówię,
i wskakujemy do wagonu.
Dzieci w pociągu bawią się: skaczą
mi teraz po żebrach
a my śmiejemy się na myśl
o bułkach w plecaku.
Odpadki, oto czym jesteśmy tej nocy,
tego dnia. I dobrze nam z tym.
Liście z drzewa, pożółkłe, wpadają
przez okna, ozdabiają
ciała.

Jest noc, potem dzień,
skaczą wróble na gałęziach.
Jeden leci za spadającym liściem.

Przychodząc i odchodząc

Zjawia się człowiek co przynosi mi jedzenie
(lubię zamawiać je, rozchyłać papier
w który jest zawinięte, niech ostygnie).
Gotuje kobieta, a dwóch mężczyzn
rozwodzi dania po domach.

Ale w tę sobotę
on mnie pyta: co przerabiasz na twoich lekcjach?
Chcę czytać współczesną poezję,
ale jej nie rozumiem, mówi.

I wtedy zabieram go z sobą.
Szukam okularów, popielniczki,

i na początek otwieram Juarroza,
a potem otwieram Gianuzziego.
Lubię tak ich otwierać, na chybił trafił,
wiedzieć jak skaczą litery.

Czytam *Kawę i jabłko*, podczas gdy jedzenie
przyniesione przez mężczyznę
stygnie na stole.

Zapuszczamy się w tę obcą muzykę
która staje się nam bliska a oczy
mężczyzny co przynosi mi jedzenie
napęniają się łzami. Rozumiem, mówi,
to czego nie rozumiem.

A Borges? – pyta, myślisz, że uporam
się z nim? Podaję mu chusteczkę
papierową na otarcie łez.
Zanim odejdzie znów pyta: a może
wzmówiono we mnie że nie rozumiem?

Nie rozumiemy
i nie musimy rozumieć. Wystarczy
włożyć te zdania w usta.

Człowiek co przynosi mi jedzenie odchodzi.
A ja z wolna przetrawiam smak dania.

Wiersze z tomu *El Ojo de Celan* (2014, *Oko Celana*)

NOTA

Susana Szwarc (ur. 1952) – poetka, prozaiczka argentyńska pochodzenia polsko-żydowskiego. Autorka opowiadań, także dla dzieci, sztuk teatralnych, wystawianych w teatrach Buenos Aires. Jej wiersze i opowiadania, tłumaczone na języki: angielski, niemiecki, francuski, kataloński, także chiński-mandaryński, figurują w wielu antologiach krajowych i zagranicznych. Ostatnio jej tomik wierszy *El Ojo de Celan* (Oko Celana) został przetłumaczony i opublikowany we Włoszech.

Susana Szwarc jest także promotorką kultury, prowadzi warsztaty kreatywnego pisania.

Susanę poznałam w r. 1999 w Buenos Aires, podczas mojego dwumiesięcznego pobytu u rodziny, uczestnicząc także w obchodach 100-lecia urodzin Jorge L. Borgesa, na zaproszenie Marii Kodamy, biorąc także udział w Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Buenos Aires. Od tamtego czasu, stale jesteśmy w kontakcie, także telefonicznym.

Pierwodruk przekładu jej wstrząsającego wiersza *Na straży* ukazał się kilka lat temu w „Kwartalniku Artystycznym”.

Przełożyła i notą opatrzyła Krystyna Rodowska

BIESIADY LITERACKIE

ZAZWYCZAJ W OSTATNI WTOREK MIESIĄCA O GODZ. 18.30

Prowadzą:

Wacław Holewiński
Piotr Müldner-Nieckowski
Małgorzata Karolina Piekarska

Goście, z którymi rozmawiamy:

pisarze, wydawcy, redaktorzy, reżyserzy, językoznawcy
muzycy, plastycy, historycy – twórcy i krzewiciele kultury

Stały felieton:

Piotr Wojciechowski

Zawsze rekomendacje trzech ważnych książek. Też: trzy ważne wiersze ważnego poety

DOM LITERATURY

Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
Wejście obok schodów ruchomych przy Placu Zamkowym. Piętro I

STAJNIA LITERACKA

Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w ramach **Warszawskiej Szkoły Pisania** zaprasza wszystkich poetów, prozaików, dramatopisarzy, którzy zaczynają swoją przygodę z literaturą, a przede wszystkim członków **Stajni Literackiej**, na

comiesięczne, wtorkowe spotkania warsztatowe.

Godzina 16.00

Członkiem Stajni Literackiej SPP może zostać każdy, kto przyjdzie na spotkanie, zgłosi akces i poda swoje dane personalne wraz z adresem e-mail.

Opiekun Stajni: *Piotr Müldner-Nieckowski*
www.spp.warszawa.pl, stajnia@spp.warszawa.pl



„Piszemy”
Trzecia antologia
Stajni Literackiej SPP.
Oddział Warszawski SPP,
Warszawa 2019

CIĄG DALSZY

Dziewczyna nachyla się nad źródłem.
Drwał obala brzozę.
Słysząc młot kamieniarza.
Przesiedleniec gra coś za ścianą na drumli. Ale co?
Dziecko płacze.

(Z tych zdań – nie tylko z tych, ale z jakichkolwiek innych – mogę wyprowadzić poemat.

52

Wystarczy się w taki zespół luźnych zdań wpatrzeć i wsłuchać, a rozwinie się świat poetycki, rosnący samorzutnie i niepowstrzymanie, dążący zachłannie do ogarnięcia wszystkiego. Świat poetycki, czyli – ten sam, a przemieniony. I pozostanie – nienasycenie, choć można zacząć od słowa „ziarenko”, aby uderzyć czołem wyobraźni o gwiazdę... przenośną jak w jasełkach.

Mogę... a więc nie skończę, ciągnę dalej.)